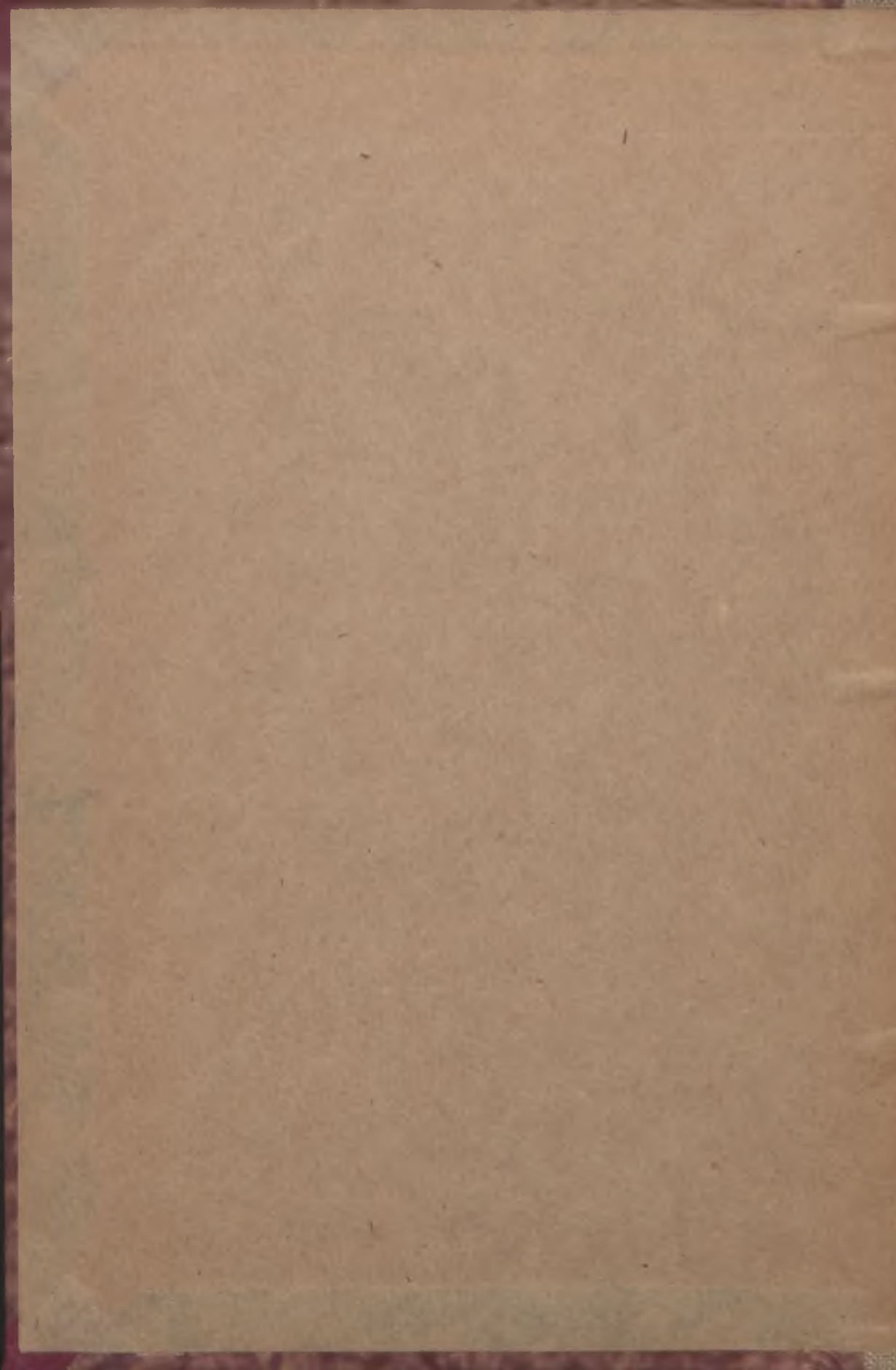
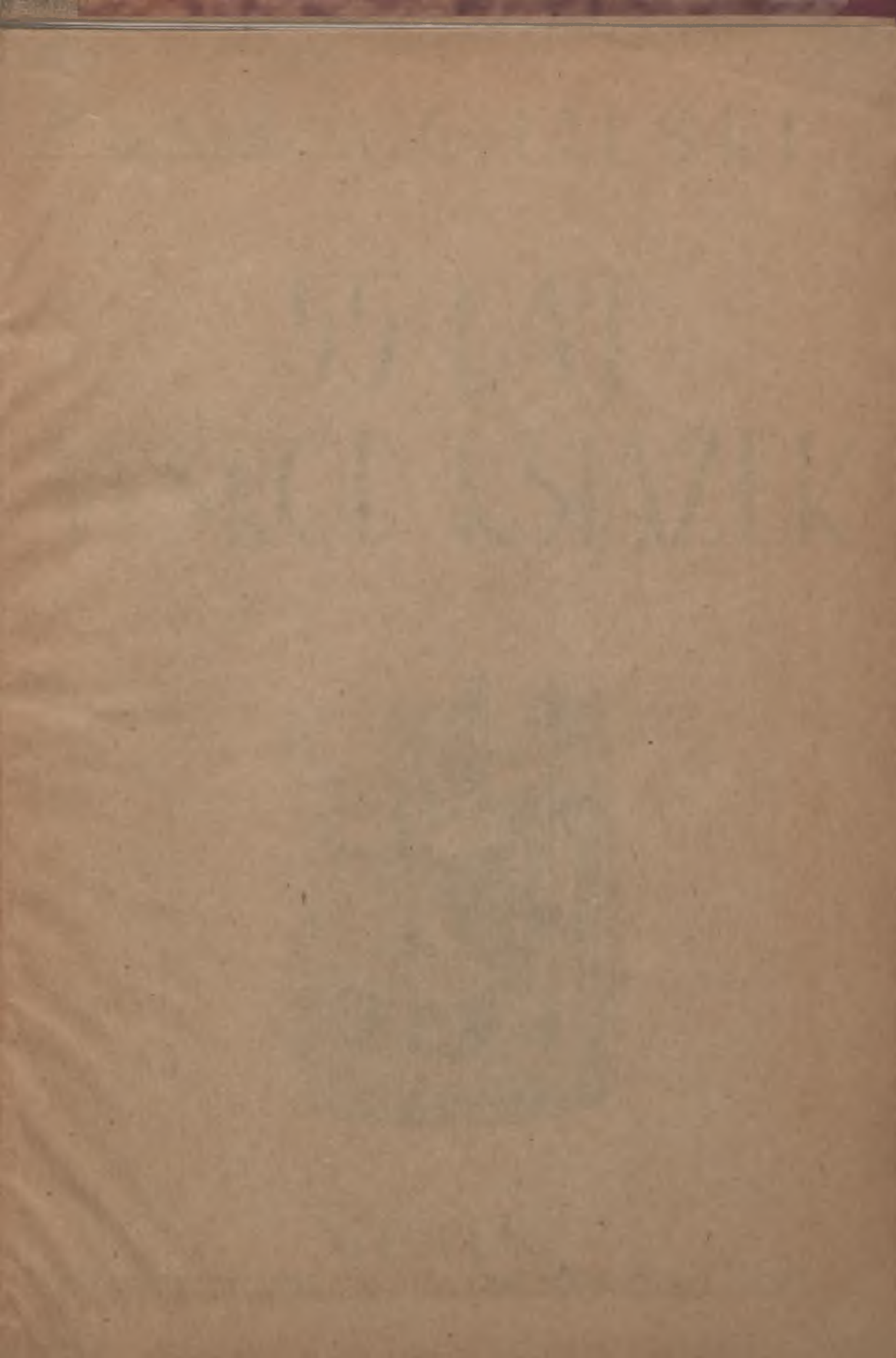


PEDAGOG CZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA  
Gdańsk - Wrzeszcz  
K. Marksa 14

~~Chryzantem~~

5267







OKRĘGOWA  
BIBLIOTEKA  
PEDAGOGICZNA  
KURATORIUM  
O. S. GDAŃSK.

5267

MICHALSKI

55 LAT  
WSRÓD KSIĄŻEK



WROCLAW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH



55 LAT WŚRÓD KSIĄŻEK





JAN MICHALSKI

# 55 LAT WŚRÓD KSIĄŻEK

WSPOMNIENIA, WRAŻENIA, ROZWAŻANIA

Z PRZEDMOWĄ WACŁAWA BOROWEGO



W R O C Ł A W  
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH  
1950

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ STANISŁAW KOBIELSKI

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

B-k Ruzg. „Dom Książki” Wr. 10/VIII  
18. IV. 51



[mw. 5267

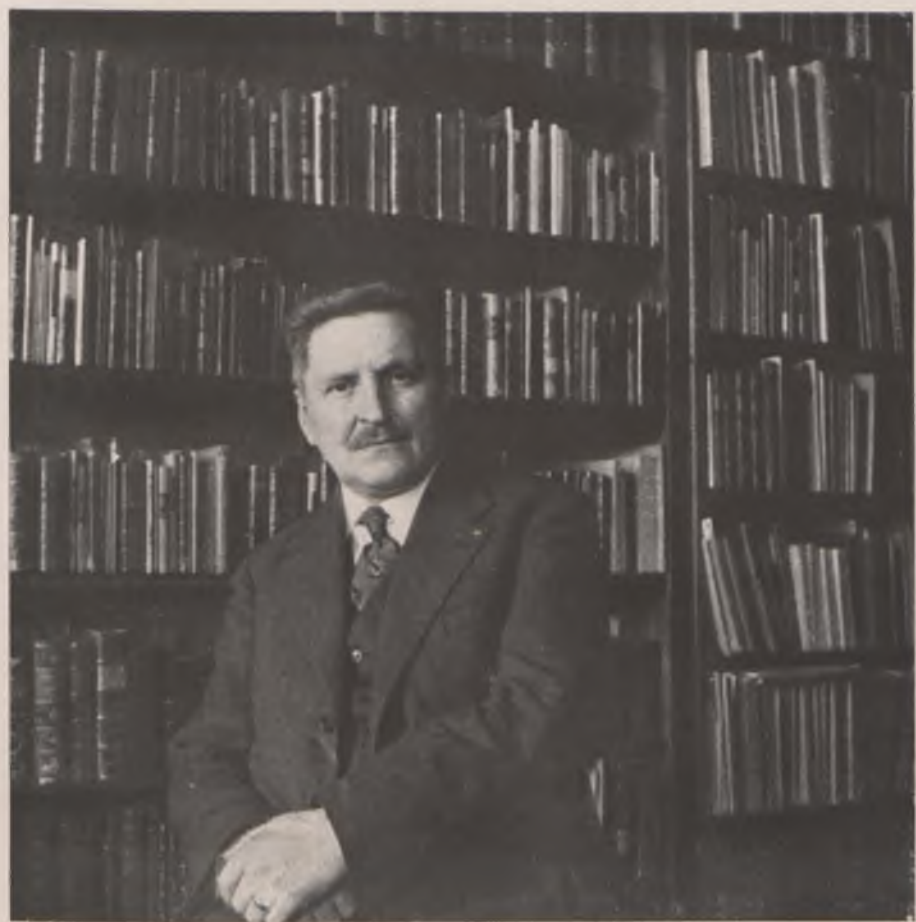
Dr. 92

Bk.

Rękopis otrzymano 26. IV. 1950  
Druk 7½ ark. ukończ. 6. XII. 1950

Nakład 3.000 egz.  
Papier druk. sat. kl. V, 70×100 cm, 70 g.

Państwowe Wrocławskie Zakłady Graficzne, Wrocław, Kościuszki 29 — 567/50 (F 1-11092)



Jan Michalski



Jan Michalski urodził się 6 marca 1876 r. w Wierzbicy w Radomskim. W r. 1900 ukończył wydział historyczno-filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego ze stopniem kandydata. W latach 1900—1918 pracował jako nauczyciel języka polskiego, łaciny i historii w prywatnym szkolnictwie warszawskim. Był jednym z założycieli Polskiego Związku Nauczycielskiego i przez lat kilka należał do grona redakcji „Nowych Torów”. Jesienią r. 1918 został wizytatorem szkół średnich i był nim do r. 1931, po czym znowu wrócił do pracy nauczycielskiej. Kontynuował ją tajnie przez cały czas okupacji niemieckiej. W r. 1938 został członkiem korespondentem I wydziału Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, a w r. 1945 współpracownikiem Komisji Historii Literatury Polskiej Akademii Umiejętności. Oglądał w czasopismach i wydawnictwach zbiorowych artykuły z zakresu dydaktyki i historii literatury polskiej. Najbardziej zasłynął ze swojego obszernego zbioru książek, o którego historii mówi w niniejszym pamiętniku, napisanym 1945 r. Druku jego nie dożył: zmarł w Warszawie 4 czerwca r. 1950.

Von der Zeit der Rückkehr nach dem 2. Weltkrieg bis zur Gegenwart  
 die Entwicklung der deutschen Wissenschaften und die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.  
 Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.  
 Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.  
 Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.  
 Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.  
 Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der  
 Hochschulbildung in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung  
 in Deutschland. Die Rolle der Hochschulbildung in Deutschland.



## PRZEDMOWA

W bogatej i ciekawej na ogół naszej literaturze pamiętnikarskiej bardzo mało jednak jest kart mówiących o „życiu książek“: o stosunkach wydawniczych, księgarskich, antykwarskich, o kolekcjonerstwie, bibliotekarstwie, czytelnictwie. Otóż oryginalnością wspomnień Jana Michalskiego jest już to, że właśnie „świat książek“ jest ich naczelnym przedmiotem.

Nazwisko autora nie jest obce szerszej publiczności. Wie ona o zbiorach Jana Michalskiego, z których wypożyczano książki, ryciny i inne obiekty na wiele wystaw urządzanych w ciągu dwudziestolecia „międzywojennego“. Ale wyraz „zbieracz“ w potocznym swoim znaczeniu bardzo niedostatecznie określa jego indywidualność.

Zazwyczaj, kiedy używamy tego wyrazu, wyobrażamy sobie kogoś o dużym majątku, bądź odziedziczonym, bądź pochodzącym z sowitych dochodów, majątku, który pozwala mu na kulturalny zbytek w jakiejś specjalnie ulubionej dziedzinie. Otóż zbieractwo Jana Michalskiego ma zupełnie inny charakter społeczny. Nie odziedziczył on żadnej fortuny; jak z jego wspomnień widać, już od młodych lat musiał zarabiać na życie; a później nigdy nie „piastował“ godności pozwalającej na szybkie zbieranie pieniędzy. Przeciwnie: przez całe prawie życie pracował jako nauczyciel.

A zbiory, do których doszedł, to nie jakaś kolekcjka *curiosów*, ale biblioteka obejmująca około czterdziestu tysięcy tomów i to jakich! Wśród starych druków polskich były w niej rzeczy, które stanowiły sensację dla bibliografów. Jego dział *Poloniców* osiemnastowiecznych porównywano z analogicznym działem Biblioteki Jagiellońskiej. Jego *Mickiewicziana* można było zestawiać ze zbiorem książek Muzeum Mickiewiczowskiego w Paryżu. To, co miał

z literatury o Słowackim, ustępowało w kompletności chyba tylko zasobom Ossolineum. A było tam jeszcze mnóstwo innych dzieł: kolekcja autorów polskich wszystkich wieków, prawie komplet ich opracowań krytycznych, wielki zbiór przekładów z literatur klasycznych i nowożytnych, komplety dzieł poświęconych różnym zagadnieniom społeczno-kulturalnym itd. Rzecz aż nie do wiary, że tyle mógł zgromadzić jeden człowiek i to wcale w jakiś szczególnie sposób przez los nie uprzywilejowany.

Czym się te imponujące wyniki przy takiej skromności środków tłumaczą? Oczywiście, zamiłowaniem, wytrwałością, znajomością rzeczy. Ale nie tylko tym. Książka Jana Michalskiego nazywa się *Pięćdziesiąt pięć lat wśród książek*. Mogłaby się jednak nazywać także „*Pięćdziesiąt pięć lat wśród ludzi*“. Proszę przeczytać w niej serię sylwetek współkolekcjonerów, uczonych, księgarzy, cenzorów, a przede wszystkim antykwariuszy warszawskich. Jaka w nich ostrość konturu — uderzająca szczególnie przy wielkiej zwięzłości i wielkiej prostocie słowa. Zwłaszcza cały tak swoisty i ciekawy świat antykwarzy Żydów z ul. Świętokrzyskiej staje tu przed nami z niezwykłą wyrazistością. Czytelnicy ze starszego pokolenia, którzy byli klientami tej „ulicy książek“, spotykają tu wizerunki wielu swoich znajomych. Ale napewno mało kto tak na nich patrzył i tyle o nich wiedział, co autor tych wspomnień. Na ogół byli to dla nas tylko obojętni „sprzedawcy“. Michalski, jak się okazuje, znał koleje ich życia, ich stosunki rodzinne, kłopoty domowe. Weredyk, nigdy nie szukający słów gładkich, umiający zawsze ostro skarcić niegrzeczność czy krętactwo, umiał przecież zawsze okazać współczucie ludzkie zmartwieniom każdego człowieka. Charakterystyczna w swoim prostym patosie jest opisana we wspomnieniach scena jego spotkania z córką jednego z handlarzy książek ze Świętokrzyskiej w przededniu zamknięcia ghetta warszawskiego za okupacji niemieckiej. Jakież w niej świadectwo dla człowieka. Tym rysem swojej natury wzbudzał Michalski zaufanie, podobnie jak „handlowy“ respekt wzbudzał swoją świetną orientacją w stopniu rzadkości, a więc i w cenach książek. Znawca i człowiek zyskiwał w ten sposób warunki zupełnie wyjątkowe dla powiększania swojej biblioteki.

Trzeba też jeszcze o pewnych właściwościach zbieracza wspomnieć. Rzeczą znamienną dla Jana Michalskiego była niewytrzymałość na wszelkie słowa bez pokrycia. Bodaj że z tym rysem jego usposobienia wiąże się geneza jego kolekcjonerstwa. Inni mogli



mówić o książkach, on musiał je mieć pod ręką. Ale, jak wiadomo, ci, co książki gromadzą, nie zawsze je czytują. Michalski nie tylko zbierał, ale i czytał. I to gruntownie czytał: jak filolog z wykształcenia i zamiłowania. Dlatego zawsze można było od niego dostać kompetentną radę, czy informację. Nigdy też zbieractwo nie stało się u niego celem samo w sobie. Realizował on zaiste jedno z niepodobieństw Krasickiego: bo zbiorów swoich zawsze „potrzebnym udzielał“. Chyba żadna większa polonistyczna praca historycznoliteracka w Warszawie w ciągu kilku dziesiątków lat nie obyła się bez pomocy jego biblioteki. Ileż wystaw zasilił albo i wręcz zorganizował. Pożyczał zresztą książki nie tylko na wystawy i do instytucyj, ale i prywatnym ludziom, czasem mało znanym nawet, o ile tylko wyczuł w nich głód wiedzy, prawdziwy zapal, czy zacięcie badawcze.

Te same rysy cechowały i jego pracę pedagogiczną. Bo stale uczył, mnóstwo uczniów wychował i w mnóstwie rozbudził prawdziwe zamiłowanie do arcydzieł literatury powszechnej, a zwłaszcza polskiej. Jakie były jego metody? Bardzo proste. Nie stosował stylu entuzjastycznego, agitacji, peror. Działał i tu praktycznie. Inni opowiadali z zachwytem o pięknościach różnych wierszy; on okazywał, jak je ceni, cytując je obficie albo i w całości recytując z pamięci. Inni opowiadali o arcydziełach; on je najnaturalniej przynosił ze swojej biblioteki i wypożyczał do czytania. Nie zapomnę, jak, mając lat piętnaście, dostałem tak od Michalskiego do lektury *Iliadę* i *Ramajanę*. Jego praca nauczycielska była tak samo jak jego biblioteka szkołą rzetelności o szerokim promieniowaniu społecznym.



*Pamięci Zygmunta Wolskiego, Józefa Drège'a i Kazimierza Piekarskiego, największych bibliofilów, jakich w życiu spotkałem, tę garść luźnych wspomnień poświęcam.*

*J. M.*



## ROZDZIAŁ I

### PIERWSZE KROKI

Często zastanawiałem się nad tym, skąd we mnie powstało zamiłowanie do książek i do ich gromadzenia. W latach dziecińczych z wielką przyjemnością oglądałem roczniki *Tygodnika Ilustrowanego*, *Kłosów*, *Biesiady Literackiej* i z wielkim mozołem starałem się coś niecoś przeczytać. Rzecz prosta, pociągały mnie głównie ilustracje. Później, gdy opanowałem dość szybko technikę czytania, lubiłem godzinami pograżać się w lekturze książek, jakie wpadały mi w ręce. Były to przeważnie rzeczy przygodne i nikt w ścisłym znaczeniu nie kierował dziecinnym moim czytelnictwem. Do dziewięciu lat mieszkałem na wsi, gdzie o książki z różnych względów było trudno. Z tej przygodnej lektury najwięcej upodobałem sobie i wielokroć odczytywałem *Historię Starego Testamentu* Ks. Kozłowskiego, *Robinsona Crusoe* i *Jaskinię Beatusa*, zdaje się, Schmidta. Dzieje Kaina, Abla, Abrahama, Jakuba, Józefa, Mojżesza i innych postaci biblijnych pociągały moją wyobraźnię. Może z tą lekturą najdawniejszą podań hebrajskich wiąże się moje upodobanie do mitów grecko-rzymskich oraz baśni polskich i innych. Była to ulubiona moja lektura w latach pachołących.

Pierwszym miastem większym, które poznałem i z którym losy związały mnie na całe życie, była Warszawa. Przygotowany przez matkę, zdałem konkursowy egzamin do wstępnej klasy 3-go gimnazjum. Pod opieką rodzicielską byłem tylko pierwsze dwa lata. Później, gdy rodzice, nie umiejąc się dostosować do warunków miejskich, wrócili na wieś, mieszkałem na stacji w domu, w którym panowała typowa atmosfera „dulszczyzny”. Do klasy 5-ej włącznie, poza dbałością o potrzeby moje materialne, zresztą nader skromne,

pozostawiony byłem sobie. Ani w nauce, ani w lekturze żadnych wskazówek lub pomocy nikt mi nie dawał z wyjątkiem biblioteczkarzy gimnazjalnych Rosjan, którzy tę sprawę traktowali raczej biurokratycznie.

Od czasu pobytu w Warszawie możliwość zdobywania książek do czytania była dla mnie znacznie łatwiejsza niż przedtem. Pochłaniałem bez wyboru utwory Mayne-Rieda, Coopera, różnych „Robinsonów“, Waltera Scotta, Dumasa ojca, Suego, J. Verne'a oraz literaturę podróżniczą w języku polskim i rosyjskim. Więcej daleko czytałem autorów obcych niż polskich. Oslawione lekcje języka polskiego w gimnazjum, polegające na rozbiorze gramatycznym i tłumaczeniu z polskiego na rosyjski urywków z arcyndnych wypisów Dubrowskiego, urywków wypranych doszczętnie z pierwiastków emocjonalnych i patriotycznych, nie mogły zachęcać do poznawania dzieł polskich. Dopiero istniejące wśród młodzieży klas wyższych kółka odgrywały wobec takich jak ja, pozostawionych sobie, ogromną rolę w zbliżeniu literatury ojczystej. Kółka posiadały nieraz dosyć zasobne biblioteki. Pamiętać należy, że wskutek istnienia cenzury tylko wyjątkowo były dla nas dostępne najpiękniejsze utwory naszej literatury romantycznej oraz drukowane poza zaborem rosyjskim dzieła poruszające najżywniejsze nasze sprawy. Pamiętam np., że szereg utworów poznałem z odpisów, jakie po r. 1831 krążyły potajemnie (*Księgi Pielgrzymstwa, Kordian, Anelli, Przedświt*).

Przewaga autorów obcych w mojej lekturze ustąpiła na rzecz rodzimych pod wpływem do pewnego stopnia przypadku. Na stacji, o której wspominałem, ktoś ze znajomych pewnego razu głośno odczytywał z odcinka *Słowa* scenę porwania Bogusława Radziwiła z *Potopu*. Miałem wtedy 12 lat. Dotąd odczuwam siłę wrażenia mego z owej lektury. Zdobyłem *Ogniem i mieczem* i przeczytałem tę powieść kilka razy z rzędu. Rzecz prosta, że zaczytywałem się później w pozostałych częściach *Trylogii*. Sienkiewiczowi zawdzięczam zainteresowanie się beletrystyką ze szczególnym uwzględnieniem powieści historycznej. Przewertowałem Niemcewicza, Bronikowskiego, Hoffmanową, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, a zwłaszcza Kraszewskiego. Pochłaniałem również utwory Rodziewiczówny, Jeża, Dygasińskiego. Najpóźniej zacząłem smakować w poezji. Matce w czasie pobytu u rodziców podczas świąt i wakacji zawdzięczam znajomość utworów Kochanowskiego (*Treny*), Mickiewicza, Pola, Kondratowicza, Żmichowskiej, Lenartowicza.

Recytowała ona z pamięci duże wyjątki z tych autorów. Może właśnie matce, której tyle zawdzięczam, winienem początki kultu Mickiewiczowskiego i sympatie do Kondratowicza i Lenartowicza.

O nabywaniu książek nie mogłem wówczas myśleć, gdyż rodzice z wielką trudnością łożyli na moje utrzymanie. Po ukończeniu klasy 5-ej musiałem iść całkowicie o własnych siłach. System ówczesnego nauczania wywołał konieczność brania przez słabszych uczniów korepetycji, co miało tę jedyną dobrą stronę, że dawało niezamożnym uczniom i studentom zarobek i umożliwiało im naukę. Już w klasie 5-ej zacząłem dawać tzw. „korki“. Jako uczeń klasy 6-ej dzięki poparciu władz szkolnych dostałem tzw. kondycję: za całkowite utrzymanie i 10 rubli miesięcznie miałem opiekować się i pomagać w nauce uczniakowi drugiej klasy tegoż gimnazjum. 4 lata miałem tę kondycję, a oprócz tego dawałem korepetycje na mieście. Stałem tedy na nogach. Mając zapewnione mieszkanie, utrzymanie i możliwość opędzania niewielkich potrzeb, zacząłem nabywać książki. Licząc się z groszem, udawałem się do antykwarni, w których przedtem nabywałem i sprzedawałem podręczniki szkolne.

Świetnie pamiętam mojego pierwszego dostawcę książek. Był nim Szymon Rubinstein, jeden z licznych antykwariuszów warszawskich o tym nazwisku. Miał on przy ulicy Brackiej koło Nowogrodzkiej sklep, w którym obok książek szkolnych pełno było innych. Rubinstein — zdaje się — pierwszy z antykwariuszów warszawskich sprowadził z zaboru austriackiego nakład znanej *Biblioteki Pisarzy Polskich*, wydawanej przez Turowskiego. W ciągu długiego czasu zeszyty tego wydawnictwa zapępiały półki wszystkich antykwarni. Otóż za grosze sprzedawane tomy Turowskiego i *Biblioteczka miniaturowa*, wydawana przez drukarza Nasierowskiego (*Bajki, Ballady Mickiewicza, Arab, Mnich, Ojciec zadżumionych, W Szwajcarii, Kirgiz* Zielińskiego i wiele innych) stały się zaczątkiem moich zbiorów. Były to nabytki za pierwsze zarobione przeze mnie pieniądze, gdy byłem uczniem klasy 5-ej. W miarę porostania w pierze mogłem pozwalać sobie na kupowanie rzeczy droższych.

Pozostawiony sobie, dość wcześnie miałem wyraźne upodobania i plany studiów wyższych. Już jako siedmioklasista postanowiłem studiować historię literatury polskiej. O wyjeździe na uniwersytet do Krakowa lub Lwowa nie mogłem myśleć, licząc się ze swoimi warunkami. Sądziłem, że dobrą podstawą do studiów polonistycznych będzie sekcja klasyczna na wydziale historyczno-filo-

logicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W związku z tym już w gimnazjum zwróciłem główną uwagę na przedmioty klasyczne, a dobra znajomość greki i łaciny, szczególnie w zakresie gramatyki, ułatwiła mi studia uniwersyteckie, a nawet opłaciła się pod względem finansowym. Byłem poszukiwany jako korepetytor tych przedmiotów i dobrze opłacany. Od planów moich nie odwiódł mnie rady wielu życzliwych, którzy zwracali mi uwagę na ich niezyciowość. Nie myślałem wtedy o tak zwanej karierze życiowej, interesowała mnie wyłącznie nauka. Otóż zakreślona przeze mnie droga studiów wpłynęła na dwutorowość zainteresowań i zbierania książek. Obok *Poloniców* nabywać zacząłem dzieła autorów greckich i rzymskich. Gdy zwiększały się moje zarobki i wzrastały zainteresowania poznawcze od czasu wstąpienia na uniwersytet, zbiór mój rósł i coraz bardziej rozwijała się pasja posiadania.

Czasy uniwersyteckie były tym okresem, kiedy powstawał zrąb mojej biblioteki i kiedy mogłem poczynić największe stosunkowo w moim życiu wydatki na książki. Otrzymałem w drugim roku studiów nową bardzo dobrą kondycję z dwoma nawet pokoikami na mieszkanie właśnie ze względu na pokaźną już ilość zebranych książek. Wystarczał jeden mundur, czapka, palto na cały czas studiów. Poza teatrem odmawiałem sobie wydatków na różne rzeczy i cały zarobek wsiąkał do kieszeni antykwariuszów i księgarzy. Byłem jednym z nielicznych „klasyków“, wyspecjalizowałem się w umiejętności pakowania do głów uczniowskich zawyłych subtelnosci gramatyki greckiej i łacińskiej: po 20-u lekcjach beznadziejny dwójkowicz umiał się uporać z tzw. „ekstemporaliami“, czyli klasówkami, które polegały na tłumaczeniu z rosyjskiego na grekę i łacinę. Dodam nawiasem, że łacina w życiu moim często pomagała mi materialnie. W okresie wojny poprzedniej głównym moim zarobkiem było przygotowywanie z łaciny na maturę; podczas ostatniej okupacji niemieckiej uczyłem łaciny na kompletach, a i teraz po wojnie wróciłem do pierwszej miłości, tj. jestem zawodowym korepetytorem pakującym do głów młodzieży wprawdzie nie subtelnosci, lecz abecadło gramatyki łacińskiej, a przy tym z musu abecadło zasad gramatycznych w ogóle.

Obok studiów w uniwersytecie w zakresie przedmiotów klasycznych, gdzie poznawałem metodę badań filologicznych, zakreśliłem sobie plan poznawania historii literatury polskiej w drodze samouctwa. Muszę nadmienić, że w tych czasach dostępnych dla mnie bibliotek nie było. Biblioteka ord. Krasińskich, Zamoyskich,



Przeździeckich oraz uniwersytecka funkcjonowały tylko w godzinach rannych. W uniwersyteckiej studenci mogli wypożyczać książki z przeznaczonego dla nich działu, w którym utworów w języku polskim prawie nie było. Wykłady odbywały się w godzinach rannych, było ich dużo i trzeba było uczęszczać na nie choćby ze względów przyzwoitości, gdyż było nas na kursie od dwóch do pięciu. Zarządy bibliotek prywatnych nie dopuszczały studentów do zbiorów.

Takie stosunki zmuszały mnie do dość systematycznego gromadzenia dzieł z zakresu polonistyki. Zaczęły się tedy niemal codzienne wyprawy na połów książek. Z wykładów na Krakowskim Przedmieściu droga do mieszkania szła przez Świętokrzyską, skąd codziennie przynosiłem do domu jakąś zdobycz. Nawet gdy zabrakło nieraz pieniędzy, antykwariusz kredytował lub odkładał stargowaną książkę i nie zdarzało się, aby taką rzecz komu innemu sprzedał. Zainteresowania moje wzrastały. Oprócz literatur starożytnych i polskiej czytałem i nabywałem książki z zakresu literatury powszechnej, historii, filozofii, zagadnień społecznych.

Z początku główną uwagę zwracałem na zbiorowe wydania pisarzy polskich. Nie ceniłem wówczas stanu i dobrej oprawy kupowanych egzemplarzy. Nabywałem też nieraz takie rzeczy i wydania, które później usuwałem ze zbioru. Dbłość o dobry stan książki, wzgląd na jej walory bibliofilskie i rzadkość zjawily się u mnie stosunkowo późno.

W tym pierwszym okresie zbierania „ozdabiałem“ karty tytułowe zamaszystym podpisem a później pieczętką kauczukową. Gdy rozwinąłem w sobie smak i upodobania bibliofilskie, prawie wszystkie te pierwsze nabytki wymieniłem na inne lepsze egzemplarze. Z pewnego rodzaju rozrzewnieniem biorę do ręki teraz nieliczne pozostałe w mojej bibliotece egzemplarze z podpisami, jak np. *Pisma* Cypriana Godebskiego oznaczone numerem 26-m, Ignacego Tańskiego (nr. 32), Konstantego Tymienieckiego i kilku innych.

## ROZDZIAŁ II

### W ANTYKWARNIACH

Handel starymi książkami był nieomal całkowicie w rękach żydowskich. Sklepy ze starzyzną książkową gnieździły się głównie przy ulicy Świętokrzyskiej między Marszałkowską i Nowym Światem. Poza tym szereg kramów był na placu Krasińskich między Długą a wejściem do ogrodu. Po odnowieniu gmachu sądowego przeniosły się one naprzeciwko i na tym miejscu przetrwały do czasów ostatniej wojny. Po parę antykwarni mieściło się przy ulicy Ordynackiej, Kruczej, Elektoralnej, Chłodnej, Zimnej, Żelaznej. Na Marszałkowskiej pamiętam antykwarnię przy rogu Siennej, a to z tego powodu, że nabywałem tam w czasach studenckich niecenzuralne książki, sprzedawane przez spadkobierców... cenzora Funkelsteina. Istnienie kramu przy ul. Chmielnej między Marszałkowską i Zielną wiąże się w mojej pamięci z nabyciem tam wydawnictw Akademii Umiejętności po śmierci prof. Pawińskiego. Na Brackiej lokował się wspomniany wyżej pierwszy mój dostawca, Szymon Rubinstein, a przed pierwszą wojną światową miał antykwarnię przy tej ulicy między Alejami i ulicą Widok wysoce poczciwy, a nieruchliwy Gotfried. Na Marszałkowskiej w pobliżu Świętokrzyskiej długie lata funkcjonował sklep Rosenweina, który z biegiem czasu sprzedawał wyłącznie nakłady, a oprócz tego wydawał wiecznie poczytne *Senniki*, *Kabały*, *Sowizdrzała*, *Historie o siedmiu mędracach* i inne tzw. powieści ludowe. Między Piękną i Koszykową dotrwała do drugiego roku ostatniej wojny antykwarnia jednego z moich „przyjaciół“ Golda. Były też antykwarnie na Mazowieckiej i Jasnej.

Prócz tych starych miejsc handel starymi książkami odbywał się podczas niedzielnych targów na Sewerynowie. Książki rozkla-

dano na ziemi, w koszach oraz na jako tako sporządzonych kramach. Dopiero w ostatnich czasach przed wojną zjawily się wózki z książkami. Istnieli też dawniej antykwariusze wędrowni, którzy byli w bliskich stosunkach z podwórzowymi „handelesami“, nabywali po mieszkaniach stare książki i sprzedawali je prywatnym nabywcom lub właścicielom sklepów antykwarskich.

Większość antykwarni miała rozrzucone chaotycznie po półkach książki i stopy ich na podłodze. Jedynie tylko książki szkolne utrzymywane były w jakim takim porządku. Ponieważ zbieracze stale musieli grzebać się w tych stertach, aby wyłowić coś dla siebie, nieporządek wzrastał z dnia na dzień. Trudno z resztą było wymagać segregowania i utrzymywania w porządku książek od ludzi, którzy byli analfabetami kulturalnymi, a znałem i takich, co byli analfabetami i w ścisłym znaczeniu tego słowa, tj. nie umieli czytać po polsku. Dotąd nie mogę pojąć, jak tacy mogli orientować się w książkach szkolnych a tym bardziej innych. Sam dość późno spostrzegłem u paru handlarzy tę osobliwość, że sprzedawali książki nie umiejąc czytać. Gorzej, że niektórzy z antykwariuszów „chodzików“, przeważnie analfabetów, przyczyniali się do zatraty nieraz cennych rzeczy, sprzedając nabyty towar na wagę do papierni na przemiał albo do sklepów na torebki.

Książek i rękopisów, jak mogłem to stwierdzić na podstawie licznych spostrzeżeń, nie szanowano u nas, bo nie miały należytej ceny rynkowej, sprzedawano je za bezcen właśnie najczęściej takim wędrownym „handlarzom“, gdy trzeba było się wyprowadzać, po śmierci zbieraczy książek, którzy uchodzili za maniaków, lub gdy przeprowadzano jeneralne porządki w domostwach. W dużych miastach większość takiego ruchomego inwentarza „zaśmiecającego“ mieszkania dostawała się do antykwarni, skąd zbieracze i biblioteki wylawiały nieraz unikaty i rzeczy cenne.

Przy tej sposobności stwierdzić muszę niezaprzeczoną zasługę naszych domorosłych antykwariuszów ze Świętokrzyskiej i innych ulic, bo bez nich doszczętnie może zmarniałoby wiele bibliotek prywatnych. Gdy po r. 1918 jako wizytator szkół średnich zwiedzałem różne miasta nasze (Siedlce, Biała, Lublin, Płock, Włocławek, Kielce, Białystok, Grodno — wymieniam tylko większe ośrodki), wdrożony nałogowo — jak pijak do szynków — do wałęsania się po antykwarniach, nie mogłem nigdzie zaspokoić pragnienia, gdyż w żadnym z tych miast antykwariatów nie spotkałem. Były tylko księgarnie i księgarenki, które obok rzeczy nowych trzymały je-

dynie szkolne używane podręczniki. Gdy pytałem, co się dzieje w tych miastach ze zbiorami książek starych, odpowiadano mi, że idą jako makulatura na torebki i do obwijania śledzi, chyba że zjawi się antykwariusz z Warszawy. Powstające biblioteki publiczne prowincjonalne ratowały od zagłady wiele książek. Tu wymienię wyjątkową energię, umiejętność i niestrudzony zapał, a może i szczęście p. Haliny Rutskiej, kuszłoszki, a właściwie twórczyni zbiorów Towarzystwa Naukowego Płockiego, która przedziwnie wydobywała książki, rękopisy i inne pamiątki naszej przeszłości z przeróżnych lamusów i zakamarków.

Los książki w Polsce, powiedzmy prawdę, był do ostatnich niemal czasów oplakany. Pomijam żywiołowe katastrofy (wojny i b. częste pożary), pomijam częste rabunki i niszczycielskie instynkty dawnych i świeżych najeźdźców. Ileż to cennych rzeczy zaprzepaściliśmy przez brak pietyzmu, poszanowania i rozumienia wartości książki. Jeżeli w domach tzw. inteligentów do rzadkości należy dobrana biblioteka domowa, w której można by znaleźć choćby arcydzieła ojczystej literatury, to cóż tu mówić o innych warstwach narodu? O książki w Polsce nie dbano. Dość przyjrzeć się stanowi przeciętnej, nieco starszej książki. Oprawa zniszczona lub fatalna, kartki noszą ślady brudnych palców i początków nauki rysowania i pisania najmłodszej generacji; często badania chemiczne resztek jadła i napojów utrwalonych na dawnych drukach mogłyby powiedzieć, czym odżywiali się właściciele książek; wydarłoby karty na początku i końcu szły na papiloty i inny użytek.

Stara książka polska w dobrym stanie należy do wielkich rzadkości i jeżeli się taką spotka, pochodzi z antykwariatów zagranicznych, ze zbiorów tak zakonspirowanych, że nikt nie miał do nich dostępu, albo ze zbiorów niewielkiej w Polsce gromadki prawdziwych bibliofilów. U nas np. prawie nie znamy snobistycznego może nieco zamięłowania do pierwszych wydań. Za granicą ceny tych rzeczy dochodzą do okazałych sum pod tym niezbędnym warunkiem, że okazy muszą być świetnie zachowane. Mam to przekonanie, że gdy u nas przyjdzie czas na tego rodzaju upodobańca, ceny naszych pierwodruków będą bająnskie, jeżeli będzie brany pod uwagę ów niezbędny warunek niepokalanego stanu. Z doświadczenia powiem, że hołdując nieco tej snobistyczno-bibliofilskiej żyłce, musiałem wielekroć wymieniać egzemplarze pierwszych wydań Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, a nawet

Sienkiewicza i Wyspiańskiego i nie mogę powiedzieć, żeby mój zbiór był bez poważnych zarzutów co do stanu niektórych egzemplarzy. Dzięki dobrym stosunkom z antykwariuszami wymiana okazów na lepsze nic mnie nie kosztowała. Właściwie dopiero po wojnie 1914 r. oprawa książki wpływała na podniesienie w antykwarniach ceny, a zachowanie książki prawie nie było brane pod uwagę. Dziwili się niektórzy sprzedawcy, że wymieniałem u nich książki w oprawie na nieoprawne.

Wracając do antykwarni i antykwariuszów warszawskich muszę zaznaczyć, że były wśród nich nieliczne wyjątki, które odbijały od charakterystyki ogólnej właścicieli i sklepów, przedstawiającej niski ich stan. Z biegiem czasu, szczególnie od wskrzeszenia państwa naszego, warunki poprawiły się pod wielu względami. Zniknąć zaczęły niechlujne sklepy, których właściciele ze Świętokrzyskiej przenosili się na Elektoralną, Żelazną, Nowiniarską i inne ulice. Konkurencja i większe wymagania publiczności zmuszały antykwariuszów do uporządkowania zasobów książkowych, do ich spisywania, a nawet drukowania katalogów antykwarskich. Wytwarzać się zaczęła nawet specjalizacja: część handlowała prawie wyłącznie książkami szkolnymi, inni rozprzedawali resztki nakładów, a byli i tacy, którzy mieli aspiracje do prowadzenia handlu książkami treści naukowej. Młodsze pokolenie pod względem przygotowania umysłowego stało wyżej od dziadów i ojców, często jednak odznaczało się arogancją i niegrzecznością wobec klientów. Antykwariusze starszego pokolenia byli z nader nielicznymi wyjątkami chasydami, chodzili w długich chałatach i specjalnego kroju czapkach, nosili długie brody i solennie obchodzili soboty i święta żydowskie. Młodsze pokolenie porzucało strój tradycyjny, a gdy sejm uchwalił całkowite świętowanie niedziel, zaczęło otwierać sklepy w soboty.

Antykwariusze warszawscy ze Świętokrzyskiej był to rozrastający się klan kilku rodzin: Salcsteinów, Rosenweinów, Rubinsteinów, Kleinsingerów, Baumkolerów, Millerów. Inne nazwiska, znane zbieraczom, należały do tych, co przyżeniali się do patrycjatu, np. Fiszler ożenił się z Kleinsingerówną. *Homines novi* — to Jabłonko, Przeworski, Jonasz i kilku mniej znanych. Pamiętam 15 Rubinsteinów, 10 Salcsteinów, 8 Kleinsingerów, 4 Millerów i kilku Baumkolerów. Do najstarszych może nazwisk należy nazwisko Salcsteinów. O Geclu Salcsteinie, który mieszkał w kamienicy pod Łabędziem na Mariensztacie, pisał we wspomnieniach

z początku 19-go wieku K. Wł. Wóycicki. Gecel ów miał być wybitnym antykwariuszem, choć nie umiał czytać po polsku.

Tyle czasu i energii mojej łączy mię z tą dość liczną gromadą ludzi, że gdy teraz sięgam pamięcią do przeszłości, nie mogę się oprzeć chęci utrwalenia tych wspomnień i przedstawienia w szeregu zdjęć migawkowych najtypowszych postaci. Z drugiej strony długie lata stałych stosunków, zwłaszcza ze starszymi przedstawicielami firm, wytworzyło między nami zażyłość, czasami nawet serdeczność. Kto wie, czy bez pomocy, przychylności i specjalnych dla mnie z ich strony względów mógłbym był dojść do poważnych rezultatów w moich zbiorach. W moich oczach rosło młode pokolenie, które do mnie się przyzwyczało i ze mną liczyło. Często na prośbę rodziców karcilem młodych za ich arogancję względem klientów. Przychylny stosunek antykwariuszów szalenie ułatwiał mi kolekcjonowanie.

Korzystałem z szeregu przywilejów. Pierwszy oglądałem większe nabywane biblioteki; antykwariusze wędrowni przynosili mi do domu książki; otrzymywałem szczotkowe odbicia drukujących się katalogów; nie traciłem czasu na sprawdzanie całości egzemplarzy, gdyż świadomie żaden antykwariusz, największy nawet krętacz defektu mi nie sprzedał, a gdy w domu dostrzegłem braki, nawet po upływie dłuższego czasu sprzedawca zamieniał mi egzemplarz lub zwracał pieniądze. Dla mnie odkładano wszelkie *Mickiewicziana*. Kulturalniejsi antykwariusze orientowali się w tym, co zbieram, i odkładali dla mnie tego rodzaju rzeczy, a ogół pokazywał mi wszelkie starsze druki świeżo nabywane. Największym ułatwieniem było to, że przyzwyczajeni w przeciągu długich lat do niższych cen dla mnie, normę tę stosowali i później. Dziwiło to i irytowało niektórych zbieraczy. Na pytanie, dlaczego mnie sprzedają książki taniej, otrzymywali od antykwariuszów odpowiedź, że „inają do p. profesora słabość“.

Muszę zaznaczyć, że i mój stosunek do antykwariuszów cechowała życzliwość i wyświadczałem im pewne usługi. Byłem ich cenzorem, to znaczy, że pokazywali mi drukowane nie w zaborze rosyjskim książki. Stosownie do mojej opinii spokojnie umieszczali na widoku rzeczy dozwolone lub skrzętnie chowali je przed urzędowymi inspektorami. Ponieważ nieświadomością nie można było się tłumaczyć, znalezienie nielegalnej książki groziło zamknięciem sklepu, zwykle jednak sprawa kończyła się na łapówce. Na tym cenzurowaniu książek dobrze wychodziłem, gdyż wyławiałem dla siebie

potrzebne mi rzeczy, o które było bardzo trudno w pierwszej fazie mojego kolekcjonerstwa. Gdy wśród starych książek, które dla mnie odkładano, niektórych nie nabywałem, pytano mnie o ich wartość. Oceniałem te rzeczy ku wielkiemu niezadowoleniu innych zbieraczy.

Przytoczę parę faktów ilustrujących stosunek antykwariuszów do mej osoby. Gdy siostra moja nabyła dla siebie kilka książek i po ich zapakowaniu powiedziała sprzedawcy o pokrewieństwie ze mną, paczka zniknęła, egzemplarze zostały wymienione na lepsze, a kupiec samorzutnie obniżył cenę. Zbierałem *Iudaica*. Otóż zdarzyło się, że jeden z antykwariuszów, gorliwy chasyd, gdy wszedłem do sklepu, wyjął ze schowka i pokazał mi antysemitkę broszurę. Gdy usłyszał, że mam ten utwór, ku wielkiemu memu zdziwieniu podarł książeczkę z widoczną satysfakcją i powiedział, że nie będzie sprzedawał antysemitkich rzeczy. Zapytany, dlaczego mnie chciał sprzedać, oświadczył, że nie uważa mnie za wroga Żydów.

Kolekcjonowanie książek starszych, zarówno jak wszelkich „antyków“ pod wielu względami przypomina myślistwo. Wyprawy, tropienie, podchody, pułapki, trafy, szczęście etc. oto, co upodobnia zbieracza do myśliwego. I jak pasja myśliwska ponosi często ludzi i zmusza ich do zabijania zwierzyny ponad potrzebę i miarę, tak i zbieracz pasjonuje się często ponad potrzebę i możliwość. Nie mówię tu o patologicznych objawach, o maniakach, którzy gromadzą sterty bez wyboru i myśli, nie zaglądając do treści posiadanych rzeczy. Często w praktyce swojej miałem możliwość przeglądać podobne zbiory po śmierci właścicieli i wyławiać czasami prawdziwe perły spośród istnych śmieci.

Wśród tych wypraw „myśliwskich“, jakie rozpocząłem w życiu mým wcześniej i uprawiałem stale i systematycznie, wyrobiłem się na niezgorszego łowcę, stopniowo przyswajając sobie wszelkie arkana sztuki myśliwskiej. Nieustanne przeglądanie mnóstwa książek rozszerzało i pogłębiało we mnie znajomość dorobku piśmiennictwa polskiego nie tylko w zakresie humanistyki. Niezwykle chłonna pamięć, szczególnie wzrokowa, pozwalała mi z ogromną szybkością odrzucać rzeczy znane, wybierać rzeczy potrzebne, nie gromadzić dubletów. Mogłem z biegiem czasu zwracać najwięcej uwagi na książki, które pierwszy raz miałem w ręku. Dzięki temu doszedłem do niezłej znajomości starych druków, a wobec małej kompetencji „moich przyjaciół“ nabywałem najrzadsze i najcen-

niejsze rzeczy często za psie pieniądze. Szybko decydowałem się, co kupić a co odrzucić, jeżeli cena była duża. Gdy natrafiłem na rzecz arcyrzadką, której nie spodziewałem się spotkać drugi raz w życiu, nie wypuszczałem zdobyczy z rąk. Natomiast orientując się w popycie na książki, sam nakładałem na niektóre rzeczy cenę i żartobliwie zapowiadałem, że następnym razem obniżę cenę. Przeważnie polityka ta odnosiła skutek. Stosunki z niektórymi antykwariuszami tak się ułożyły, że nakładali ceny, na które się łatwo godziłem, i kupno dochodziło do skutku bez targu. Natomiast trzeba było koniecznie targować się z kupcem, nawet gdy podawał cenę niską, bo w przeciwnym razie sądził, że się oszukał i pod różnymi pozorami odkładał sprzedaż książki.

W ogóle z głupcami i chytrymi musiałem chwytac się innych sposobów. Niektórym zdawało się, że wszystko, co wybieram, musi być rzadkie i cenne. Żądali też nieraz śmiesznie wysokich sum lub twierdzili, że to komis, że właściciel nie podał jeszcze ceny i proponowali, abym sam ocenił książkę. Mówiłem wtedy, że przez długie obcowanie z Żydami nauczyłem się od nich wielu rzeczy, między innymi tego, że nigdy nie chcą podawać ceny książki, jeżeli ją przynosi ktoś na sprzedaż. Dziwną, dla zbieraczy zrozumiałą będzie przyjemność, gdy udawało się nabyć za bezcen jakiś rarytas. Podnosiło to w oczach zbieracza wartość nabytku i takimi trofeami chętnie popisywał się wśród komilitonów, niczym myśliwy z wyczynów łowczych. Przeważnie też zbieracze jak i myśliwi koloryzowali mocno w sprawie niskich cen.

Umiałem panować nad sobą i z mojej twarzy lub z ruchów żaden antykwariusz nie mógł wyczytać, czy palę się do książki. Przeciwnie, żart w rodzaju: „Co mam dać za te łachy?“ — wywoływał lekki protest, ale obniżał skutecznie cenę. Obawiając się nieraz, aby głuptasowi nie przyszło do głowy twierdzić, że to jest rzecz komisowa, jeszcze bez ustalonej ceny, używałem z powodzeniem takiej sztuczki: Brałem parę druczków bezwartościowych, o czym kupiec wiedział, i do tego dołączałem rzadkość. Antykwariusz uogólniał, płaciłem drobną kwotę, wyrzucałem do kosza makulaturę, a cenna rzecz powiększała moje zbiory. W ten sposób nabyłem np. *Hamleta*, arcyrzadki druczek minkowiecki.

Najlepiej było kupować książki w większej ilości, zwłaszcza gdy antykwariusz nabywał nowy zbiór. Kupcowi chodziło o zdobycie większej sumy i wycofanie kapitału obrotowego, a z drugiej strony rzadkie książki w gromadzie uchodziły uwadze sprzedawcy. By-



wało i tak, że chcąc wypróbować, czy handlarz choć cokolwiek zna się na starych drukach, gromadziłem ich kilkanaście i zmieniając umyślnie po kilka razy ich miejsce pytałem o cenę. Za jedną i tę samą książkę słyszałem ceny znacznie się nieraz różniące i wtedy oczywiście nabywałem druk za cenę najniższą z podanych.

Kilka razy udawał się tego rodzaju chwyt, który musiałem stosować do antykwariuszów głupio przemądrzałych i lubiących klientów obdzierać ze skóry. Odkładałem umyślnie dużo książek. Notowałem z całym spokojem wysokie ceny, sumowałem i oświadczałem w końcu, że ceny są zbyt wysokie, że nie rozporządzam taką gotówką i rozpoczynałem rozmowę na inny temat. Po pewnym czasie zabierałem się do opuszczenia sklepu, z góry przewidując, co będzie. Rzeczywiście, antykwariusz zatrzymywał mnie i ze słowami: „Jak to, pan profesor dziś nic nie kupi?“ — proponował, aby nabyć choć kilka rzeczy. Rybka haczyk połknęła. Wyławiałem rzeczy arcyrzadkie, o które mi właśnie chodziło, potargowaliśmy się i górą nasi. Pamiętam, jaką to sprawiło mi przyjemność, że w ten sposób podszedłem znanego zdziercę, nabywając *Słownik Mikłosića*, dzieło Baudouina de Courtenay *O języku staropolskim* i kilka jeszcze innych cennych i drogich rzeczy. Gdy po kilku dniach zawitałem do antykwarni, dowiedziałem się od chytrego właściciela, że nazajutrz po opisanym kupnie zapytał prof. Kryńskiego, który zaszedł do sklepu, o wartość nabytych przeze mnie książek. Ten podał mu cenę, zresztą znacznie jeszcze wyższą od cen katalogów zagranicznych, a dowiedziawszy się, kto był nabywcą, pocieszył antykwariusza ze zwykłym sobie spokojem, że książki dostały się w dobre ręce. Pocieszałem go i ja twierdząc, że musi się pogodzić z tym, iż jako niezły znawca książek pobiję nawet takich jak on szczwanych. Zresztą i po tym incydencie stosunki między nami były dobre.

Jeden ze starszych antykwariuszów, znający się niezłe na dawnych drukach, stosował względem mnie i innych tego rodzaju sposób. Z. Wolskiemu, Ig. Chrzanowskiemu, G. Korbutowi mówił, że chce kupić pewien druk, ale nie mam na razie pieniędzy; mnie znów twierdził, że któryś z wymienionych chce tę rzecz nabyć, lecz musi sprawdzić, czy nie ma już egzemplarza w swojej bibliotece. Nie przewidział pocziwiec, żeśmy o tym jego dowcipie dowiedzieli się z rozmów między sobą i umówiliśmy się, aby na okładce, gdy druk nie jest któremu z nas potrzebny, stwierdzał to inicjałami

swego nazwiska nieznacznie ołówkiem na ostatniej stronicy. W ten sposób udaremniliśmy podstęp antykwariusza.

Istniały też pewne przesady kupieckie, których znajomość ułatwiała nabywanie książek po tańszej cenie. Do takich np. przesądów należało nie wypuszczać bez towaru kupca, który wchodził zaraz po otwarciu sklepu pierwszy, a zwłaszcza po szabasie, bo od tego rzekomo miał zależeć obrót dnia lub tygodnia. Niektórzy antykwariusze mieli zwyczaj notować na okładkach książki, za jaką kwotę nabywali egzemplarz i to pozwalało subiektem czy rodzinie kupca orientować się przy sprzedaży. Z łatwością odczytywałem te bardzo proste szyfry i to znów pomagało mi przy nabywaniu.

### ROZDZIAŁ III

#### WSRÓD ANTYKWARIUSZY

Z pokaźnej liczby antykwariuszów, z jakimi miałem do czynienia w przeciągu tak długiego czasu, postaram się odtworzyć z pamięci mojej sylwetki niektórych.

Zacznę od Szymona Rubinsteina z ulicy Brackiej, od którego rozpocząłem moje wędrówki. Antykwariusz ten, bardzo pobożny chasyd, którego postać wylania się z moich wspomnień najczęściej w pozie modlitewnej, jeden z pierwszych wydał katalog antykwarski i jak już wspominałem, sprowadził z Krakowa nakład *Biblioteki Pisarzy Polskich* Turowskiego, zawierającej przedruki pisarzy naszych głównie z 16-go i 17-go wieku. Nabył on jedną z największych i najcenniejszych bibliotek, jakie za mojej pamięci znalazły się w handlu antykwarskim. Wielki zbiór, pieczołowicie i umiejętnie zbierany w ciągu wielu lat przez Celińskiego z Cekowa, po śmierci właściciela jakiś starozakonny, prawdopodobnie wierzyciel, sprowadził na drabiniastych wozach do Warszawy. Część zbioru rozeszła się po kilku antykwarniach. Przeważną część S. Rubinstein umieścił w wynajętym pokoju przy ul. Brackiej, gdzie zbieracze zaczęli się grzebać w stertach książek rozrzuconych na ziemi lub półkach. Byłem wtedy studentem, jeszcze żółtodzióbem jako zbieracz. Rubinstein dawał mi klucze od tego pokoju i pozwalał wyszukiwać dla siebie książki. Pałęm się wtedy do klasyków łacińskich i polsko-łacińskich; polskie utwory były na drugim planie. Z tego zbioru przeszły do mojego dzieła Janickiego, Dantyszka i innych. Sądziłem naiwnie, że ktoś ze zbieraczy wyłowi te rzeczy. Gdybym miał znajomość rzeczy i doświadczenie późniejsze, ileż bym wyłusknął druków staropolskich za tani pieniądz.

Z tej biblioteki pochodzi w moim zbiorze sporo utworów dramatycznych wieku XVIII-go, dzieła łacińskie A. M. Fredry, Olizarowskiego, Orzechowskiego, a z polskich rzadki *Władysław IV S. Twardowski* i *Wojna domowa*. Dotąd zapomnieć nie mogę o komplecie pięknie zachowanego *Monitora*, którego nie udało mi się zebrać w całości. Obłowili się wówczas starsi i mądrzejsi ode mnie zbieracze: adwokat Leopold Świderski, Wiktor Gomulicki, który poza drukami staropolskimi wydobył stamtąd jedno z pierwszych wydań Dantego i cenny zbiór *Danteanów*.

S. Rubinstein jakoś nie umiał czy nie chciał wdrażać synów do handlu książkami. Gdy się posuwał w latach, sklep pustoszał, Turowski zniknął, nowych rzeczy nie przybywało i w końcu trzeba było opuścić sklep z powodu zaległego komornego. Zachodziłem czasami do starego Szymona, który ulokował się u jednego z synów, uczonego podobno rabina ortodoksa. Tam Rubinstein Szymon miał składzik książek i na starość stoczył się z pozycji antykwariusza do rzędu wędrownych. Wizyty i rozmowy ze mną sprawiały widocznie przyjemność starcowi, bo przypominały mu dawne lepsze czasy.

Szymon miał kilku braci również parających się antykwarystwem. Jeden z nich miał kramik przy placu Krasińskich i należał do tych osobliwych kupców, którzy długie lata handlowali książkami nie umiejąc czytać po polsku. Drugim osobliwym przymiotem owego antykwariusza było to, że lubił zaglądać do kieliszka, co na ogół rzadko się zdarza wśród Żydów. Miał on kilku synów poświęcających się również handlowi książkami. Jeden z nich miał, cherlawy, z suchą rączką miał sklep przy ulicy Elektoralnej. Podtrzymywał on chyba świadomie i pieczołowicie tradycje dawnych antykwarni, trudno bowiem było spotkać równie fenomenalny nieład i brud, jaki tam panował. Ten wyjątkowy brzydal i brudas kilkakrotnie żenił się i rozwodził, i nie mogłem wyjść z podziwu, co pociągało do niego kobiety młode i niebrzydkie.

Drugi syn Abram, człowiek wielkiej uczciwości, zaczął karierę jako wędrowny antykwaryusz. Po wojnie światowej w jakiś sposób nawiązał stosunki z Ameryką i Rosją skupując w Warszawie i na prowincji książki żydowskie, szczególnie podręczniki szkolne. Dorobił się na tym handlu i uchodził przez pewien czas za możnego wśród przeważnie biednych kupców tej branży. Dobroć serca, jak mi mówiono, spowodowała, że pożyczanie pieniędzy, wspomaganie biednych współwyznawców, wyprawianie biesiad

dla znajomych zrobiły z zamożnego człowieka znów biedaka, który do ostatnich czasów miał nędzny sklepik przy ul. Nowiniarskiej. Bardzo lubiłem tego znanego mi od dziecka antykwariusza.

Drugi brat Szymona Rubinsteina był antykwariuszem „chodnikiem“. O nim mówiono, że zaprzepaścił mnóstwo książek sprzedając je zaraz po nabyciu na makulaturę. On też nie umiał czytać po polsku. Do mnie zajeżdżał nieraz dorożką z nabytym towarem, często bezwartościowym. Stale zwracałem mu koszta podróży, choćbym nic nie kupił. Dwaj jego synowie, również analfabeci, odznaczyli się niezwykłym humorem, długie lata byli dostawcami do antykwarni książek nabywanych podczas wycieczek podwórzowych po kamienicach warszawskich.

Dwóch jeszcze Rubinsteinów z tej samej rodziny pamiętam. Przy Świętokrzyskiej w jednopiętrowym domku, gdzie później wybudowano okazały gmach P. K. O., miał antykwarenkę Rubinstein, zwany pospolicie Rudym. Był to wyjątkowo uczciwy człowiek. Obarczony liczną rodziną biedak ten nigdy nie kupował książek od małoletnich. Widocznie ta jego uczciwość ściągała do niego „handelesów“ z workami książek. Często zachodziłem do niego, bo wyprzedawał nabytki szybko i tanio. U niego wśród makulatury przeznaczonej na owijanie śledzi wyłowilem niezmiernie rzadkie *Dziady* i *Księgi Pielgrzymstwa*, litografowane za czasów Mikołaja I przez studentów Polaków w Moskwie czy Kijowie. Budowa P. K. O. doprowadziła Rudego do zupełnej ruiny: nie miał za co wynająć sklepu i sprzedawał książki na ulicach w dzielnicy żydowskiej.

Inny Rubinstein, zwany pospolicie „Ząbalem“, roznosił w ciągu wielu lat książki po mieszkaniach zbieraczy i antykwarniach. Jak się znał i orientował, świadczy choćby taki fakt. Dałem mu kartkę z dezzyderatami. Otóż przyszedł po pewnym czasie z książkami do Z. Wolskiego, pokazał mu mój spis i pytał, czy nie ma czegoś z tych rzeczy w swych dubletach. Właśnie w przyniesionej wówczas do Wolskiego paczce było kilka z poszukiwanych przeze mnie rzeczy. Oczywiście, pan Zygmunt nabył te rzeczy i nazajutrz ofiarował mi je do zbiorów.

Najstarszym może wśród antykwariuszów warszawskich był ród Salcsteinów. Głową tego rodu za mojej pamięci był właściciel sklepu przy ulicy Ordynackiej, skąd potomkowie jego wyszli na Świętokrzyską i z biegiem czasu sprzeniewierzali się rodzinnym tradycjom, porzucali handel książkami i kupczyli antykami. Senior rodu nosił wśród współrodaków wymowny przydomek „Ganew“



(złodziej). Opowiadali mi, że chałat jego posiadał szereg ukrytych kieszeni, gdzie chował zabrane na pamiątkę książki, gdy w różnych domach bywał w celu nabywania bibliotek. Potomkowie jego, jak zaznaczyłem, zaczęli handlować antykami. Do czasu ostatniej wojny na Świętokrzyskiej tuż przy Nowym Świecie miała p. f. *Stera* sklep ze starożytnościami znana z bujnego życia, piękna w młodości *Estera*, córka „*Ganewa*“. Syn a później wnuczowie prowadzili handel antykami również na Świętokrzyskiej w pobliżu *Jasnej*.

Przykład działał widocznie zaraźliwie, bo z biegiem czasu potomkowie księgarzy (różni *Kleinsingerowie*, *Zające* i inni) przekształcili się na dostawców naiwnym zbieraczom antyków bardzo świeżego pochodzenia. Zbieranie ikonografii *Mickiewiczowskiej* i medalionów dało mi możliwość poznać i ten świat antykwariuszów. *Bagno* i *Świętorzyska* między *Bagnem* a *Marszałkowską* były za mojej pamięci pierwotnie gniazdem handlarzy antykami. Przedtem widocznie, jak sąsiedztwo wskazuje, pobliski *Pociejąw*, rumowisko wszelkiego rodzaju szmelcu i starzyzny, ratował różne „antyki“ od zupełnej zagłady. Do ostatnich czasów można było tam znaleźć czasami cenne okazy starych mebli. Inne rzeczy z *Pociejąwa* zaczęły przechodzić do odpowiedniejszych pomieszczeń w sklepach w wymienionych punktach, a następnie ulegając pracom ewolucji dawniejsze rupieciarnie przybierały inny wygląd.

Pamiętam np. dobrze pierwotną siedzibę firmy *Abego Gutnajera*, jednego z wielu tego nazwiska kupczących antykami. Był to sklepik przy ul. *Wielkiej* czy *Zielnej* tuż przy *Świętokrzyskiej*, zachowujący dużo jeszcze śladów tradycji *poctiejąwskiej*. Gdy po upływie wielu lat byłem przy ulicy *Mazowieckiej* na wystawie pięknych obrazów *Chelmońskiego*, *Gierymskich*, *Malczewskiego* i innych malarzy ze zbioru zakupionego przez *A. Gutnajera* po *Milewskim*, gdy chodziłem po pięknie udekorowanych dywanami salach, nie przychodziło mi na myśl, że jestem świadkiem niezwykłego rozkwitu firmy. Dopiero zjawienie się okazałej mamy *Gutnajerowej* i rozmowa z tą dobrą znajomą wyjaśniły mi sprawę.

Muszę powiedzieć, że moje spostrzeżenia i doświadczenia z wędrówek po sklepach z antykami stwierdziły niski poziom znajomości rzeczy i wśród tych handlowców. Popyt na antyki wzrastał i kurczyła się ilość prawdziwych. Jak mogłem zauważyć, zbieraczami antyków byli często ludzie o małym znanstwie, różnego gatunku zamożne snoby, przeważnie Żydzi. W sklepach i na wystawach sklepowych pełno było okazów „starych“ mebli, tryskało ja-



kieś niewysychające źródło miniatur, przyciągały oczy piękne wazy i inne okazy „starej“ porcelany. Pytałem, skąd biorą się te „nowiutkie antyki“. Znajomi i życzliwi antykwariusze w zaufaniu odpowiadali: „Cóż mamy robić? Pełno jest amatorów, trzeba żyć i zadowolić klientów“. Istniała w Warszawie wytwórnia miniatur i stolarnie wypuszczające stylowe meble, a porcelanę antyczną sprowadzano głównie z Wiednia.

Z rzadka, ale i w tych przybytkach spotykałem potrzebne mi rzeczy i tu również trzeba było używać różnych sztuczek, gdyż ten rodzaj antykwariuszów szczególnie lubił nakładać duże ceny, a to z tego względu, że przeważnie miał do czynienia z bogatymi snobami. Pamiętam np., że gdy wstąpiłem do jednego ze sklepów i rzuciłem zwykłe pytanie, co jest nowego dla mnie, spostrzegłem w kącie oparty o ścianę portret Zana roboty Rustena czy kogoś z jego szkoły. Usiadłem z całym spokojem, kazałem sobie pokazać kilka bohomazów; później sam wziąłem do ręki Zana, obejrzałem go i przeszedłszy do innych rzeczy zniemacka zapytałem, kogo przedstawia ten obraz i kto go malował. Upewniwszy się, że właściciel nie ma o tym pojęcia, spytałem, co kosztuje to malowidło. Usłyszałem cenę względnie niewielką, ale trzeba było potargować się dla zasady. Mówię tedy:

„Nie wie pan, kto to i czyjego jest pędzla, a tak dużo pan żąda.“

— „Tak, ale to przodek, proszę p. profesora.“

— „Co takiego?“

— „Widzi pan, gdyby to był Mickiewicz, to oprócz pana nie byłoby na niego amatora, ale często przychodzą do mnie ludzie, którzy szukają takich nieznanymi portretów, płacą dobrze i wieszają u siebie w salonie jako przodków. Ten portret, który pan chce nabyć, jest z felerem, bo osoba nie ma kontusza, munduru i orderów. Gdyby miał te rzeczy, kosztowałby dużo jako poszukiwany przodek“. Uśmieliśmy się, a Zan uniknąwszy losu przodka powędrował do moich zbiorów. Niestety, był na wystawie Słowackiego w Krzemieńcu w r. 1939 i tam ugrzązł.

Po tej zbyt długiej może dygresji wracam do Salcesteinów. Wielkim moim przyjacielem jeszcze w czasach gimnazjalnych był staruszek Fajwel Salcestein z ulicy Zimnej, biedak jak wielu antykwariuszów na starość. Często wpadałem do niego na pogawędkę (mieszkałem wtedy przy ul. Chłodnej) i lubiłem słuchać opowiadań starca o dawnych zbieraczach, o znanych pisarzach i uczonych. Poczciwy Fajwel przypominał mi księgarza wileń-

skiego Kinkulkiną, uwiecznionego przez Syrokomlę. Gdy z Chłodnej przenosiłem się na nową kondycję na ul. Leopoldyny (obecnie Emilii Plater), stary Fajwel przewoził mi pokaźny jak na studenta II-go kursu zbiór książek i rozmieścił go na półkach w nowym mieszkaniu podczas mojej nieobecności ku wielkiemu zdziwieniu moich nowych chlebodawców, którzy pojąć nie mogli, że nie obawiałem się, aby część książek zniknęła w czasie przewożenia.

W czasie, gdy mieszkałem na Chłodnej, były dwie antykwarnie przy ul. Elektoralnej w okolicach Orlej. W jednej z nich pracował jako subiekt Miller, o którym później powiem. Wysoce oryginalną postacią był drugi antykwariusz, Klepfisz. Lubił on zatrzymywać klientów, zwłaszcza starszych uczniów i studentów i wdawał się z nimi w dłuższe dysputy na tematy filozoficzne i religijne. Wyćwiczony na subtelnościach Talmudu interesował się zagadnieniami metafizycznymi. Ponieważ Klepfisz handlował przeważnie szkolnymi książkami, po wyprowadzeniu się z tamtych okolic straciłem go z oczu i ze zdziwieniem dowiedziałem się w parę lat później, że się powiesił, nie wiadomo z jakich powodów.

Bardzo lubiłem noszącego się krótko Hermansztata z ulicy Jasnej. Odznaczał się pogodnym usposobieniem, nie znał się na książkach pomimo długoletniej praktyki antykwarskiej, sprzedawał tanio i lubił pogawędki, posilając się w międzyczasie bułkami. W mojej pamięci utrwaliła się postać dobrodusznego księgarza stale zjadającego pieczywo. Ożenił się H. z osobą pochodzącą z wyższej pod względem kulturalnym warstwy żydowskiej i cierpliwie znosił jej humory. W sklepie wtrącała się do kupna, besztła męża, a i klientom nieraz się dostawało. Po nagłej śmierci męża prowadziła dalej sklep z pomocą córek. Mnie jakoś Hermansztatowa považała i nigdy nie doznałem z jej strony najmniejszej przykrości.

Córeczki, a było ich kilka, często musiałem gromić za ich stosunek do klientów, a czasami nawet za odezwanie się do mnie. Wyjątkiem była najstarsza, bardzo podobna z rysów i usposobienia do ojca. Wyszła za męża i prowadziła wraz z mężem i po jego śmierci handel książkami przy rogu Placu 3 Krzyży i Żurawiej. Nigdy chyba nie zapomnę tej sceny, gdy w ostatnim dniu, w którym wolno było wchodzić do utworzonego przez Niemców ghetta, szedłem z żoną na Leszno pożegnać się z zaprzyjaźnioną z nami rodziną żydowskiego pochodzenia. Nagle na ulicy Rymarskiej ku wielkiemu zdziwieniu mojej żony z tłumy rzuca się z wielkim płaczem na moją szyję jakaś niewiasta. Była to właśnie ta najstarsza



córka Hermansztata, która znając mnie od dziecka wyplakała się i wypowiedziała nam swoje cierpienia i przeczucia.

Na Świętokrzyskiej naprzeciwko ul. Czackiego (wówczas Włodzimierskiej) był sklep antykwariusza Brojdy. Pamiętam dobrze owego przysadkowego kupca w stroju europejskim, wysiadującego przeważnie na ulicy przed sklepem. Cały ten sklep przedstawiał wysoce oryginalny widok: od góry do dołu piętrzyły się powiązane paczki książek i w końcu zajęły tyle miejsca, że właściciel z nadzwyczajną trudnością przekopywał się między tymi stertami. Doszło do tego, że zabrakło miejsca dla niego samego i stąd powstało wysiadywanie przed sklepem. Zapytywany, czy ma coś dla mnie, obiecywał wyszukać, ale nigdy tego nie wykonał. Po śmierci tego antykwariusza gromadka wynajętych przez spadkobierców młodych praktykantów księgarskich, skończonych osłów, pewnych siebie, pozostawiła znane sobie książki szkolne i popularną beletrystykę, natomiast przeważającą ilościowo część nagromadzonej spuścizny tak szybko sprzedawała na makulaturę, że nikt ze zbieraczy nie mógł uratować cennych rzeczy, których tam pewnie było dużo. Brojdo, jak mogłem sądzić z rozmów z nim, znał się na książkach lepiej od wielu antykwariuszów. Często później straszylem niechlujnych księgarzy losem Brojdy, zachęcając ich do segregowania książek i usuwania makulatury.

Wśród starszego pokolenia warszawskich antykwariuszów wyróżniał się znanstwem Chaim Rosenwein, mający sklep przy ul. Mazowieckiej tuż przy Świętokrzyskiej. Nie handlował książkami szkolnymi i nie lubił młodocianych klientów. Doświadczyłem tego na sobie, gdy jako uczeń zaszedłem do niego. Przyjął mnie tak niezachęcająco, że odechciało mi się narażać na traktowanie jako natręta. Dopiero później już jako student i to wprowadzony i polecony przez Z. Wolskiego zacząłem być obsługiwany coraz życzliwiej przez zgryźliwego z natury antykwariusza. Nigdy w ciągu długich z nim stosunków nie widziałem w jego sklepie wysiadujących członków rodziny, co było stałym zjawiskiem w innych sklepach i narażało na zgola niepotrzebne incydenty z aroganckim z natury młodym pokoleniem. Do sklepu Rosenweina ktoś z rodziny przynosił obiad i zaraz znikał.

Antykwariusz ten wyspecjalizował się w handlu starszymi drukami, przeważnie z dziedziny humanistyki. Wiedział, co posiada i co podsunąć stałym klientom. Lubił z nimi gawędzić, a była to rzeczywiście ówczesna elita. U Rosenweina często wieczorami spo-

tykali się uczeni i zbieracze, omawiali różne sprawy książkowe, obgadywali bliźnich i opowiadali sobie tłuste kawały. Byłem dumny, że uczestniczyłem w tych *sui generis* najdawniejszych zebraniach bibliofilskich w takim gronie, jak Z. Wolski, Smoleński, Chrzanowski, Korbut, ks. Niedzielski, bibliotekarz seminarium diecezjalnego, i kilku innych.

W tych wieczornych pogawędkach przewijały się charakterystyczne szczegóły z obyczajów głośnych naszych bibliofilów i zbieraczy. Utkwiła w mojej pamięci opowieść o Dembowski, wielkim hulace, który posiadał przedziwny dar wynajdywania arcyrzadkich druków i rękopisów, spieniężanych później w bibliotekach i antykwarniach. Przed wyprawą na łowy Dembowski, odziany w płaszcz z pokaźną ilością głębokich kieszeni, składał wizyty kierownikom bibliotek i antykwariuszom i brał zaliczki na koszt podróży. Zaopatrywał się, niczym kramarz wędrowny, w przeróżne towary z myślą o wymianie. Był to kram zaiste przedziwnego nabożeństwa: święte i zgoła nieświęte obrazki, dewocjonalia, talie kart, butelki z różnymi nalewkami i markami wina, nabożne książki etc. Z tymi zasobami wyruszał na pozycje z góry upatrzone i zdobywszy przemyślnie wiadomości o obyczajach i upodobaniach proboszczów czy przeorów przypuszczał szturm do miejsc, gdzie w zakamarkach pokryte warstwami kurzu spoczywały specjalny dla bibliofilów. Albowiem miejscem, gdzie się Dembowski przeważnie obławiał, były klasztory i kościoły. Rzadziej podobno zaglądał do dworów i dworków szlacheckich, gdyż tam druki stare szły uświęconym obyczajem pod placki, na papiloty lub do innego użytku. Po zbadaniu miejsca i ludzi Dembowski zastosowywał odpowiednią politykę. Modlił się gorąco i ostentacyjnie, leżał podobno nawet krzyżem. Zwróciwszy na siebie uwagę, udawał zacierzewionego „krajoznawcę“, bigota, po mistrzowsku grał w karty, świadomie przegrywał, dotrzymywał kompanii najwprawniejszym bibosom, sypał anegdotami i kawałami. Te wszechstronne zalety jednały mu serca opiekunów ukrytych skarbów. Białe kruki jako podarunki pamiątkowe lub na zamianę zapełniały sakwy podróżne wędrowca. Obiekty mniejszych rozmiarów, właśnie najrzadsze okazy druczków najstarszych in 8<sup>o</sup>, przy oglądaniu z ręcznie umieszczane były w zakamarkach płaszcza, gdy zabiegi o pamiątkę lub wymiana nie dochodziła do skutku.

Mnóstwo charakterystycznych anegdot opowiadano o senatorze Kazimierzu Stronczyńskim i Konstantym Świdzińskim, którzy

w zdobywaniu umiłowanych rzeczy zachowywali tradycyjne chwytyswych poprzedników: Załuskiego, Czackiego, Lindego i innych. Oto np. ma Stronczyński obejrzeć w Bibliotece ordynacji Krasińskich czy u Zamoyskich zbiór dyplomów. Sygnalizując o tym w liście do zarządu biblioteki zaznacza ktoś, że nie można w żaden sposób odmówić uczonemu korzystania z zasobów bibliotecznych, ale zaklina na wszystko, aby pilnować, bo senator z niezwykłą zręcznością odcina pieczęcie w celu powiększenia swoich zbiorów. Albo taka opowieść. K. Świdziński często odwiedza i ogląda cenne zbiory jakiegoś wybitnego numizmatyka. Wyciąga w szafce szufladkę z monetą czy medalami i szybko z powrotem zamyka, bo zamiast okazji leży kartka z napisem: „Ukradł Świdziński“. Rzecz powtarza się w drugiej i trzeciej przegródce. Zbieracz przerywa czynność przeglądania zbioru i zwraca się do właściciela ze słowami: „Mości dobrodzieju! Czyż nie proponowałem ci zamiany, grubej sumy pieniężnej, a ty nic. Cóż mi pozostawało?“ Właściciel zbioru zastosował tylko zwyczaj, który jak wieść niesie, istniał w wielu kolekcjach, gdy po wizycie Tadeusza Czackiego zamiast egzemplarza widniała karteczka z napisem: „Świstavit Czacki“.

O umiejętności wylawiania cennych okazów przez starego autoremantu wielkich bibliofilów mogłem się przekonać po latach osobiście. Jako wizytator szkół zawadziłem o Częstochowę. Po urzędowaniu nie omieszkałem zwiedzić klasztoru. Zainteresowałem się biblioteką. Książki umieszczone były w pudłach naśladowujących folia. Zapytałem o katalog i sposób rozmieszczenia książek. Ks. przeor pokazał mi pięknie spisany katalog rękopiśmienny z połowy 18-go wieku i zaznaczył, że książki są ułożone podług sygnatur w katalogu. Przeglądałem katalog rozmawiając jednocześnie z gościnnym gospodarzem. Ponotowałem sobie kilkanaście pozycji i zapytałem, czy mógłbym prosić o zobaczenie tych druków. Jak z góry przypuszczałem, ani jedna ze wskazanych przeze mnie pozycji nie znalazła się na miejscu określonym w katalogu. Skonfundował się niezmiernie przeor i zaznaczył, że widocznie wkradł się nieporządek przy zwracaniu książek przez czytelników. Nie podałem mu istotnej przyczyny braków. Przerzucając kartki katalogu ponotowałem sobie oczywiście arcyrzadkie druczki wieku 16-go i 17-go i z góry byłem pewny, że Czacki czy Linde wypożyczyli powyższe rzeczy na wieczne nieoddanie.

Bywałem nieomal codziennym gościem u Rosenweina w ciągu szeregu lat na Mazowieckiej a później na Świętokrzyskiej tam, gdzie po jego śmierci ulokowała się antykwarnia „Światło“.

Rosenwein pozostawił dwóch synów. Młodszy powszechnie przez współwyznawców nazywany „Głupim“, miał bardzo krótko sklepik, zabawił się w wydawcę (*Marii Malczewskiego i Ojca zadżumionych*), a później do czasów ostatniej wojny roznosił po antykwarniach książki skupywane po domach. Starszy syn, sympatyczny i solidny, miał sklep na Marszałkowskiej, zarzucił handel działem antykwarskim, przeszedł na skupywanie resztek nakładów oraz — jak już wspominałem — na wydawanie tzw. literatury „ludowej“. Widocznie przedruki *Meluzyn, Senników* etc. były korzystne, bo wykształcił wszystkie dzieci. Kilku jego synów było moimi uczniami w Szkole Zgromadzenia Kupców i stali się — jak słyszałem — potentatami w handlu papierem.

Miller, nazywany przez rodaków „Bocianem“, z Elektoralnej, gdzie był subiektem, przeniósł się do własnego sklepu na Świętokrzyską i tam firma ta istniała do początku ostatniej wojny. Świetny dla antykwariusza punkt — pierwszy sklep od Nowego Świata — niezwykła pracowitość i przechodząca ludzką miarę oszczędność oraz cierpliwość w stosunku do nabywców, przeważnie rozhukanych uczniaków, jako że Miller zwracał główną uwagę na antykwariat szkolny, sprawiły, że po latach doszedł on do posiadania dwóch dużych kamienic. Znajomość moja z tym antykwariuszem sięgała najstarszych czasów. Jak pamięć moja sięga, zawsze chodził w jednej i tej samej kapocie (nosił się krótko), mieszkał, a raczej gnieździł się z dość liczną rodziną (był to chyba jedyny zbytek, na który sobie pozwolił) w sklepie zawałonym książkami, nie palił, nie pił, gości nie przyjmował. Żona jego, cicha, wiecznie szła i zarabiała w ten sposób; jak mi mówiono, rodzina odżywiła się marnie; Millerowa chodziła bodaj na Pragę, żeby zaoszczędzić dwa grosze na funcie żywności. Parę dziesiątków lat życia w takich warunkach — „świńskich“, jak mówili współwyznawcy — umożliwiło biedakowi zdobycie okazałego majątku. Trzeba dodać, że posiadanie kamienic nie zmieniło arcyoszczędnego trybu życia Millerostwa. Przenieśli się tylko na mieszkanie gdzie indziej, ale nie do własnej kamienicy i na schyłku życia zdobył się Miller na podróż do Palestyny, gdzie podobno nabył posiadłość. W charakterystycznej kapocie, której chyba nie zmieniał, pamiętam go do końca jego żywota.



Dawid Baumkoler  
antykwaryusz ze Świętokrzyskiej  
(ok. r. 1906)



Do najstarszych księgarzy, z jakimi się zetknąłem, należał wielce osobliwy okaz w osobie Dawida Baumkollera, ojca dwóch znanych późniejszych antykwariuszów ze Świętokrzyskiej, którzy dotrwali do ostatniej wojny. Pamiętam dobrze tę postać wysokiego starca, z długą rozwianą brodą, z krzaczastymi brwiami, wiecz- nie klejącego poszarpane książki i podżartowującego sobie z targu- jących się nabywców. Żarty owe były trywialne a czasami niedopusz- czalne. Sądzę, że stary Baumkoller był już „myszygen“, to znaczy nieco pomyłony. Uchodziło to jakoś żartownisiowi, zwłaszcza że używał często żargonu. Zdarzyło się, że pozwolił sobie na niewy- kwintny żarcik względem mojej osoby. Z punktu zwymyślałem go od starych durniów i wyszedłem ze sklepu z postanowieniem przer- wania z tym antykwariatem wszelkich stosunków. Wybiegli za mną synowie, przepaszali i uznali, że ojciec bywa czasami niepoczy- talny. Nie pamiętam już, jak to się stało, że pogodziliśmy się ze starym, który odtąd był dla mnie wyjątkowo grzeczny i ofiarował mi swoją fotografię. Gdy ją pokazywałem Rosenweinowi, był obu- rzony, albowiem przepisy rytualne nie pozwalają fotografować się chasydom. Obdarzenie przeto swym konterfektem było dowodem wielkiej ku mnie sympatii.

Starszy syn Baumkollera, w stosunkach miły i uprzejmy, nie cieszył się podobno nieposzlakowaną uczciwością. Młodszy, No- ach, kulturalniejszy, zapalczywy syjonista, miał sklep niedaleko Marszałkowskiej. Podobno głównym źródłem jego dochodów było pożyczanie ludziom pieniędzy. Handel książkami był raczej ubocz- nym jego zajęciem i dlatego ceny były u niego niepomernie wyso- kie i zrażały klientów. Wobec niego musiałem stosować wybiegi, jak np. z kupnem rzadkich prac lingwistycznych, o czym wyżej wspominałem. Chęć zbyt dużych zarobków bez pracy skończyła się na tym, że dłużnicy bankrutowali i Noach musiał się pożegnać z procentami wraz z kapitałem, a wziąć się solidnie do książek. Je- dynaka syna wykształcił na prawnika i ten nie chciał słyszeć o prowadzeniu antykwarni.

Liczebnie może najliczniejszy był ród Kleinsingerów, reprezen- towany na Świętokrzyskiej przez grono księgarzy i handlarzy an- tykami. Kleinsingerówny wychodząc za mąż wciągały do antykwar- stwa małżonków. Najstarszym za mej pamięci reprezentantem tego rodu obfitującego w synów i córki był A. H. Kleinsinger spod nr 1 przy Świętokrzyskiej. Na książkach się zgoła nie znał, natomiast nie czekał z założonymi rękami na towar, jak współwy-

znawcy odznaczający się na ogół biernością, lecz nabywał resztki nakładów, przede wszystkim we Lwowie i Krakowie. On też handlując głównie nakładami, zaczął wydawać drukiem katalogi swoich zasobów. Przeglądając niedawno te katalogi, w pierwszym z kolei natrafiłem na umieszczoną przy *Dekameronie* klauzulę: „Tylko dla dorosłych“. Wówczas przypomniałem sobie, że z tym napisem wystawione były egzemplarze tego dzieła w witrynie sklepowej. Była to, rzecz prosta, przynęta właśnie dla niedorosłych. Okazuje się, że dowcipy nieustannie się powtarzają. Boy-Żeleński, nakładając na Kartezjusza opaskę z napisem: „Tylko dla dorosłych“, zastosował chwyt, pewnie mu znany z antykwarni krakowskich.

Imię A. H. Kleinsinger wystawał w księgarni w atlasowym chalcie z przewieszoną na szyi sakwą, do której zgarniał pieniądze od licznych klientów przepelniających sklep, ocierał kraciatą chustką pot z czoła i coraz wychylał kufel piwa. Na krześle obok męża siadywała po całych dniach w staromodnej sukni z charakterystyczną fryzurą znacznie starsza od niego małżonka, prawie ociemniała, i urozmaicała sobie czas wtrącaniem się do targujących się klientów skrzeczającym głosem: „To jest wyczerpana książka“. Pomnę, jak zirytowany mechanicznym powtarzaniem tych słów przyjaciół mój, Drège, wyjął złotą monetę i rozdrażnionym głosem powiedział, że otrzyma tę kwotę, jeżeli powie, co to za książka. Mąż i subiecki krzyknęli na właścicielkę „sza“, a klienta uspokoił, aby nie zważał na starą kobietę.

Z tej antykwarni poza synami wykierowało się później na samodzielnych księgarzy kilku subiektów. Mózgiem tego interesu książkowego dłuższy czas był kulturalniejszy, bardzo układny o milej powierzchowności w stroju europejskim Jakub Jabłonko. Układał on katalogi, załatwiał korespondencję. Po śmierci szefa, kiedy firma przeszła na własność jednego z jego synów, Jabłonko jako subiekt spełniał podobną funkcję w antykwarni Fiszlera. Dopiero na schyłku życia — widocznie mało przedsiębiorczy i samodzielny — założył wreszcie antykwariat w pobliżu Marszałkowskiej p. f. „Bazar literacki“. Bardzo lubiliśmy się z Jabłonką: stale odkładał dla mnie różne rzeczy, a ja znów przynosiłem mu *Iudaica*, które zbierał. Był to chyba jedyny antykwariusz ze Świętokrzyskiej, który był zbieraczem i niezłe znał literaturę polską. Po jego śmierci firma przetrwała do wojny ostatniej.

Po śmierci A. H. Kleinsingera objął interes syn jego i prowadził go długie lata aż do wybuchu wojny. Poznałem się z nim jeszcze



za życia jego ojca. Miał wtedy około 20 lat, już był żonaty od lat czterech i tonął w mądrościach talmudycznych. Nie mówił wówczas po polsku i prawie nic nie rozumiał. Jakoś jednak dość często rozmawialiśmy: on posiłkując się żargonem, a ja niemiecką i nieco żargonem. Dzięki stałym stosunkom z antykwariuszami poduczyłem się żargonu i nieraz korzystałem z tego, gdy kupcy gwarzyli ze sobą o cenach książek. Niestety raz w zaperzeniu zdradziłem się niefortunnie i odtąd antykwariusze w mojej obecności używali w takich razach hebrajszczyzny.

Rywe Kleinsinger objawszy po ojcu firmę prędko jakoś nauczył się poprawnie mówić, a nawet pisać po polsku i niezłe zaczął orientować się w wartości książek. Uprzejmość jednała mu klientelę i sklep jego cieszył się frekwencją, bo istotnie Rywe miał duży wybór książek uporządkowanych, przy nakładaniu cen nie przeholowywał i nie bawił się przy ocenianiu towaru w loteryjkę, jak wielu jego współwyznawców. Łączyły nas długie i życzliwe stosunki. Przytoczę choćby taki przykład, zresztą jeden z wielu. Jeszcze nie wszedłem do sklepu, a Rywe z daleka mówi: „O dziś to złupię p. profesora“ — i pokazuje mi z uśmiechem starszy hiszpański przekład *Pana Tadeusza* z dedykacją tłumacza. Dodać muszę, że w celu zdobycia tego przekładu zwracałem się na próżno kilkakrotnie do różnych firm antykwarskich zagranicznych, a po odzyskaniu niepodległości używałem w tej sprawie pośrednictwa członków naszego poselstwa w Madrycie. I otóż za całe dwa złote, które wypłaciłem bez targu, nabyłem rzecz upragnioną.

Rywe w rozmowach w cztery oczy uskarżał się przede mną na sprawy domowe. Żona jego niezupełnie była w porządku pod względem umysłowym, a — rzecz dziwna — ortodoksyjny żyd, pomimo łatwości rozwodów, nie rozszedł się jakoś z żoną. W ostatnich latach pomagał mu syn opryskliwy i niegrzeczny wobec klientów. Kilkakrotnie ojciec zwracał się do mnie z prośbą, abym po starej znajomości robił uwagi synowi, który się ze mną bardzo liczył. Rywe — jak wszyscy Kleinsingerowie — nosił brodę sięgającą nieomal do kolan i był z niej wielce dumny. Opowiadał mi, że w czasie pobytu w Karlsbadzie zwracał na siebie powszechną uwagę i miał nawet propozycję sprzedania tej brody za dużą sumę.

Bardzo sympatyczną postacią był jego brat, parający się początkowo handlem naftą, stąd znany wśród księgarzy pod przydomkiem „Nafciarza“. Próbowal szczęścia zmieniając kilkakrotnie

w życiu przedmiot handlu. Od nafty przeszedł do książek, później do antyków, aby wreszcie powrócić znów do książek, którymi handlował przed ostatnią wojną w sklepiku w halach targowych przy Nowym Świecie. Miał miłą i rozsądną żonę i nieźle mu się powodziło. Niestety dość wcześnie zmarła. „Nafciarz“ ożenił się z jakąś spryciarzą, która zabrała mu kapitał obrotowy i wypędziła z domu. Odtąd coraz więcej biedniał. Ze mną lubił rozmawiać na tematy religijne i narodowościowe i uzasadniał pogląd, że najlepiej byłoby, gdyby wszyscy ludzie wyznawali jedną religię i mówili jednym językiem. Sam trzymał się tradycji w stroju i innych sprawach. Zwrócił się raz pewnego do mnie z prośbą o ułatwienie synowi wstępu do szkoły handlowej niedzielno-wieczorowej. Powiedziałem mu, że dzięki moim stosunkom rzecz ta będzie pomyślnie załatwiona, ale niech nie ma do mnie pretensji, gdy po roku syn zarzuci chałat. „Po co tak długo ma się zastanawiać“ — odrzekł ku wielkiemu memu zdziwieniu ojciec — najlepiej byłoby, aby władze zabroniły noszenia takiej odzieży. Widzi pan, ja i wielu z nas ze względu na przyzwyczajenie i na krewnych nie mamy odwagi tego zrobić, chociaż zdajemy sobie sprawę, że na te czasy strój nasz nie pasuje i naraża nas często na przykrości“. W jego to sklepie odbyła się owa charakterystyczna scena z „przodkiem“, którą opisałem.

Najstarszym synem A. H. Kleinsingera był Aron, ożeniony z Fiszlerówną, mówiący cieniutkiem głosem, ojciec dwunastu synów i jednej córki — niczym biblijny Jakub. Dość wcześnie zarzucił handel książkami i całkowicie zajął się antykami. Skarżył się później na synów, którzy wydziedziczyli go ze sklepu. Pędził w biedzie ostatnie lata swego życia jako wędrowny handlarz obrazów i innych starożytności.

Lepiej powodziło się jego szwagrowi Fiszlerowi, którego nazywano „Mączarzem“, jako że obok handlu książkami uprawiał handel mąką. Firma dzięki nabywanym nakładom, możliwie wydawanym katalogom i wydawnictwom pseudolekarskich poradników wyróżniała się spośród innych pewną zamożnością. Spośród nakładów nabytych i sprzedawanych przez antykwarnię Fiszlera wyróżniły się pozostałości po zwiniętej cennej *Bibliotece Najcelniejszych Utworów Literatury Europejskiej i Polskiej*, wydawanej pod redakcją P. Chmielowskiego przez Franciszka Salomona Lewentala.

Po odejściu Jablonki, który kierował firmą pod względem fachowym, prowadził antykwarnię syn właściciela, B e r n a r d. Do-brnął on do wyższego kursu medycyny, ale zmuszony okolicznościami musiał opuścić uniwersytet i kierował firmą ojca, a później prowadził antykwarnię na własną rękę. Rozwojem umysłowym przewyższał on innych antykwariuszów, zerwał z handlem szkolnymi książkami i miał ambicję postawić antykwarnię na poziomie naukowym. Katalogi przezeń wydawane górowały nad innymi. W końcu zaczął wydawać pismo bibliofilskie *Szpargaly*, do którego dołączał wykaz książek do nabycia w jego firmie. On też wprowadził zwyczaj robienia wycinków z czasopism, a nawet i z książek. Przykład ten, widocznie korzystny, jeżeli naśladować inni antykwariusze, co odbijało się fatalnie na niszczeniu czasopism nieraz bardzo rzadkich.

Ceny książek w katalogach młodszego Fiszlera były słone i często kilkakrotnie przewyższały ceny katalogów innych antykwariuszów, co odstręczało wielu zbieraczy. Fiszler ukończył średnią szkołę handlową i nie znał łaciny. Sprowadził z Poznania resztki biblioteki historyka Łukaszewicza, z czego wybrałem kilka dzieł Janockiego i inne rzadkości o treści bibliograficznej. Wszystkie te dzieła były w języku łacińskim. Gdy przyszło do targu i usłyszałem dość wygórowaną cenę, zapytałem, dlaczego tak wysoko ceny druki łacińskie. Odpowiedział, że teraz szkoły poszukują klasyków. „Tak — rzekłem — ale wszak to nie Cezar, Liwiusz, czy Ciceron“. Speszyło to antykwariusza i cena została dość znacznie zredukowana.

Jakub Przeworski, którego poznałem jako chłopca do posług u seniora Kleinsingera, dla którego ciągle biegał po butelkę świeżego piwa, ożenił się obyczajem żydowskim bardzo młodo i za szczupły posąg wynajął na Świętokrzyskiej niewielki sklep, później tak dobrze znany licznym zbieraczom. W sklepie tym Przeworski prowadził handel aż do śnierci w ciągu paru dziesiątków lat. Jednocześnie z założeniem handlu na własną rękę zrzucił chałat i nosił się krótko, szybko wyzwalając się z rytualnych tradycji. Odznaczał się ten księgarz nadzwyczajną rzutnością i pomysłowością. Szybko powiększająca się rodzina zmuszała go przy szczupłych środkach do poważnych wysiłków, aby wyżywić, ubrać taką rzeszę i pomyśleć o kształceniu dzieci. Często w rozmowach poruszaliśmy tę sprawę. Stale podkreślałem, gdy żona Przeworskiego żaliła się na kłopoty finansowe i ciężką pracę, że dając dzieciom wy-

kształcenie najlepiej spełniają wobec nich obowiązek i zabezpieczają ich przyszłość. Z pięciorga dzieci dwie córki wykształciły się na dentystki, trzecia ukończyła farmację, starszy syn — medycynę, młodszy — politechnikę.

Przeworski ze skóry wylaził, biegł po mieście szukając starych książek i nakładów, wyjeżdżał na prowincję i poza zabór rosyjski. Stamtąd przywoził zakordonowe wydawnictwa, rzadziej spotykane na rynku warszawskim, natomiast z Warszawy woził do Lwowa, Krakowa i innych miast zaboru austriackiego książki wydane w Warszawie. Handel ten, przeważnie wymienny, pozwalał Przeworskiemu przy małym kapitale obrotowym żyć i rozwijać firmę. Wielką pomocą była mu żona, która po całych dniach przesiadywała w sklepie, prowadząc całkowicie dział szkolny i sprzedaż nakładów. Inne druki zbieracz musiał odkładać i czekać na Przeworskiego. Stosunki Przeworskiego z tzw. Galicją rozszerzyły się na Poznańskie i Śląsk. Po r. 1906, gdy zwolnił ucisk carski, Przeworski w pakach z książkami dozwolonymi przez cenzurę sprowadzał druki nielegalne. Pamiętam np., że sprowadził, oczywiście oplacając się cenzorom, w dużej ilości egzemplarzy lipską *Bibliotekę Pisarzy* wydawaną przez Brockhousa i wyprzedawał ją zaufanym klientom.

Konkurencja w handlu nakładami, na co Przeworski przeszedł związając dział szkolny i antykwarski z wyjątkiem, gdy nadarzyła się większa biblioteka, zmuszała go do szukania sposobu rychłej sprzedaży. Zorganizował przeto kolportaż książek. Powstał z biegiem czasu cały sztab tak zwanych pomocników Przeworskiego. Większość stanowili chrześcijanie, pożał się Boże, co za typy. Widywałem ich często w sklepie wieczorami, gdy przychodzili zaopatrywać się w towar. Pijackie gęby, ordynarny sposób wysłowienia, wrzaski i kłótnie ledwie trzymających się na nogach po całodziennych libacjach mogły odstręczyć od stosunków z nimi. Pytałem nieraz Przeworskich, jak mogą z nimi wytrzymać. „Im zawdzięczamy ruch w handlu, dzięki nim możemy żyć i kształcić dzieci; trzeba cierpieć“ — odpowiadali. A jednak za sprawą tych opojów z twarzami opryszków często dobra i pożyteczna książka trafiała do ludzi, którzy nie poszliby szukać jej w księgarniach. Agenci Przeworskiego chodzili z książkami po restauracjach, cukierniach, knajpach, warsztatach, po Powiślu, Woli, Ochocie i innych dzielnicach, gdzie mieszkała ludność mniej kulturalna, umiejętnie zachęcali do kupna i szerzyli pośrednio oświatę. Intereso-

walem się wszelkimi objawami życia książki w Polsce; stwierdzam przeto, że zasługi Przeworskiego jako pomyslowego szerzyciela książki wśród bardzo szerokiego kręgu odbiorców są duże. Agenci sięgnęli poza Warszawę. Znając mię ze sklepu Przeworskiego witali życzliwie na prowincji, gdy spotykałem ich w czasie moich podróży wizytatorskich. Rzecz charakterystyczna, że dzięki temu pomysłowi w krótkim czasie rozeszły się w tysiącach egzemplarzy dzieła poważne, które uprzednio nieraz latami spoczywały w księgarniach. Na taki bardzo długi wypoczynek narażone były szczególnie dzieła, oddawane przez prywatnych nakładców w komis księgarzom. Poszły tedy w świat np. Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski...* (6 tomów), Kraszewskiego *Polska w czasie trzech rozbiorów* (3 t.), zbiorowe wydania Mickiewicza i wiele innych. Nakłady puszczane w ten sposób w obieg stawały się po pewnym czasie rzadkościami, gdyż z rąk nabywców tego typu książka, jako doszczętnie „zacytana“, nie wracała do antykwariatów.

Z Przeworskim łączyły mię bliskie i nieomal serdeczne stosunki. W ostatnich czasach syn młodszy pomagał ojcu, a po jego śmierci zerwał radykalnie z dawnymi kolporterami, przeniósł się na ulicę Sienkiewicza i zaczął prowadzić właściwie księgarnię z nakładami. Nabył między innymi cały remanent z wyjątkiem *Biblioteki Narodowej* po zlikwidowaniu Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Później został jednym z ruchliwszych wydawców.

Najmłodszy z antykwariuszów, który odznaczał się ruchliwością i znanstwem był J o n a s z mający sklep przy Świętokrzyskiej Nr 2. Dla mnie był niezmiernie życzliwy, uczynny i „miał do mnie słabość“, jak mówił do zbieraczy. Często nadmieniał, że nie może zrozumieć, skąd w nim, który wyszedł z nizin chasydzkich, rozwinęła się niezwykła pasja do książek i że sprawia mu prawdziwą przyjemność samo grzebanie się w książkach i ich gromadzenie. Po całych dniach robił wyprawy do innych antykwarni warszawskich i stamtąd wylawiał rzeczy rzadsze. Odznaczał się Jonasz bardzo dobrą pamięcią i wyszukiwał dezyderaty znajomym klientom. Dla mnie wylawiał drobiazgi Mickiewiczowskie, za które nie chciał zapłaty, twierdząc, że najlepszą zapłatą jest przyjemność, iż powiększył moje zbiory. Jonasz kierowany widocznie przeczuciem, opuścił na początku wojny Warszawę i z Rosji, jak mi mówiono, wyjechał z rodziną do Palestyny czy Ameryki. Może on jedyny z antykwariuszów żydowskich uniknął pogromu hitlerowskiego.

Trudno mi rozwodzić się o wielu innych przedstawicielach kunsztu antykwarskiego, nie wyróżniających się osobliwymi cechami. Szara masa Cytrynów, Weintrobów, Ajdlerów, Fruchtmanów etc. stanowiła jedynie tło, na którym uwypuklały się wybitniejsze postacie.

Wojna zmiotła nieomal całkowicie domy na Świętokrzyskiej, gdzie w przeciągu wielu dziesiątków lat mieściła się największa ilość antykwarni żydowskich. Nie ma chyba warszawiaka, który by nie zachodził po książki na tę ulicę. Tu koncentrował się handel używanymi książkami szkolnymi, tu sprzedawano po niższej cenie resztki nakładów, tu bibliofile mogli dogadzać swej namiętności, tu można było sprzedać i wymieniać książki. Świętokrzyską z powyższych racji знаła nie tylko Warszawa. Ludzie z prowincji ciągnęli również ku temu ośrodkowi handlu książkami starszymi, gdyż byli pewni, że wchodząc kolejno do szeregu sklepów znajdą potrzebną im książkę. Sądzę, że wypadki związane z tragedią Warszawy i Żydów zmieniają zasadniczo dawny charakter ulicy i handlu. Może przeto właściwą będzie rzeczą rzucić jeszcze okiem na ten, zdaje się, należący już do historii epizod z dziejów książki w Polsce.

Świętokrzyska i inne punkty handlu starymi książkami miały szereg stron dodatnich i ujemnych. O ujemnych pisało się i mówiło często, albowiem braki i rzeczy złe, jak plamy i uszkodzenia w obrazie przede wszystkim rzucają się w oczy. Większość antykwariuszów nie posiadała najniezbędniejszych wiadomości potrzebnych do handlu książkami, szczególnie starymi. Wszak zdarzali się nawet analfabeci. Większość uprawiała ten proceder, traktując go jak handel odpadkami, starzyzną; przeważnie byli to ludzie bardzo biedni. Przypatrując się temu handlowi w przeciągu tylu lat, podziwiałem, jak można mając kilkadziesiąt rubli gotówki, a czasami może i mniej wyżywić liczną zwykle rodzinę. Aby nabyć nie raz niewielką bibliotekę, trzeba było tworzyć spółkę lub, co gorsza, pożyczać na kolosalny procent, dochodzący do 10% dziennie. Handel polegał na tym, aby nabyć coś, szybko sprzedać, zwrócić dług i trochę zarobić. Przy takich warunkach znikał towar w sklepie, zostawały rzeczy małowartościowe lub zgoła makulatura. Komorne zalegało, cierpliwi kamienicznicy byli białymi krukami; najniełotściwsi, jak mi mówili antykwariusze, byli ich współwyznawcy. Po pewnym czasie handlarz chwytął się ostatniego środka ratunku: sprzedawał sklep, zostawał wędrownym antykwariuszem lub próbował szczęścia w innej branży.

Trzeba dodać, że do handlu książkami i antykami mieli pociąg ludzie na ogół leniwi, bez daru przedsiębiorczego. Większość wysiadywała z rodzinami w sklepach wyczekując na kupujących i sprzedających, często drzemiąc lub z nudów grając w karty. Bieda nie jest dobrą wychowawczynią i kształcicielką charakterów. Chwyty nieuczciwe u wielu antykwariuszów były na porządku dziennym. Sprzedawali świadomie defekty jako egzemplarze całe, wklejali do zdefektowanych książek kartki z innych, zmieniali karty tytułowe na wydania nowsze. Praktyki te tyczyły się zwłaszcza szkolnych podręczników. Nabywali książki u małoletnich i nabierali ich na cenie, a co najgorsza — kupowali świadomie książki kradzione. Złodziejaszki spośród młodzieży mieli gdzie spieniężać łupy. Paserstwo też kwitnęło nieraz na szerszą skalę w nabywaniu nowych rzeczy od subiektów z księgarni. Kilkakrotne rewizje stwierdzały, że po kilkaset takich egzemplarzy było w składzikach u niektórych antykwariuszów. Księgarze nie mogli dać sobie rady z tą plagą kradzieży w ich sklepach i oczywiście antykwarnie żydowskie były solą w ich oku.

Szukając zarobków w sposób niewybredny, niektórzy antykwariusze sprzedawali młodzieży nieodpowiednie rzeczy, szerzyli i wydawali — jak powszechnie mówiono — pornografię. Handlu pornografią w ścisłym pojęciu stwierdzić nie mógłbym: może się z tym przede mną ukrywali. Wydawnictwa mające posmak pornograficzny wydawali raczej niektórzy księgarze, skwapliwie natomiast zdobyli nimi wystawy sklepowe niektórzy antykwariusze. Ci trudnili się wydawaniem nieszkodliwych straganówek w rodzaju senników, listów miłosnych, powieści ludowych, apokryfów, które od wieków są ulubioną lekturą szerokich mas, zresztą nie tylko w Polsce. Arcyzabawna historia zdarzyła się jakiemuś gorliwemu reprezentantowi policji wyższej szarży czy cenzorowi, który skonfiskował u antykwariusza jego nakład *Przeraźliwego echa trąby sądu ostatecznego*, z racji czego pojawił się nawet sążnisty artykuł w gazecie przeciw szerzeniu demoralizacji. Gorliwiec nie dojrzał na tym dziele aprobaty kościelnej i nie wiedział, że od wieku 18-go utwór ten cieszy się wyjątkową poczytnością, o czym świadczy bardzo dużo wydań. Do zdechu uśmieć się można czytając te wizje świata zagrobowego, zwłaszcza sceny opisujące męki różnych grzeszników.

Najwięcej zarzutów — i słusznie — wywoływały wydawane przez antykwariuszów książki lecznicze, wśród których poza pewną ilością popularnie i dobrze napisanych utworów z dziedziny

przyrodolecznictwa i higieny, przeważały, niestety, utwory traktujące zagadnienia seksualne. Rozchwytywała je młodzież oczywiście nie z pobudek higieniczno-terapeutycznych. Te *Anatomie ciała kobiecego*, *Zakony małżeństwa*, *Życie płciowe* i moc innych w tym duchu zdobyły witryny większości antykwarni wraz z *Dekameronem* („tylko dla dorosłych“) oraz były na wózkach i straganach nie tylko zresztą w Warszawie. Najwięcej wątpliwej wartości zasługi w wydawaniu i kolportowaniu tego typu literatury miała antykwarnia K. Fiszlera. Literatura o posnaku pornograficznym, kryminalistyczna, sensacyjna, wydawana przez różnych „przemysłowców“ mających jedynie zysk na celu, bojkotowana przez poważniejsze szanujące się firmy księgarskie, znajdowała dla siebie ujście (przeważnie) w antykwarniach i wywoływała słuszne zarzuty przeciw nim jako źródłu demoralizacji młodzieży.

Pomijam szereg innych grzechów handlarzy starymi książkami w rodzaju wypożyczania książek szkolnych za opłaty lichwiarskie lub dawanie pożyczek pod zastaw książek itd. Do grzechów należały nieźle zorganizowane znowy przeciw sprzedającym biblioteki czy poszczególnie książki. Pierwszy antykwariusz dawał najwyższą cenę, następnie — coraz mniejszą, a gdy sprzedawca wracał do pierwszego, ten twierdził, że się pomylił i proponował kwotę niską. Trzeba jednak, dając świadectwo prawdzie, powiedzieć, że obok tych ciemnych plam na obrazie stosunków w antykwarniach żydowskich, można spostrzec smugi jaśniejsze, o czym już mówiłem, a z właściwością starych gawędziarzy powtórzę.

Bezwzględnie niezaprzeczoną antykwariuszów zasługą, chociaż nie podejmowaną celowo, było ratowanie bibliotek od całkowitego zniszczenia (papiernie, torebki, zawijanie mydła, śledzi etc.). Liczny poczet miłośników książek tam prawie jedynie mógł zaspokajać apetyty zbierackie. A iluż to ludzi liczących się z każdym groszem mogło nabyć czy wymienić książki dla dzieci albo nabyć po dostępnej cenie potrzebne im utwory.

Wspominałem już kilkakrotnie o handlu nakładami. Wydawcy nasi i księgarze nie odznaczają się wielką obrotowością i pomysłowością. Publiczność nasza jeszcze nie wyrobiła sobie nałogu nabywania książek i tworzenia bibliotek domowych. Każdy interesujący się sprawami naszej kultury wie, że dzieła naukowe drukują się i rozchodzą w znikomej ilości egzemplarzy, a nakład dość jeszcze poczytnych pamiętników czy wydawnictw popularno-naukowych dochodzi najwyżej do 3.000 zaledwie egzemplarzy, z czego w roku



pierwszym wydawca liczyć może na sprzedaż tysiąca. Gdyby nie kasa Mianowskiego, Akademia Umiejętności i subsydiowane wydawnictwa towarzystw, byłoby całkiem źle z książką naukową w Polsce. Książkę u nas nie tylko trzeba wydać, ale trzeba umieć trafić z nią do nabywcy. Otóż antykwariusze ze Świętokrzyskiej pokazali, że nie należy marynować wydawnictw w składach księgarskich i że można rozprzedać nawet w pokaźnej ilości dzieła treści poważnej.

Podkreślałem szczególną pod tym względem pomysłowość Przeworskiego. Dla przykładu z pamięci przytoczę dzieła, które przy obniżonej cenie i umiejętnie zorganizowanym kolportażu dotarły nawet do mas, po pewnym czasie stały się rzadkością i dochodziły do dużej ceny. Są to: Macaulay'a *Dzieje Anglii* (9 t.), Mommsena *Historia Rzymu* (4 t.), Pawińskiego *Dzieje ziemi Kujawskiej* (5 t.), Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski* (6 t.), Langego *Historia materializmu* (2 t.), Baina *Logika*, Lelewela *Pisma zbiorowe*, Zeissberga *Dziejopisarstwo średniowieczne polskie*, Bielikowicza *Słownik polsko-laciński*, dzieła Darwina, Spencera, *Album Ordy* (8 t.), *Biblioteka Lewentalowska* (*Literatura powszechna* 6 t., utwory Byrona, Calderona, Goethego, Ibsena, Homera, Sofoklesa, Dickensa, Taine'a itd.), dzieła zbiorowe Pola, Dzierzkowskiego, Jeża, Fredry, Korzeniowskiego, wybór pism Kraszewskiego, ilustrowane wydania Mickiewicza, Słowackiego i wiele, wiele innych. Stąd wniosek, że przy umiejętności zdobywania nabywców można drukować dzieło w większej ilości i skalkulować niższą cenę.

Muszę powiedzieć na zakończenie, że pomijając osobisty mój sentyment szczególnie do starszego pokolenia antykwariuszy warszawskich, gruntujący się może na tym, że to są czasy mojej młodości, jestem tego przekonania, że ważąc na szali ujemne i dodatnie strony ulicy Świętokrzyskiej, szala plusów przeważa.

W początkach mojego nowicjatu bibliofilskiego istniały trzy antykwarnie polskie: Jakuba Gieysztor, Wilanowskiego i Bolcewicza. Pamiątkami po nich są drukowane katalogi antykwarskie. Były to za wysokie progi na biednego uczniaka nogi. Katalogom Gieysztor ja — jak i wielu zbieraczy — zawdzięczam niemało. Wobec braku w literaturze naszej dzieł o rzadkich drukach polskich i ich wartości pieniężnej, nabywcy starych druków opierali się na Gieysztorze, później na katalogach Wildera. Nawiasem powiem, że zawodną na ogół jest rzeczą dowierzać im zbyt. Gieysztor

stanowczo przeceniał wydania *in folio*, rzeczy treści historycznej, nie doceniał niezmiernie rzadkich okazów powieści ludowych, literatury sowizdrzalskiej, ulotek itp. Wilder zaś śrubował ceny militariów, heraldyki i genealogii oraz często rzadkość druku motywował wskazówkami Estreichera co do ilości bibliotek posiadających druk stary. Nie mówię o katalogach niektórych firm z ostatnich przedwojennych czasów, gdzie ceny wyśrubowane były bez żadnych podstaw i obliczone na naiwnych i bogatych nabywców.

Najstarszym antykwariuszem polskim, z którym miałem do czynienia, był Englert; pamiętam go jeszcze, gdy miał sklep przy ulicy Ordynackiej. Stąd przeniósł się na Świętokrzyską między Szkolną i Jasną. Gorliwość neofity zaznaczył zawieszeniem w sklepie obrazu Matki Boskiej z palącą się lampką. Z biegiem czasu Englert zajął się filatelistyką i handlem oleodrukami. Po jego śmierci stare książki, które spoczywały na półkach bez dostępu do nich zbieraczy, otrzymał Babecki, zięć Englerta i prowadził handel starymi książkami na Świętokrzyskiej niedaleko Marszałkowskiej. Pamiętam jego sylwetkę: z fajeczką stale w zębach i zawsze w dobrym humorze.

Myszkując po różnych kątach już w latach po uniwersyteckich dotarłem do „Wystawy starożytności“ na Krakowskim Przedmieściu w pałacu Czetwertyńskich. Pod taką firmą prowadził tam handel antykami Bisier. Był on z zawodu złotnikiem bez wykształcenia. Podziwiać należało nadzwyczajne wrodzone zdolności tego człowieka, który wyrobił się na pierwszorzędnego znawcę monet polskich, medali, porcelany, szkła i innych antyków. Nabywał on czasami książki i rękopisy wraz z antykami przy likwidacji pałaców, ale na książkach się nie znalazł prawie. Był to dziwak, nie uznający ładu i porządku, gromadzący po różnych schowkach i dziurach nabywane i komisowe rzeczy. Trzeba było mieć anielską wprost cierpliwość i dużo czasu, aby po długim czekaniu Bisier dotarł nareszcie do poszukiwanego przedmiotu wśród stłoczonych w kilku salach szaf, stołów etc., a nim to się szczęśliwie udało, trzeba się było nasłuchać powtarzanych historyjek a najczęściej skarg i żalów na klientów, którym przypinał łatki, jeżeli już wspomniałomyślnie nie mówił jako o takich, którzy go okradli.

Bisier miał żyłkę zbieracza i to przeszkadzało mu również w organizacji handlu. Zbierał monety, medale, porcelanę polską, szkło, broń, masonerię etc. Podobno największy jego zarobek pochodził z komisów, które po iluś tam latach niepokazywania się właści-

ciela przechodziły prawnie na własność kupca. Miał manię wyprawiania swego rodu od marszałków francuskich Soubise'ów i zaczął używać nazwiska Soubise-Bisier. Tymczasem, jak można dowiedzieć się choćby z *Kalendarza Warszawskiego* Dzierżanowskiego, wśród firm rzemieślniczych i kupieckich pełno było Bisierów, zacnych szlifierzy, złotników, kucharzy itp. Ta mania, z której podżartowywał sobie W. Gomulicki, pisząc do mnie o potomku marszałków francuskich nie umiejącym się uporać z najprostszyimi zasadami ortografii polskiej, wzrastała i w końcu przeszła w patologiczną manię wielkości i umysłową chorobę. Jeszcze za życia Bisiera rodzina rozprzedała szybko osobiste jego zbiory i zasoby antykwariatu.

Krótkie były chwile działalności antykwarskiej Zagłoby Bądkowskiego, który usadowił się na Świętokrzyskiej w pobliżu ul. Czackiego. Był to dziwak stylizujący się w ubiorze, ruchach, mowie na zamaszystego szlachetkę, sodalisa, co nie przeszkadzało mu stroić koperczaków do młodych i ładnych niewiast i żyć na wiarę z dobrą kobieciną, która cierpiała krzyż Pański z tym oryginałem. Na książkach znał się niewiele; klientów zrażał niegrzecznością, gdy chcieli się targować. Wszystkim opowiadał o swej misji zwalczania antychrystów — sąsiadów antykwariuszów. Oceniał książki bardzo wysoko, powielając ceny Gieysztora. Po upływie krótkiego czasu pozostawił właścicielowi kamienicy nagromadzony towar za zaległe komorne. Od kamienicznika nabył zasoby antykwariatu M. Federowski. Spotykałem później Bądkowskiego w coraz dziwniejszym stroju jako wędrownego antykwariusza. Biedak zakończył życie w obłądnie.

Pominę takie postaci jak analfabeta kulturalny Patrzykąt, ramiarz z zawodu, który handlował na Świętokrzyskiej, a później na Mazowieckiej. Śmieszny był w zarozumiałości, z jaką oceniał obrazy i książki.

Na parę lat przed poprzednią wojną powstał przy ul. Traugutta (wówczas hr. Berga) „Antykwariat polski“ Hieronim Wilder i Ska. Dodatek „Ska“ potrzebny był dla jakichś celów, albowiem istotnym właścicielem był H. Wilder. Interesował on się grafiką i porządkował ten dział w bibliotece ord. Krasińskich. Stąd związek jego z książkami i tam pewnie powstała myśl założenia antykwariatu, o czym zresztą świadczą dowodnie pierwsze dwa katalogi firmy, w których spotykamy wiele dubletów tej biblioteki. Wkrótce też nabył dublety „Ossolineum“ za pośrednictwem ów-

czesnego kierownika biblioteki Krasieńskich, Stanisława Kętrzyńskiego.

Wilder był człowiekiem zamożnym i prowadził antykwariat nie dla zarobku. Sam zajmował się działem rycin, a dla książek miał pracowników specjalnych. Wymienię spośród nich starego księgarza Czapińskiego, osławionego R. Ziemkiewicza i znanego autora *Zbiorów polskich* i zbieracza ekslibrysów polskich, Edwarda Chwałewika, który najdłużej pracował w tym antykwariacie. Jemu to zawdzięczamy układanie cieszących się uznaniem katalogów. Wilder prowadził długi szereg lat interes deficytowy, jak mówił. Zdobyl sobie jako antykwariusz sławę w Polsce i poza jej granicami. Rekompensatą za dokładanie do handlu była możliwość łatwiejszego zbierania *Poloniców* XVI-go wieku. Zbiór ten, jak mi mówił K. Piekarski, był pierwszorzędny i miał być przekazany w darze Bibliotece Narodowej.

Pomimo niezaprzeczonych zasług w rozwoju antykwarstwa polskiego Wilder nie cieszył się sympatią klientów. Bardzo układny i grzeczny w stosunkach z zamożnymi klientami a szczególnie z arystokratami, bywał nietaktowny wobec innych, choćby zasłużonych w dziedzinie nauki. Na brak taktu Wildera uskarżało się wielu. Na własnej zresztą skórze doświadczyłem jego nietaktów i niedociągnięć w wychowaniu. Na widok np. wchodzącego potentata przerywał w połowie zdania rozmowę ze mną i zostawiał samego bez przeproszenia. Raz cierpliwie czekałem na odejście takiego klienta, podziwiając w międzyczasie lansady i miodopłynną wymowę antykwariusza, aby mu powiedzieć, że zgoła niewychowany handlarz ze Świętokrzyskiej nie pozwoliłby sobie na coś podobnego. Albo np. wchodzi K. Reychman, jeden ze znanych zbieraczy. Wilder przy kilku osobach, nawet obcych, wykrzykuje trzymając w rękę *Neofitów polskich* Jeske-Choińskiego: „Panie Reychman, pan tu jest.“ — „A pan będziesz“ — brzmiała spokojna odpowiedź, co w rzeczywistości nastąpiłoby, gdyby ktoś później zrobił drugie wydanie wymienionej książki.

Porządnie zemściłem się raz za jeden z wielu takich nietaktów. Wchodzę do antykwarni. Właściciel spotyka mię i mówi: „O jak to dobrze, że pan przyszedł. Leży oto stos książek, które przeznaczyliśmy na makulaturę. Lubi pan tanio nabywać: każda sztuka — po dziesięć kop.“ Chciałem odpowiednio zareagować, ale nim zdobyłem się na mocną replikę, widząc na wierzchu starą broszurę sięgnąłem po nią automatycznie ręką i... nie wierzę oczom: było to arcy-

rzadkie *Suum cuique* z XVIII w. To uspokoiło złość moją. Drugim dziełem był również nieczęsty *Jezus Nazareński* St. H. Lubomirskiego. Zabrałem się tedy do skrupulatnego przejrzenia owej makulatury, wyłowiłem jeszcze kilkanaście utworów, a oprócz tego wziąłem sporo broszur i ulotek treści heraldyczno-genealogicznej, aby się zemścić. Jakoż po upływie paru miesięcy Wilder przystąpił do układania katalogu poświęconego heraldyce. Gdym zaszedł do niego, zapytał, czy nie mam czegoś niepotrzebnego z tego działu. Przyniosłem poszukać i przyniosłem właśnie druczki z makulatury. Zrobiliśmy zamianę i musiał Wilder przyjmować moje rzeczy po kilka a nawet kilkanaście rubli za sztukę. Po dokonanej wymianie wtajemniczyłem go, skąd pochodzą owe druczki. Nabycie przeze mnie do „Antykwarni Warszawskiej“ biblioteki po Józefie Przyborowskim, którą Wilder dość długo targował przedtem nie obawiając się konkurencji, doprowadziło do całkowitego zerwania między nami stosunków. „Antykwariat Polski“ zwinięty został z powodów finansowych.

Powstanie „Antykwarni Warszawskiej“ mieszczącej się przy ulicy Czackiego (wówczas Włodzimierskiej) było przygodne. Po skupieniu przez rząd rosyjskiej Kolei Wiedeńskiej i jej zrusyfikowaniu czterech pracowników kolejowych postanowiło ulokować w handlu wycofane wkładki emerytalne. Wśród nich dwaj, Bagiński i Maszadro, byli zbieraczami. Zaczęli tedy nabywać książki i numizmaty. Na początek nabyli zbiór ekslibrysów i książek od rodziny K. Reychmana, który nagle wyjechał z kraju do Brazylii. Zaszli do mnie prosząc o radę. W czasie rozmowy powstał głównie za moją inicjatywą projekt utworzenia antykwariatu, został wynaleziony odpowiedni lokal w kamienicy moich znajomych, przystąpiono do niezbędnych urządzeń, w międzyczasie nabyto dużą bibliotekę po K. Moysze i wkrótce antykwariat zaczął funkcjonować. Zasoby rosły. Nabyto kilka bibliotek i zbiorów: Wittyga, Dehnela, Br. Grabowskiego, cenzora Anastasewicza, wreszcie pierwszorzędny zbiór po J. Przyborowskim.

Księgozbiór po Przyborowskim obfitował w stare druki: szczątki *Marcholla*, piękna kolekcja pierwszych i późniejszych wydań Kochanowskiego, ulotne pieśni z połowy XVI w., dzieła Klonowicza, Szymonowicza, Skargi i innych autorów w. XVI i XVII-go. Antykwarnia mogła nabyć ten zbiór za 6 tysięcy rubli jedynie dlatego, że rodzina dzięki moim stosunkom rozłożyła tę dużą kwotę na trzy raty w przeciągu roku. W r. 1913 wyszedł nr 1 katalogu

(Varsoviana), w następnym nr 2 (Pamiętniki), nr 3 (Numizmatyka), nr 4 (Krajoznawstwo). Z powodu wybuchu wojny nie wyszedł wydrukowany już, lecz niezbroszurowany nr 5, poświęcony językoznawstwu. Świętokrzyska po pewnej rezerwie ustosunkowała się do „Antykwarni Warszawskiej“ przychylnie, aczkolwiek stała się ona poważnym konkurentem przy nabywaniu bibliotek. Ponieważ „Antykwarnia Warszawska“ nie zajmowała się beletrystyką i wydawnictwami popularnymi, nastąpiła wymiana tych rzeczy na stare druki z antykwariuszami żydowskimi. Również wędrowni antykwariusze z takimi rzeczami szli jak w dym na Czackiego. Rzecz dziwna, że antykwariusze żydowscy nie lubili Wildera, a ze mną byli w najlepszych stosunkach.

Wojna fatalnie odbiła się na „Antykwarni Warszawskiej“. Wspólnicy przerażeni się wybuchem wojny, zaczęli narzekać, że dzięki mnie stracili wszystko, lokując całe swoje oszczędności w towarze, który teraz nie ma żadnej wartości. Zirykowany utyskiwaniem i żalami wystąpiłem ze spółki, nie roszcząc żadnych praw i pretensji. Upewniłem ich, że nie tylko nic nie tracą, ale wycofają wszystko z nadwyżką, jeżeli nie ulegną panice i będą się trzymali cen, które wyznaczyłem. Nie stracili, lecz nie orientując się w wahanach walutowych sprzedawali towar po niskich cenach spryciarzom ze Świętokrzyskiej. Najrzadsze druki XVI w. nabyło „Ossolineum“; dużo również z tych wydań jeszcze za moich rządów nabył J. Ostrowski; resztę książek nabył w końcu Kościelski.

W ostatnich latach przed wojną wspomniany przedtem B a b e c k i dobrawszy współnika założył antykwariat przy ul. Wierzbowej p. f. „Lamus“. Ów współnik pracował w księgarni Arcta, w Towarzystwie Bibliofilów jako pomocnik przy urządzaniu licytacji książek, wreszcie w założonej spółce wykazał niezwykle dużo pomysłowości i energii. Wkręcał się jako bibliofil do bibliotek i stamtąd wydobywał dublety. „Lamus“ nagromadził dużo rzadkich i ciekawych rzeczy. Nadmieniałem już, że między innymi nabył po Bisierze ryciny, książki i rękopisy. Katalogowe ceny tej firmy odznaczały się niepomiarłą wysokością i obliczone były chyba na bardzo naiwnych zbieraczy. Na początku wojny „Lamus“ doszczętnie splonął.

Charakterystyczną i sympatyczną postacią był Jan Karpiński, popularny wśród zbieraczy warszawskich. Samouk, o skromnym wykształceniu, miał widocznie wrodzoną żylkę gromadzenia książek. Korzystając jako funkcjonariusz kolejowy z bezpłatnej

jazdy zwiedzał prowincjonalne miasta i wydobywał z księgarni i różnych zakamarków zapomniane utwory za niską cenę. Rzecz dziwna, że szczególną pasję miał do gromadzenia utworów poetyckich; co prawda w handlu miały one cenę najniższą. Pobory niższej rangi pracownika kolejowego nie wystarczały na utrzymanie liczonej dziatwy, której starał się dać wykształcenie. Zaczął tedy sprzedawać swoje zbiory oraz założył księgarenkę przy ul. Twardej przeważnie z książkami szkolnymi. Sprzedażą miała się zajmować jego żona. Obarczona liczną dzieciarnią, systematycznie powiększającą się z roku na rok, zapracowana kobiecina nie mogła należycie pełnić roli sprzedawczyni i wkrótce trzeba było sklep zwinąć. Zaprawiwszy się do handlu książkami, Karpiński został wędrownym antykwariuszem. W niedziele sprzedawał książki na targu na Sewerynowie, w godzinach wolnych od zajęć na kolei roznosił książki po księgarniach albo handlował bezpośrednio ze zbieraczami. Wszyscy lubiliśmy tego łagodnego i cichego człowieka, stale obladowanego paczkami książek. Zginął w czasie powstania warszawskiego.

Na parę lat przed ostatnią wojną poznałem jeszcze jednego antykwariusza, Sztemboka. Miał on budkę z dewocjonaliami przy kościele św. Aleksandra. Sam wykazywał zainteresowania kolekcjonerskie, z natury był inteligentny i z biegiem czasu niezłe orientował się w książkach i rycinach. Z ogłoszeń, osobistych poszukiwań i ze stosunków ze Świętokrzyską umiał zdobywać nieraz ciekawe rzeczy, które sprzedawał po umiarkowanej cenie. Przy końcu wojny został zaaresztowany przez gestapowców podobno wskutek denuncjacji pod zarzutem pochodzenia żydowskiego.

Do charakterystyki antykwarni dawnego zaboru austriackiego i pruskiego nie mam tyle materiału, co do warszawskich. Kontakt mój z nimi był dorywczy i jedynie dzięki wydawanym przez nie katalogom mogłem stamtąd sprowadzać książki. Ul. Szpitalna w Krakowie i sąsiadujące z nią przecznice, gdzie królował ród Tafetów obok Himelblauów przypominała mi *minorum gentium* antykwariuszów warszawskich.

Daleko lepiej przedstawiał się Lwów. Z tym miastem wiąże się ciekawe zdarzenie z mojego życia wśród książek. Gdy podczas pobytu we Lwowie w czasie zjazdu bibliofilów zaszedł do antykwarni Igła i zacząłem pytać subiekta o niektóre druki, zbliżył się do mnie siwy starzec wysokiego wzrostu, niewidomy, i zapytał, czy ma przyjemność mieć u siebie p. Jana Michalskiego z Warszawy.

Gdy zdziwiony zapytałem, skąd zna moje nazwisko i co go naprowadziło na myśl, że to ja jestem w sklepie, odrzekł, że zorientował się natychmiast na podstawie moich poszukiwań, a o mnie wszak powinni wiedzieć wszyscy antykwariusze w Polsce. Mogłem być nabrać o sobie wielkiego mniemania, gdybym nie przekonał się, że najmniej znany byłem wśród tych, którzy z urzędu kierowali sprawami książki w Polsce.

W związku ze Lwowem przytoczę wysoce charakterystyczny objaw. Była tam „Antykwarnia Naukowa“ założona przez inż. Tuleję. Zamówiłem przez księgarnię szereg pozycji z jego katalogów; niestety, ani książki, ani odpowiedzi nie było. Wysyłałem kilkakrotnie w tej sprawie listy z równym skutkiem. Po paru latach, gdy zwróciłem się do jednej z firm antykwarskich w Niemczech, nadmieniając, że zbieram wszelkie *Mickiewicziana*, otrzymałem wśród szeregu ofert wycinki ze znanych mi katalogów Tulei. Zamówiłem rzeczy w języku niemieckim i tylko dla żartu zażądałem pozycji z katalogów Tulei. I o dziwo! Wszystkie te rzeczy otrzymałem. Widocznie księgarz niemiecki miał we Lwowie komisjonera, który umiał natrafić na dobry humor antykwariusza czy Bóg wie jakich użył środków, dość, że tak okólną drogą i z takim opóźnieniem otrzymałem kilka broszurek.



## ROZDZIAŁ IV

### O RZADKICH KSIĄŻKACH I BIBLIOTEKACH PRYWATNYCH

Po skończeniu uniwersytetu warszawskiego nie mogłem — jak zamierzałem — wyjechać do Lwowa czy Krakowa na studia polonistyczne ze względu na brak środków. Zostałem przeto nauczycielem języka polskiego w prywatnych szkołach polskich. Zajęciu temu oddawałem się do r. 1918, kiedy powołany zostałem do Ministerstwa Oświaty na wizytatora szkół średnich i na tym stanowisku trwałem do czasu sanacji i... emerytury.

Szkolna moja praca jako polonisty przy pewnej ambicji z mojej strony, aby dawać z siebie młodzieży jak najwięcej, zwracała nieustannie moje zainteresowania ku różnym dziedzinom humanistyki. Od dawien dawna wyrobiłem w sobie pogląd, że największym wrogiem naszym jest ciemnota i szerzenie wiedzy jest najwyższym nakazem. Głęboko jestem przekonany, że tą drogą właściwiej można wychowywać rzesze młodzieży. Różne modne hasła wychowawcze z wątpliwej wartości metodami i środkami nie wpłynęły jakoś na podniesienie poziomu moralnego młodzieży, lecz przeszkadzając często normalnym zadaniom szkoły wpłynęły na obniżenie poziomu umysłowego wychowanków.

Wracając do rzeczy zaznaczę, że w dziedzinie historii literatury i kultury polskiej byłem samoukiem i choć opanowanie metody filologicznej na sekcji klasycznej uniwersytetu ustrzegło mię od dyletantyzmu i pochopności do łatwych uogólnień, jednak samouctwo przeszkadzało w koncentracji studiów i rozwinęło stałe pragnienie zdobywania coraz nowych wiadomości. Prócz tego miałem nieprzewyciężony wstręt do pisania. Czy to był brak tresury, czy nieudolność, czy przesadny samokrytycyzm — nie umiem powiedzieć.

Piszę o tej mojej erudycyjnej pasji, bo wiąże się ona organicznie z pasją kolekcjonowania. Dzięki temu biblioteka moja rosła stale. Nie ulega wątpliwości, że w dużym stopniu miała tu wpływ mania czy nałóg (mniejsza o nazwę), chociaż dużą rolę odgrywały pewne cechy umysłowości mojej oraz ówczesne warunki pracy naukowej w zaborze rosyjskim. Staralem się kształcić ciągle. Wychodząc z założenia, że jestem Polakiem i nic polskiego nie powinno być dla mnie obce, coraz więcej w zamięowaniach i studiach wybiegałem poza literaturę i język polski. Ojczysta historia, filozofia, etnografia, sztuka coraz więcej mnie pochłaniały, wywołując potrzebę rozszerzania zbiorów w tym kierunku.

Poza najbliższą sercu humanistyką bardzo pociągały mnie zagadnienia społeczne. Wszak młodość moja — to ostatnie fale pozytywizmu oraz ideały i „choroby“ czwartaków warszawskich, tak pięknie utrwalone przez Żeromskiego, wiek męski — rewolucyjne ruchy 1905 r. i lat następnych. Trudno było poprzestać jedynie na swojszczyźnie bez tła europejskiego. Wyniosłem z uniwersytetu dobrą znajomość literatur starożytnych, co dla polonisty jest rzeczą pierwszej wagi, oraz pewną znajomość literatur europejskich. Rozszerzyłem ją w drodze samouctwa.

Mówię o tym wszystkim, aby wytłumaczyć narastanie mojego księgozbioru i konieczność stałego kontaktu z księgarniami, gdzie nabywałem nowe rzeczy. Zresztą sprowadzenie książek z zagranicy i zza kordonu wymagało również stosunków z księgarzami. Z tego powodu poznałem prawie wszystkie nasze firmy księgarskie i wkrótce łączyły mnie z wielu księgarzami bardzo dobre stosunki. Dowiedziawszy się przypadkiem, że w niektórych starych firmach można znaleźć w składach rzeczy wyczerpane, nie szczędziłem trudu, aby po strychach, piwnicach i różnych zakamarkach grzebać się ku wielkiemu zdziwieniu właścicieli i ich pracowników.

Znajdowałem dużo cennych rzeczy, nawet jeszcze nie rozcięte druki XVIII-go wieku, u *I d z i k o w s k i e g o*, który nabył remanent po starej firmie *M. Orgelbranda*, u *A r c t a*, *H o e s i c k a* i innych. Miałem też dostęp i do półek księgarskich, skąd również można było wyłowić dobre wyczerpane rzeczy. Pamiętam np. takie zdarzenie. Wyszedł pamiętnik coś w 25 egzemplarzach sekretarza ks. bisk. *Ign. Krasickiego*. Natychmiast prosiłem księgarza o sprowadzenie tej rzadkości. Pomimo gorliwych poszukiwań nie udało mu się uczynić zadość mojej usilnej prośbie. Aliści znacznie później przeglądając półki w tej samej księgarni znalazłem poszuki-

wany pamiętnik. Widocznie księgarzowi nie przyszło na myśl rozpocząć poszukiwań od sprawdzenia, czy wydawca nie przysłał mu okazowego egzemplarza.

Z tą właśnie firmą Wendego na Krakowskim Przedmieściu na przeciw uniwersytetu łączyły mnie najdawniejsze i najbliższe stosunki. Właścicielami jej byli dwaj niezwykle uprzejmi i mili księgarze, Hiż i Turkul. Księgarnia ta miała najlepiej zorganizowane stosunki z zagranicą. Przez nią sprowadzałem jako student klasyków greckich i rzymskich, a później rzeczy polskie: nowe wydawnictwa oraz stare z antykwarskich katalogów poznańskich (Jolowicza, Leitgebra, Cybulskiego, św. Wojciecha), lwowskich (Igla, Grunda, Hoelzla) oraz z antykwarni niemieckich. Firma, sprowadzając duże transporty książek zagranicznych, musiała być w dobrych stosunkach z cenzurą, dokąd szły wszystkie paki. Porozumienie za pomocą wszechwładnej lapówki sprawiło, że wśród obcych rzeczy ukrywano nielegalne wydawnictwa, które sprzedawano zaufanym klientom.

Korzystałem z tego i w ten sposób mogłem uzupełniać luki w dziale literatury polskiej. Sprowadzanie książek miało tę niedogodność, że wszystkie transporty książkowe szły przez Lipsk i tam były przepakowywane, co zabierało wiele czasu. Książka np. z Krakowa szła do Warszawy co najmniej miesiąc. Zdarzały się i inne trudności, dzięki którym miałem możliwość zawarcia znajomości z jednym z cenzorów. Zamówilem jakąś bardzo mi potrzebną książkę i często pytałem o nią Hiżą. Dowiedziałem się wreszcie, że jest wymieniona w fakturze lipskiej i nazajutrz z cenzury będzie sprowadzona do księgarni. Gdy przyszedłem po nią, Hiż z irytacją powiedział mi: „Co to za galgan ten Teodoridi! Bierze od nas stałą pensję miesięczną, wpada często po zaliczki na tę pensję, my ich nigdy nie potrącamy, a trzeba go pilnować i patrzeć na ręce, bo przy rewizji książek ściąga nam egzemplarze i sprzedaje na Świętokrzyskiej. Jeżeli panu zależy na pośpiechu, (drugi egzemplarz sprowadzimy dopiero za miesiąc), niech pan zaraz pojedzie na Miodową do cenzury i powoławszy się na mnie pogada z Grekiem. Może, bestia, nie zdążył spieniężyć zdobyczy“. W te pędy udałem się tam i przedstawivszy się niezwykle układnemu, świetnie mówiącemu po polsku panu radcy, Grekowi z pochodzenia, czy czasem nie wziął do czytania potrzebnej mi gwałtem książki, którą po kilku dniach chętnie będę mu służył. Okazało się, że Hiż miał rację. Cenzor wręczył mi pożądaną książkę i zaproponował mi, abym spro-

wadzał z zagranicy książki bezpośrednio przez niego. Dowiedziałem się od niego, że daleko krótsze i praktyczniejsze będzie sprowadzanie książek pocztą pod opaską. Rzeczy te również szły przez cenzurę i odtąd urzędowy argus własnonożnie przynosił do mego mieszkania paczki otrzymując za każdym razem trzy ruble. Rozmowę ze mną kończył zawsze sentencją: „Trzeba żyć i dać żyć innym“.

Przed znajomością z Teodoridim przeżyłem w cenzurze moment pełen wzruszeń. Jeden z moich przyjaciół będąc w Krakowie wysłał dla mnie w podarunku paczkę z książkami zabronionymi, a po powrocie do Warszawy dał mi list do cenzora Kuźniecowa. Ten przyjął mię uprzejmie, zawołał woźnego, aby mi otworzył dużą szafę, w której składano skonfiskowane rzeczy, i laskawie pozwolił mi wynaleźć swoje książki. Zaiskrzyły mi się oczy, gdy przetrzucałem nagromadzone skarby. Wynalazłem wreszcie swoje rzeczy, ale ciągle brałem do ręki rarytasy. Naraz słyszę głos woźnego: „Niech pan bierze, co panu potrzeba“. Dzięki tej zachęcie zamiast niedużej paczki wywiozłem całą dorożkę. Woźny elegancko zapakował mi te rzeczy, wyniósł do weliuku i uklonił się nisko, gdy otrzymał 10 rb. w złocie. Chwaląc się tym połowem Wolskiemu dowiedziałem się od niego, że kilka razy dzięki stosunkom dobierał się z powodzeniem do tej szafy, która na szczęście stała nie w pokojach, gdzie przesiadywali cenzorzy, chociaż oni podobno częściej urzędowali w pobliskiej restauracji Arkuszewskiego.

Ostatnim moim kontaktem z cenzurą rosyjską było przeglądanie i wyławianie ciekawych rzeczy z zasobów tej światłoburczej instytucji, gdy w czasie poprzedniej wojny zakończyła u nas swój żywot i bez naszego żalu opuszczała Warszawę. Sprzedała ona wówczas antykwariuszowi Jabłonce całe swoje magazyny. Archiwum swoje, niestety, wywiozła.

\* \* \*

Trzymając w ciągu tylu lat rękę na pulsie życia antykwarskiego w Warszawie, podzielię się spostrzeżeniami co do rzadkości książek; nadmienię, jakie książki były poszukiwane i jakie większe biblioteki dostały się do antykwarni. Jak już mówiłem, wskutek katalizmów dziejowych, braku poszanowania, a także małego nakładu stare nasze druki XVI i XVII-go wieku od dawna były rzadkie. Częściej spotykały się druki w języku łacińskim, mniej czyta-

ne, jak również dzieła treści religijnej i folia. Z wyjątkiem takich rzadkich w mojej praktyce zdarzeń, jak sprzedaż biblioteki Celińskich, J. Przyborowskiego, Gomulickiego, Niemirowskiego, gdzie były druki w polskim języku z 16 i 17 stulecia treści świeckiej w formacie 4<sup>o</sup> i 8<sup>o</sup>, nie naliczyłbym chyba do stu takich druków w handlu antykwarskim. Z utworów np. Reja prócz zdefektowanego *Zwierzyńca* widziałem tylko w handlu ładnie zachowany egzemplarz *Zwierciadła*. Z pierwodruków J. Kochanowskiego poza zbiorem J. Przyborowskiego spotkałem tylko ulotny druk w zbiorach po Gomulickim. Nawet przedruki tego poety z 17-go wieku w dobrym stanie spotykały się rzadko; przeważnie egzemplarze były zdefektowane.

To samo mogę powiedzieć o utworach innych poetów i prozaików naszych. Jeszcze w początkowych latach mojego kolekcjonerstwa względnie częściej pojawiały się w handlu kroniki Miechowity, Decjusza, biblia Leopoldy i Wujka, kazania Skargi, Birkowskiego, Starowolskiego oraz utwory ascetyczno-religijne. Z biegiem czasu i te stały się rzadkie. Dość częsty wiek 18-ty i początek 19-go również uległ temu losowi. Najdłużej trzymały się ascetyczne i teologiczne utwory schyłku 17-go i pierwszej ćwierci 18-go wieku, którymi nikt się nie interesował. Tego rodzaju utwory z nierozciągniętymi stronicami zabierają miejsce w bibliotekach. Że coraz rzadziej pokazywały się w handlu antykwarskim starsze druki, wytłumaczyć można w znacznej mierze tym, że po r. 1905, a zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości, zaczęły się tworzyć biblioteki publiczne, do kąd ludzie oddawali chętnie zawadzające im w domach nieużyteczne książki.

Wśród sporadycznie spotykających się w handlu starych druków od czasu do czasu wpadały w ręce skrzętnych zbieraczy tzw. „klocki“. Po kilkanaście nieraz mniejszych druczków oprawiano razem dla oszczędności i w ten sposób zachowywały się nieraz unikaty. Najczęściej taki klocek miał wydarte karty na początku i końcu. W mojej praktyce zdobyłem trzy takie klocki. Najmniej cenny prócz kazań i panegiryków z wieku 17-go zawierał Miczyńskiego antyżydowski traktat.

Drugi in 8<sup>o</sup> poza kilku łacińskimi utworami z pierwszej ćwierci 16-go wieku ukrył w środku unikat z 1532 r. w polskim języku z obiecującym tytułem *Trzyńście artykułów o zachowaniu czystości panińskiej*. Niestety, z cymeliami moimi spoczywa dotąd lub zginął pod gruzami. Zdobyłem ten klocek w sposób nieco osobli-

wy. Przeglądając pobieżnie z braku czasu bibliotekę klasztorną, sięgnąłem w celu obejrzenia do podejrzanej grubości ósemki. Istotnie, jak przypuszczałem, był to klocek. Z właściwą mi sprawnością szybko go obejrzałem i naraz widzę w znakomitym zachowaniu piękny druk unglerski, o którym nigdy nie słyszałem. Z nabytym podczas poszukiwań spokojem zapytuję, czy mógłbym tę książkę wypożyczyć. Gdy pochopnie się na propozycję zgodzono, aby kwestię postawić jasno, bo nie podzielałem praktyk daleko ode mnie znakomitszych bibliofilów, zapytałem znów, że chcę wypożyczyć książkę na takich warunkach, że nigdy jej nie zwrócę. I na to zgodzono się ku wielkiej mojej radości.

Z trzecim klokiem historia była dość zabawna. Zachodzę do sklepu Kleinsingera, gdzie później miał miejsce opowiedziany wyżej incydent z Zanem; pytam, czy jest co nowego i rozglądam się po sklepie. Wprawne oko dojrzało na górnej półce, wysoko dość grubą książkę in 4<sup>o</sup> w starej oprawie. Pytam, co to za książka. Antykwariusz wyjaśnia, że to jakiś defekt bez początku i końca. Ledwie się doprosiłem, żeby ją zdjął z góry. I znów podejrzenia moje się sprawdziły. Rzeczywiście szereg razem oprawnych druczków, czego nie spostrzegł kupiec, rozpoczynał *Psalterz* w tłumaczeniu J. Kochanowskiego, ale dalej szedł cały Jan Kochanowski z r. 1600, *Fraszki, Fragmenta*, najstarsze wydanie *Peregrynacji dziadowskiej* (unikat) i zamykał — ku wielkiemu memu zmartwieniu — unikat *Tragedii o Ulissiesie i Penelopie* niejakiego Paxillusa z początku 17-go wieku. Prócz bowiem karty tytułowej i trzech kart przedmowy, i to niecałej, jakaś bezbożna ręka resztę wydarła. Oczywiście nabyłem ten klocek za śmiesznie niską cenę bez żadnego targu.

Nadmienie, że los dziwnie nieraz zawężmie się na niektórych autorów. Tak było z owym Paxillusem (czy to nie modna wówczas zmiana nazwiska jakiegoś Maleckiego na greckie z końcówką łacińską?): poza śladem *Tragedii* drugi jego utwór *Komedia o Lizydzie* zachował się w jednym egzemplarzu w bibliotece szwedzkiego miasteczka, dokąd dotarł wśród łupów nordyków 17-go wieku, którzy solidnie spustoszyli i ograbili naszą ojczyznę.

Najwięcej poszukiwanymi i przeto mającymi największe ceny w handlu antykwarskim były książki z dziedziny heraldyki i genealogii, numizmatyki, wojskowości. Poszukiwano też *Varsovia-nów*, pamiętników, szkiców historycznych, kalendarzyków politycznych; później stały się modne dzieła z zakresu sztuki. Z tej racji książki wymienionych dziedzin chętnie nabywane były przez

antykwarensów i zawsze można było je znaleźć w zasobniejszych sklepach. Osobiście miałem awersję do heraldyki, numizmatyki i wojskowości. Może wpłynęli na to różni zbieracze tych działów. Większość tego typu kolekcjonerów razila mię ciasnotą i ograniczonością umyslową. Prócz tego dołączyły się tu moje osobiste poglądy społeczne, radykalne i wyłączne, jak to bywa w młodości. Żałowałem później, że za daleko posunąłem ten ostracyzm względem heraldyki i nie zebrałem podstawowych rzeczy do genealogii, czego brak bardzo odczuwałem później przy badaniach naukowych.

Najmniej poszukiwane były utwory dramatyczne i zbiorki poezji i dlatego na rynku antykwarskim miały bardzo niską cenę. Nawiasem pozwolę sobie zauważyć, że my, Polacy, należymy chyba do najpoetyczniejszych narodów nowożytnych, sądząc po niepomniernie dużej w stosunku do solidnej prozy ilości wierszowanych utworów drukowanych, poczynając od połowy 16-go wieku do chwil ostatnich. Wszak i teraz, po zakończeniu wojny, przodują szalenie wśród drukowanych pozycji elukubracje wierszowane. Może z tej predylekcji do rymów w naszych historiach literatury i studiach literackich główną uwagę zwraca się na utwory wierszowane. Przedrukowuje się nudne o koszlawej formie wiersze, a poważna, piękna proza polska, pełna nieraz mądrych i głębokich myśli, leży dotąd odłogiem. Jak mało jest zbadana nasza literatura polityczna 16-go, 17-go i 18-go wieku, nasze dawne kaznodziejstwo przesiąknięte patriotyzmem, poruszające zagadnienia polityczne i społeczne, pełne dosadnie utrwalonych obrazków obyczajowych!

Po tej dygresji wracam do spraw antykwarskich. Otóż kupcy ze Świętokrzyskiej, rozmieszczając książki na półkach według działów, poezje i teatralia spiętrzone w stosy trzymali zwykle w zakamarkach. Co pół roku miałem zwyczaj przeglądać kolejno u antykwariuszów te dwa działy, uprzedzając z góry właściciela, że płacić będę najwyżej po 30 groszy za sztukę. W przeciwnym razie nie mam zamiaru brudzić rąk w kurzu. Nie pamiętam wypadku, aby antykwariusz się nie zgadzał, eliminując sobie co najwyżej w czasach ostatnich Tuwima.

W związku z poezjami miałem raz takie zdarzenie. Wyciągnąłem z półki pięknie zachowane dwutomowe wydanie petersburskie Mickiewicza w dawnej stylowej oprawie. Gdym zapytał o cenę, wyjątkowy zresztą „hebes“ antykwarski zaczął mię gwałtownie namawiać do kupienia czterotomowego wydania jubileuszowego (Wa-

welberga), które kosztowało 80 kop. Nie mogłem na razie zrozumieć, o co mu chodzi; wreszcie skombinowałem, że szło tu o zdobycie większej sumy. Wytłumaczyłem antykwariuszowi, że mały format jest dla mnie wygodniejszy, i w końcu nabyłem bez targu tę rzadkość za 40 kop.

Z większych bibliotek, jakie za mej pamięci dostały się na rynek antykwarski, wymienię: Celińskich z Cekowa, Józefa i Walerego Przyborowskich, W. Maciejowskiego, K. Moychy, Bronisława Grabowskiego, K. Reychmana, W. Gomulickiego, B. Hillera, Niemirowskich, ks. Gołaszewskiego, ks. Szaniawskiego, cenzora Anastasiewicza, Pawińskiego, Rembowskiego, Ziffera, Neprosa, Witłyga. O kilku z nich wzmiankowałem i charakteryzowałem je wyżej; o niektórych powiem słów kilka, gdy będę kreślił sylwetki zbieraczy.

Biblioteka po Walerym Przyborowskim, nabyta przez Wildera, miała dwa działy ładnie zebrane: powstanie 1863 roku i *Varsoviana*. Biblioteka po Wacławie Maciejowskim ze składów Banku Polskiego po latach dostała się również do Wildera. Obfitowała ta biblioteka w *Slavica*, prawo i historię. Dwa katalogi poświęcił Wilder zasobom po Maciejowskim. Trzeba jednak krytycznie traktować antykwarskie katalogi, wymieniające na tytule „Ze zbiorów...” lub „Biblioteka N-go“, gdyż antykwariusze z pobudek handlowych bez ceremonii włączają do takich księgozbiorów zasoby własne.

Kolekcję ks. Gołaszewskiego nabył Kleinsinger. Składała się ona z dzieł treści teologicznej, historycznej i ładnego zbioru filozofii polskiej. Z tego działu filozoficznego nabyłem między innymi rzadkie, bardzo drogie wydanie *Chowanny* Trentowskiego bez wyciętych kartek przez cenzurę pruską.

Biblioteka po ks. Szaniawskim, redaktorze *Przełądu Katolickiego*, liczebnie bardzo duża, obok przewagi dzieł teologiczno-kościelnej treści miała dużo dzieł historycznych i lingwistycznych. Pamiętam, jak sprzedająca ów księgozbiór rodzina zmarłego wyraziła zdziwienie, że ja pierwszy świecki człowiek nabywam dzieła z działu kościelnego (historię zakonów, dzieje Kościoła, kazania itp.), podczas gdy księża nabywali wyłącznie książki o treści świeckiej. Zainteresowania językoznawcze ks. Szaniawskiego bez tresury naukowej zaprowadziły go na manowce. Drukowana np. elukubracja *Lech, Czech i Rus* świadczy o rozstroju psychicznym: autor poważnie zaliczał język polski do najstarszych



w świecie i uzasadniał, że faraonowie posługiwali się tym językiem w korespondencji z żonami... Lechitkami. Co prawda Dębołęcki w 17 wieku sięgał w podobnego rodzaju wywodach do Adama, Ewy i ich najbliższych potomków.

Zbiór Bronisława Grabowskiego, niewielki co do zasobności, składał się z rzadko na naszym terenie spotykanych utworów w języku bułgarskim, czeskim i serbskim oraz z polskich dzieł traktujących o Słowianach.

Obfitą ilościowo i różnorodną jakościowo była biblioteka Karola Moychy. Poza beletrystyką z pierwszej połowy 19-go wieku polską i obcą w tłumaczeniach, były tam monografie miast, kalendarze i kalendarzyki, pisma zbiorowe autorów polskich, dzieła historyczne, ładne wydania ilustrowane (wzory sztuki średnio-wiecznej Orda etc.) heraldyka, numizmatyka, nawet kilka starych druków, np. Starowolskiego *Monumenta*. Wszystkie książki, co się rzadko zdarzało, były w dobrym stanie i przeważnie oprawione.

Biblioteka Niemirowskich, której ostatnim właścicielem był autor *Bibliografii notariatu*, składała się ze starych podręczników szkolnych, dzieł treści pedagogicznej, kilkunastu starszych druków z 17-go i 18-go wieku po ojcu oraz z dzieł treści historycznej i prawnej po synu. Osobliwością niezwykłą zbioru było to, że młodszy właściciel ze względów oszczędnościowych potworzył „klocki“, tj. oprawiał nieraz po kilkanaście druków podług formatu, bez względu na treść dzieła. Trzeba było rozrywać oprawy i wydobywać egzemplarze mocno obrzezane przez dorosłego introligatora z Płocka.

Kolekcja książek po Neprosie, który miał piękne zbiory rycin, medali, militariów, antyków i pornografii, była typowo przeciętną: kalendarzyki, kroniki, heraldyka, dzieła numizmatyczne, historyczne, a najwięcej beletrystyki bardzo pośledniego gatunku.

Książki Anastasiewicza, cenzora petersburskiego z czasów pobytu Mickiewicza w Rosji, dłuższy czas były na składzie w kantorze przewozowym, skąd po upływie prawem przepisane terminu, gdy się spadkobierca nie zjawiał, dostały się do handlu. Były tam *Rossica*, *Slavica*, dzieła treści bibliograficznej i historycznej. Było trochę i polskich druków, między innymi petersburskie wydanie Mickiewicza z własnoręczną dedykacją autora.

Jednym z najosobliwszych zbiorów, jaki oglądałem w życiu, był zbiór niejakiego Feliksa Kwira, mieszkańca Starego

Miasta. Zaproszony przez wdowę po nim, która dowiedziała się o moim istnieniu od wspólnych naszych znajomych, udałem się pod wskazany adres. Czego ten człowiek nie kolekcjonował? Książki, ryciny, pamiątniki, monety, marki, obrazki święte, bilety wizytowe, tramwajowe, pudełka od papierosów, fajki, żetony, powinszowania itd. Naklejał na książkach swe ekslibrysy z napisami w języku polskim, łacińskim, rosyjskim i, zdaje się, włoskim. Zbiór książkowy nie posiadał żadnego kręgosłupa, ale znalazłem tam sporo rzeczy rzadkich i dla mnie ciekawych. Zaintrygował mię zbiór biletów tramwajowych w albumie z napisami. Przy bliższym badaniu stwierdziłem, że Kwirowi chodziło o zobrazowanie i na tym odcinku postępującej rusyfikacji: były bilety tylko w języku polskim, dwujęzyczne, tylko w języku rosyjskim i znów dwujęzyczne. Po zakończeniu kupna książek wdowa uraczyła mię jeszcze jednym zbiorem po nieboszczyku: w szafce stała rzędem z napisami i datą bateria różnego rodzaju świetnych nalewek, przyrządzanych przez właściciela.

Przeciętna biblioteczka polska, jakich najwięcej widywałem w handlu, miała zawartość stereotypową: trochę historii, literatury z przewagą beletrystyki, stare podręczniki szkolne, roczniki, najczęściej z brakami, *Biblioteki Warszawskiej* lub *Ateneum*, *Tygodnika Ilustrowanego* lub *Kłosów*, trochę zabłąkanych nieco starszych druków, trochę książek treści społecznej. Niezbędną okrasą były albumy malarzy, albumy z widokami zwiedzanych miejscowości oraz przewodniki.

Korzystnym przywilejem było pierwszeństwo przeglądania nabywanych przez antykwariuszów bibliotek, ale dość uciążliwym i pochłaniającym dużo czasu. Niestety kupcy przeważnie nie orientowali się sami, co odłożyć dla mnie, zwłaszcza gdy mieli do czynienia z książką starą lub bardzo rzadko spotykaną. Niektórzy z zasady odkładali dla mnie wszelkiego rodzaju starzyznę. Na szczęście tyle w życiu przeszło przez moje ręce książek, że dorobek piśmiennictwa naszego wieku 19-go i pierwszych dziesiątków 20-go chyba w  $\frac{3}{4}$  był mi znany z tytułów i ogólnej treści. Pomocą tu była pamięć, szczególnie wzrokowa. Szybko mogłem przeglądać stopy książek, szybko też decydowałem, co mam brać. Kupcy mówili innym zbieraczom, że lubią ze mną mieć do czynienia, gdyż nie zabieram im dużo czasu i krótko się targuję. Ta szybkość miała jeszcze tę dobrą stronę, że przeciętny antykwariusz przypatrywał się minie kupującego i na podstawie wrażenia na jego twarzy oceniał książkę.

Niektórzy zbieracze zazdrościli mi tych faworów, dla innych znów byłem postrachem. Zauważyli to sprytniejsi antykwariusze i na tym tle zdarzały się zabawne historie. Bardzo często prosili mnie, abym oglądając pierwszy nabytą bibliotekę, nikomu o tym nie mówił. Otóż gdy Przeworski nabył zbiór teatralnych druków po Hillerze i według zwyczaju dał mi znać, w te pędy wieczorem pobiegłem do antykwarni i tam do późna bez przeszkody solidnie przejrzałem całość i wylusknąłem druki 18-go i początku 19-go wieku, roczniki teatralne, ulotki etc. Wywoziłem pełną doróżkę. Na drugi czy trzeci dzień wpada do sklepu zacny mój komiliton, Mieczysław Rulikowski, namiętny zbieracz teatraliów. Znał on z rękopiśmiennego katalogu zbiorów Hillera i nim przystąpił do oglądania biblioteki, zapytał, czy ja obejrzałem świeże kupno. Przeworski powiedział, że poprzedniego dnia wpadłem na krótko, ale nie miałem czasu i obiecałem zajść wkrótce. Rulikowski bez oglądania szczegółowego zakupił ryczałtem całość zbioru. Gdy się w nim rozejrzał i spotkał mnie, bez żółci oświadczył, że aczkolwiek krótko oglądałem, ale zdążyłem wybrać wszystkie rzeczy najlepsze.

Innym razem u tegoż Przeworskiego zaszło takie zdarzenie. Weyszenhoff, który miał kłopoty z częstymi przeprowadzkami, wysortował z bogatej kolekcji druków wieku 18-go całą dużą pakę defektów i rzeczy według jego mniemania bardzo małej wartości i sprzedał to Przeworskiemu. Oczywiście zawiadomiony pierwszy, troskliwie przejrzałem zawartość paki i wzbogaciłem swój zbiór czy to dokompletowując swoje egzemplarze, czy powiększając moją kolekcję tych druków szeregiem ciekawych i rzadkich utworów. Po nabyciu zapytał mnie Przeworski, co warta reszta. Powiedziałem, żeby nie wymagał wiele i zadowolił się każdą ceną, bo pozostały rzeczy prawie bezwartościowe. O tej paczce starych druków, pochodzących ze znanego zbioru, dowiedział się bibliotekarz ord. Krasieńskich i w towarzystwie przyszedł do antykwarni, i zakupił wszystko za umiarkowaną cenę. Nabywcy byli zadowoleni i zaczęli trochę podżartowywać z Przeworskiego, że tak tanio sprzedał im tyle starych książek. Wtedy, jak mi mówił, nie wytrzymał i oświadczył, że podał cenę niską, bo p. Michalski orzekł, że to są rzeczy bez wartości. „Miałem przyjemność, że za żarty z mojej głupoty widziałem wydłużone miny nabywców“.

To przesadne pojęcie o moim znawstwie bardzo było niedogodne dla mnie na licytacjach książek. Gdy bowiem stawałem do

niej, wielu innych amatorów sądząc, że to pewnie dzieło rzadkie i wartościowe, podbijało cenę i uniemożliwiał mi nabycie potrzebnej książki, a przepłacać nie chciałem. Gdy się to prawie stale powtarzało, licytowałem i to z pasją rzeczy małowartościowe, podbijałem cenę i w odpowiedniej chwili przerywałem zabieg, a uszczęśliwionemu zbieraczowi oświadczałem, że zdobycz nie należy do cennych. Nie chodziłem później na te walki; prosiłem natomiast znajomych, aby dla mnie nabywali rzeczy, które przed licytacją widziałem lub wiedziałem o nich z katalogu.

## ROZDZIAŁ V

### WSRÓD BIBLIOFILÓW

Obraz moich przeżyć w atmosferze książek byłby niepełny, gdybym poprzestał na wspomnieniach i wrażeniach z moich stosunków z antykwariuszami i księgarzami. Podczas tych 55-letnich wytrwałych wypraw iluż to przewinęło się przed moimi oczami ludzi *eiusdem farinae*, tj. różnego typu zbieraczy, bibliofilów, maniaków etc. Jak pijacy ciągną do szynków, tak nas bibliofilów pociągają miejsca, gdzie można nasycić pragnienie kolekcjonowania. Człowiek jest stworzeniem towarzyskim. W handelkach z napojami schodzą się przeważnie stali goście, znajomi, przyjaciele, nalogowcy i dużo czasu poświęcają pogawędkom. Tak i w antykwarniach można było spotkać przewijających się tam nagminnie nalogowców książkowych. O takich spotkaniach i pogawędkach u Rosenweina na Marszałkowskiej wzmiankowałem już wyżej. Na Świętokrzyskiej również spotykali się przy wspólnym stole różni smakosze i amatorzy starej bibuły. Po pewnym czasie zawierały się znajomości, stosunki towarzyskie, które przechodziły czasami w zażyłość.

Po wskrzeszeniu państwa polskiego z wyłuszczonych pobudek powstawać zaczęły towarzystwa bibliofilów. Najruchliwsze z nich było w Krakowie Towarzystwo Miłośników Książki, skupiające koło dwustu członków, wydające specjalne czasopismo i dość sporą ilość druków i druczków bibliofilskich. Towarzystwo Bibliofilów w Warszawie w statucie zaznaczyło, że ilość członków nie może przekroczyć liczby 44. Co prawda nawet do tej ilości nie doszło nigdy grono bibliofilów warszawskich składające się z ludzi z wieku i urzędu dostojnych i w pewnej mierze ospałych. Posiedzenia były

nudne i odstraszały uczestników. Nastąpiła reorganizacja, zmieniono statut i z jednej ostateczności wpadło Towarzystwo w drugą: zaczęto pochopnie, nieoględnie, bez wyboru werbować i przyjmować członków. W celu zdobycia funduszków Towarzystwo zaczęło urządzać licytacje książek, rękopisów, rycin, ekslibrysów. Na tym tle powstały przykre incydenty. Jakiś czas rej tam wodził osławiony Ziemkiewicz. Poważniejsi członkowie wycofali się z Towarzystwa. Poza tymi powstały towarzystwa bibliofilów w Wilnie, Lublinie, Zamościu, Lwowie i Paryżu.

Prawie wszystkie te zrzeszenia miały swoje wydawnictwa, których celem było pokazać książkę ładnie wydrukowaną i ozdobioną. Tych druków i druczków ukazało się nawet sporo, ale pomijając dziwactwa w wymiarze od lilipucich do arcydługich i szerokich, które sprawiały kłopot przy ustawianiu ich w bibliotece, większość — i to znaczna — owych wydawnictw posiada nikłą wartość pod względem treści. Każdy prawdziwy bibliofil musi pamiętać, że treść książki powinna być przede wszystkim przedmiotem jego zainteresowania. Towarzystwom bibliofilskim na przyszłość stary ich towarzysz życzy, aby wydawały mniej rzeczy, ale takie, do których warto często zaglądać, jak np. do nie ukończonej, niestety, pracy K. Piekarskiego o Unglerze.

Po tych może zbyt krytycznych uwagach starego zrzędy stwierdzić muszę, że urządzenie zjazdów bibliofilskich było pomysłem dobrym i celowym. Mniejsza o powódz okolicznościowych druków, mniejsza o referaty. Największą korzyścią było zetknięcie i osobiste poznanie się miłośników książki z całej Polski, towarzyskie pogawędki i wystawy. Mam wątpliwość, czy łączenie zjazdów bibliofilskich z bibliotekarskimi jest wskazane. Nieraz bibliotekarz jest bibliofilem i trudno mu się wtedy rozdzwajać na posiedzeniach sekcji, a co ważniejsze bibliotekarze mają dużo spraw zawodowych, organizacyjnych i specjalnych np. katalogowanie, z czego usiłuje się zrobić naukę, co wszystko nic albo bardzo mało ma wspólnego z bibliofilstwem. Pomijam, że poziom prawdziwych bibliofilów jest na ogół jednolity, podczas gdy miano bibliotekarza jest bardzo rozciągliwe.

\* \* \*

Jako początkujący amator książek, wiekiem bardzo młody, z nabożeństwem przyglądałem się spotykanym w antykwarniach osobom, których nazwiska znane mi były z gazet czy z książek. Z po-

dziwem patrzyłem na zbieracza, często zjawiającego się w antykwarni Sz. Rubinszteina na Brackiej. Niewielkiego wzrostu, krótkowidz, zawsze szperał na półkach, klęcząc nieraz na ziemi i dokładnie badał zawartość dzieła nie poprzestając na tytule. Za każdym takim pobytem wnosił sporą paczkę książek. Od antykwariusza dowiedziałem się, że to Piotr Chmielowski. W lat kilka później miałem szczęście bliższego zetknięcia się z tym niezwykle sumiennym i pracowitym historykiem literatury. Obok Nehringa, Bruchnalskiego i Brücknera był on w moich autodydaktycznych studiach nad literaturą polską najistotniejszym mentorem.

W czasach studenckich jako filolog byłem *rara avis* i tym sobie tłumaczę, że zapraszany byłem na zebrania do Kazimierza Kaszewskiego i Jana Karłowicza. Dotąd po tylu latach żywo zarysowuje się w moich oczach wielka długa sala na piętrze w mieszkaniu redaktora *Wisły* i językoznawcy, autora *Słownika gwar polskich* i współredaktora *Słownika polskiego*. Mieszkał on w pałacyku w podwórzu domu przy ul. Jasnej, naprzeciwko placu Dąbrowskiego (wówczas Zielonego). Imponujący był widok półek z książkami, zapelniających cały pokój tak, że kawałeczka pustej ściany nie było widać. Na środku pokoju na stołach, w szafach, etażerkach mieściły się również książki i kartoteki z notatkami. Karłowicz łaskawie wtajemniczał mię raz w system robienia notatek i umieszczania ich w tekach i bardzo zachęcał do takiego systemu. Ileż to razy później żałowałem, że nie posłuchałem mądrych rad doświadczonego pracownika i zbytńio dowierzałem swojej pamięci! Czytając niedawno artykuł prof. Czekanowskiego o kolebce słowiańszczyzny i o plemionach polskich, przypomniałem sobie moje studenckie lata, gdy słuchałem prawie podobnych wywodów Karłowicza na jednym z posiedzeń u niego. Opierał się Karłowicz w swoich rozważaniach na danych językowych.

Z tymi posiedzeniami wiąże się epizod weselszy. Miał referat Niedźwiedzki, jeden z redaktorów *Słownika języka polskiego*, o „popielinach“, zwyczaju ludowym w związku z połogiem niewiast. Niedźwiedzki długo rozwodził się nad symboliką popiołu i jego roli w wierzeniach i kulcie ludów. Wysłuchano wywodów w skupieniu, nikt jakoś nie zabierał głosu i gospodarz podziękował referentowi za gruntowną rozprawę. Aliści po upływie kilku dobrych lat przypadkowo przy przeglądaniu jakiegoś słowniczka

gwary natrafiam na „popieliny — popiliny“, co bez symboliki i wpływologii wyjaśniało nasz zwyczaj ludowy. Ot, schodziły się babiny i popijały przy łóżku położnicy wódkę, oczywiście bez demieszki popiołu. Nie omieszkałem podzielić się moim odkryciem z Niedźwiedzkim, którego spotykałem często na pogawędkach nauczycielskich w ogródku przy mleczarni Nadświdrzańskiej na rogu Nowego Świata i Alei. Uśmieł się serdecznie, przyznał mi rację i dziwił się, że sam ani nikt ze słuchaczy nie wpadł jakoś na tak proste wyjaśnienie obyczaju.

W antykwarni Rosenweina spotykałem czasami wysokiego postawnego mężczyznę w podeszłym wieku. Zwrócił on moją uwagę tym, że nosowym głosem proponował bardzo niską cenę za wybraną przez siebie z półek książkę lub pokazaną przez kupca. Rzadko kiedy coś nabywał, a jednak zgryźliwy antykwariusz traktował go z szacunkiem i uprzejmością. Dowiedziałem się, że był to dr W. Lasocki, Sybirak, który ostatnio osiadł w Nałęczowie. Zebrał on dużą bibliotekę obfitującą w stare druki oraz cenne i liczne okazy z dziedziny etnografii. Zapytany przeze mnie antykwariusz, dlaczego doktor proponuje ceny tak niewspółmierne na obecne czasy, odpowiedział, że dawniej nie było amatorów na stare druki i jeden z nielicznych ówczesnych nabywców, jakim był właśnie dr Lasocki, nabywał je za bezcen i nie mógł się od tego odzwyczać.

Z tych czasów pamiętam dwóch bibliofilów, należących do starszego pokolenia, z którymi spotykałem się jedynie w antykwarniach, lecz nigdy nie zamieniłem ani słowa. Z wielką atencją przyjmowali antykwariusze adwokata Leopolda Świderskiego, nabywającego stare druki polskie, szczególnie 16 i 17 wieku. W czasach uczniowskich i studenckich przygotowywałem do gimnazjum kilku synów przemysłowców warszawskich branży garbarskiej. Dowiedziałem się, że Świderski przed laty jako student również kształcił młode pokolenie w tejże sferze. Zakochał się w starszej siostrze jednego z pupilów, pozyskał jej wzajemność, ale ze względu na obyczaj kojarzenia małżeństw wyłącznie w rodzinach przemysłowców musiał się liczyć z ogromnymi trudnościami. Matka panny była głuchoniema. Otóż Świderski, jak mi mówiono, nauczył się od specjalisty nauczyciela porozumiewania się z upośledzonymi i tak ujął matkę, że ta ani słyszeć nie chciała o innym zięciu i zwalczyła niechęć klanu do gołego inteligenta. Oczywiście, spowinowacony z wielkim przemysłem, stał się radcą prawnym kilku firm



i człowiekiem bogatym. Miał zebrać nadzwyczaj cenną bibliotekę, ale jakie były jej losy, nie mogłem się dowiedzieć. Na cmentarzu powązkowskim widziałem płytę grobową tego zbieracza, na której wśród danych o zmarłym pamiętam napis „bibliofil“.

Leopold Méyet, adwokat warszawski i literat, syn Francuza i matki Polki, jak podawał o sobie w kalendarzu *Ruch* (matką jego była znana wśród inteligencji i finansjery żydowskiej swatka), należał do bardzo szczęśliwych zbieraczy. Jemu to udało się nabyć rodzinne pamiątki po Januszewskich i J. Słowackim, a wśród nich najcenniejszą perłę zbiorów, listy poety do matki. Méyet gromadził autografy, pamiątki, portrety, pierwodruki Słowackiego i Mickiewicza oraz innych autorów. W testamencie cały swój majątek ofiarował na cele dobroczynne, a rękopisy, ryciny i książki — bibliotece ord. Krasieńskich i Muzeum Narodowemu. Mówiono mi, że Méyet odznaczał się skąpstwem, co zresztą pośrednio mogłem sprawdzić.

Dość wcześnie zaczął się we mnie rozwijać kult Mickiewicza i skrzętnie zbierałem stare wydania tego poety. Otóż Méyet nie tylko nie był na tym polu moim konkurentem, lecz mimo woli ułatwiał mi nieraz tanie nabycie. Znalazłszy jakiś ciekawszy okaz Méyet tak długo żyłował i nachodził antykwariusza, że ten na złość jemu sprzedawał mnie ten druk za cenę, którą skąpy nabywca proponował. Przy tej sposobności zanotować muszę, że zbieracze Żydzi nie cieszyli się uznaniem wśród współplemiennych antykwariuszów, a często nawet mogłem zauważyć wyraźną ku nim niechęć. Zasłużony zbieracz i filantrop (po śmierci), Méyet za życia był przedmiotem żartów i drwinek wśród literatów, a zwłaszcza wśród prawników. Nasłuchałem się swego czasu krążących o nim opowieści. Oto jedna z wielu. Méyet ożenił się i jakoś wkrótce żona jego otrzymała rozwód z powodów przewidzianych przez prawo. Aby zdementować żartobliwe pogwarki, krążące po Warszawie, Méyet ostentacyjnie osadził w domu swoim jakąś młodą i ładną Zosię. Po pewnym czasie pokumał się z nią Smoleński i zapytał, co robiła właściwie u Méyeta. „A... byłam dla honoru domu“ — brzmiała odpowiedź. O żonie naszego mecenasa krążył dowcip, że przestudiowała 3 kursy prawa, powtórnie wyszła za mąż również za prawnika, a po raz trzeci została też adwokatową.

Historyków Rembowskięgo i Smoleńskiego widywałem często w księgarni Wendego, a trzecim w tym gronie godnym towarzyszem bywał Zygmunt Wolski, z którym byłem już

wówczas na dobrej stopie. Wszyscy trzej gęby mieli jak cholewę i rozmawiali głośno stylem *Figlików Reja* czy *Ogrodu fraszek Potockiego* ku wielkiemu niepokojowi księgarza Hiża, gdyż w sklepie pełno było ludzi. Różnego gatunku sprośności, wygłaszane przy tym tubalnymi głosami, mogły wystraszyć klientów, zwłaszcza panie. Na delikatną uwagę, że blisko są panie, Rembowski tłumaczył Hiżowi, że one właśnie najciekawiej przysłuchują się kawałom. Nieraz zrozpaczony Hiż, który na próżno mitygował rozmówców, błagał mię, abym pod jakim pozorem wyciągnął na Świętokrzyską Wolskiego, który grzmiał najsilniej i podjudzał dobrych towarzyszków.

Po wielu latach już jako wizytator szkolny miałem możliwość dokładniejszego poznania biblioteki Smoleńskiego i jedyny raz w życiu widziałem należycie — według mnie — urządzonego pokój poświęcony pamięci zasłużonego człowieka. Za każdym razem w czasie pobytu w Płocku nie omieszkiałem wpadać do biblioteki i muzeum, aby pogawędzić z p. Ruską. Otóż podczas jednej z takich wizyt szanowna kustoszka prowadzi mię, aby mi coś pokazać. Staję przed zamkniętym pokojem, na drzwiach widzę tabliczkę z napisem: „Władysław Smoleński“ oraz podkowę przytwierdzoną do futryny. Otwieram drzwi i naraz oczom moim przedstawia się znany mi widok: to warszawski pokój-pracownia historyka. Te same półki z książkami, te same skromne meble, obrazki, biurko-stół, na którym leży otwarta książka, gazety, wazonik z zasuszonymi kwiatami, w ramce fotografia pięknej kobiety, wreszcie kapciuch z tytoniem. Czekałem, że otworzą się drzwi sąsiedniego pokoju i wejdzie o imponującej brodzie uczony. Zdumiony, spoglądam na p. Ruską i dowiaduję się od niej, że Smoleński przed śmiercią przeznaczył dla Płocka swoje zbiory, a urządzenie ich było dziełem pomysłu i rąk dwóch kobiet: p. Ruskiej i ukochanej historyka. Mówił mi niegdyś Wolski, że na jakiejś fotografii u Smoleńskiego czytał napis: „Twoja na śmierć i życie“. Przypomniałem to sobie wówczas, zapytałem, czy może ta właśnie osoba brała udział w urządzeniu pokoju, i otrzymałem odpowiedź potwierdzającą. Istotnie subtelna dusza kobieca i miłujące serce, połączywszy się we wspólnej pracy nad utwaleniem pamięci człowieka, potrafiły z pietyzmem to wykonać. A nie było tam ani śladu śmierci: żadnej maski pośmiertnej, klepsydr pogrzebowych, wieńców itp. zwykłych akcesoriów w pokojach ku czci sławnych ludzi.

W związku ze Smoleńskim zanotuję tu jeszcze jeden szczegół z Płocka. Chodził on do tamtejszego gimnazjum i w ostatniej zachowanej cenzurze, zdaje się z klasy 7-ej, oceny ze wszystkich prawie przedmiotów były niedostateczne. Wieść płocka głosiła, że młodzieniec srodze się wówczas zakochał i zapomniał o Bożym świecie. Ukończył gimnazjum gdzie indziej. Gdy dr Maciesza pokazywał mi ten charakterystyczny dokument zachowany w archiwum gimnazjalnym i nadmieniał o zamiarze podania o tym wiadomości do pism, wyraziłem zastrzeżenia natury pedagogicznej, czy lada koronny leń lub co gorsza osioł dardanelski nie będzie powoływał się na ten przykład.

Nazwisko Zygmunta Wolskiego już kilkakrotnie przewijało się na tych kartkach. Poznałem się z nim w pierwszych moich latach studenckich. Był on wtedy nauczycielem języka polskiego w gimnazjum realnym oraz pomocnikiem bibliotekarza w księgozbiornie ord. Krasieńskich. Później od r. 1906 koleżeństwo w szkołach Zgromadzenia Kupców przy ul. Prostej oraz wspólne zainteresowania i pasja bibliofilska zacieśniły nasze stosunki. W przeciągu długich lat naszej znajomości i zażyłości zebrałem o nim i utrwaliłem w pamięci mnóstwo spostrzeżeń, opowiadań etc., z czego zużyję w tej gawędzie o czasach minionych choć garść rzeczy najcharakterystyczniejszych.

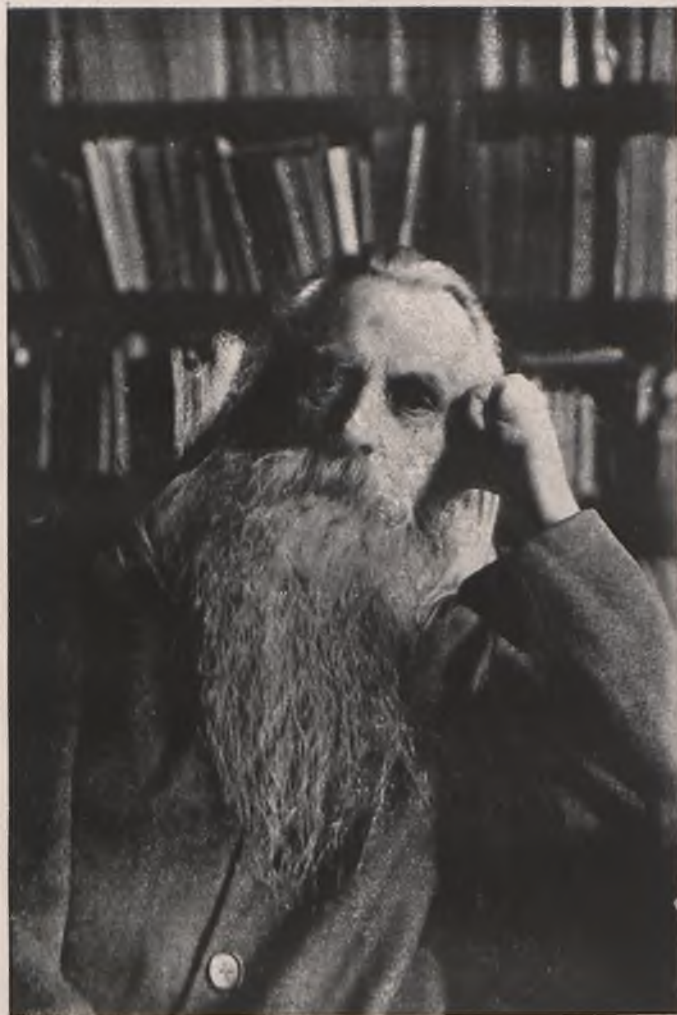
Była to swego czasu jedna z bardzo popularnych postaci w literacko-naukowym świecie warszawskim. Popularność tę zwiększało długoletnie nauczanie w szkołach. Oryginał, kawalarz, w czym ustępował może dr Słonimskiemu, miłośnik książek aż do przesady, namiętny zbieracz wszelkich pamiątek przeszłości polskiej, gawędziarz, człowiek o temperamencie ognistym, niepohamowany, odważny etc. Nie mamy dotąd w naszej literaturze pracy o oryginałach polskich, a przy naszym indywidualizmie, często zbyt wybujałym, mieliśmy ich bez liku: od wielkich w swoim tragizmie poprzez różnego autoramentu sobiepanów, maniaków, dziwaków, kończąc na „samodurach“. W takiej pracy w galerii oryginałów musiałyby się znaleźć miejsce dla Zygmunta Wolskiego.

Spotykałem go w antykwarniach, gdy byłem już studentem uniwersytetu i dużo o nim wiedziałem ze słyszenia. Nabyłem raz pięknie zachowany egzemplarz *Historii naturalnej* Pliniusza w pierwszym wydaniu w oryginale i chcąc zawrzeć osobistą znajomość ze znanym bibliofilem, udałem się do jego mieszkania w pałacu Raczynskich na Krakowskim Przedmieściu, niosąc pod pachą nabytą

książkę, aby mu ją podarować. Zastałem profesora, byłem przedstawiony jego żonie, ofiarowałem Pliniusza do zbiorów, ale widocznie trafiłem na zły moment czy z innych powodów przyjęty byłem nieco sztywnie. Gospodarz był powściągliwy, żona — mało mówna. Porozmawialiśmy o uniwersytecie, o wspólnych profesorach, bo i Wolski ukończył wydział historyczno-filologiczny w Warszawie; coś niecoś powiedziało się o książkach i gdy rozmowa się nie kleiła, skróciłem wizytę. Już przy drzwiach zapraszał mię do biblioteki Krasińskich, wskazując godziny, kiedy go tam zastać można. Zniechęcony tym pierwszym krokiem ku znajomości, dość późno wybrałem się do biblioteki i zdziwiłem się niepomiernie zmianą w stosunku do mnie: serdecznie rozpytywał o moje zamiłowania. Ujęty tym, często go odwiedzałem. Zresztą spotykaliśmy się na wyprawach po książki, a później, gdy już byłem nauczycielem, na konspiracyjnych zebraniach polonistów.

Pamiętam oryginalne zdarzenie w związku z jednym z tych zebrań. Odbywać się miał zjazd z całej Kongresówki w mieszkaniu Wolskiego. Wszyscy podobno się stawili z wyjątkiem gospodarza. Dość długo czekaliśmy na niego z rozpoczęciem obrad. W końcu Konstanty Dąbrowski, współkolega z gimnazjum realnego, lepiej od innych wtajemniczony w obyczaje gospodarza, zaproponował, aby bez niego rozpocząć zebranie. Przy końcu owego sejmiku nauczycielskiego zjawia się rozpromieniony Wolski z paczką książek i jak gdyby nie przyjmuje gorące podziękowania za gościnne udzielenie mieszkania. Oczywiście Wolski wybrał się na połów i zapomniał o zebraniu.

Podobnego rodzaju roztargnienia, gdy w grę wchodziła namiętność bibliofilska, zdarzały się naszemu oryginałowi często. Od wielu osób słyszałem o tym, co mu się wydarzyło w dzień ślubu, który odbył się po mszy rannej z wielką okazałością. Po ślubie i śniadaniu wyprawiono młodzieńca na spacer, aby nie przeszkadzał w przygotowaniach do uczyty weselnej. Udał się oczywiście na Świętokrzyską, kolejno składał wizyty antykwariuszom, poczynając od Nowego Świata, wszędzie coś obejrzał i pogawędził. Gaduła był nie lada. Licho nadało, że akurat tego dnia któryś z antykwariuszów nabył większą bibliotekę. Co to za uczta dla zbieracza! Pochłonęła go tak, że zapomniał nie tylko o uczcie weselnej, ale nawet o oblubienicy. Tymczasem w domu, gdy nie wracał, zaczęto się niepokoić. Panna młoda szlocha, rozpacza, że spotkał go jaki wypadek. Szukano go po komisariatach policji i szpitalach. Aliści



Zygmunt Wolski  
(1924)



bardzo późno wieczorem zjawia się pan małżonek, nieomal oplakany, rozpromieniony w niezwykłym humorze z paką nabytków. Zdobył wiele ciekawych rzeczy, a jeszcze więcej odłożył.

Gdym zapytał Wolskiego, kiedy byliśmy już na stopie bliskiego koleżeństwa, czy sprawa ta istotnie tak się przedstawiała i czy to czasem nie kawał, oświadczył, że tak było, i zwierzył mi się z takiego oto zdarzenia. W czasie poważnej choroby dziecka poszedł do apteki po lekarstwo. Ponieważ trzeba było na przygotowanie czekać godzinę, udał się na pobliską Świętokrzyską i tam zasiedział się do późna, zapominając o chorym dziecku.

Pasja bibliofilska była coraz większa i z biegiem czasu zaczęła przybierać coraz wyraźniej cechy bibliomanii. Wolski nie potrafił walczyć z namiętnością. Odbijać to się zaczęło na budżecie domowym, zadłużał się u księgarzy i antykwariuszów, którzy szturmowali o należność, a często nawet pisali przykre listy.

Wolski świetnie znał się na książkach polskich i nie pominął rzeczy rzadkiej i wartościowej. Niestety, pasja nie pozwalała mu przeprowadzać selekcji w zbieraniu; upodobania jego obejmowały zbyt liczne dziedziny, przy tym dochodziły do tego różne bibliofilskie przyprawy: specjalny papier, oprawa, zapiski, ekslibrysy i superekslibrysy, ograniczona ilość egzemplarzy, druki prowincjonalne, egzemplarze nierozcięte.

Kupował świadomie po kilka egzemplarzy jakiegoś dzieła: dla siebie — jak mówił — przyjaciela i złodzieja. Zaczęła w końcu przeważać ilość nad jakością. Szczupłość mieszkania i chaotyczność w zbieraniu i przechowywaniu książek była też poważnym mankamentem. Gdy stopy przynoszonej do domu bibuły groziły domowemu porządkowi, małżonka kazała wynosić je na strych podczas nieobecności męża. Tam tworzyły się zwaly, do których trudno było się dostać. W końcu zapominał Wolski, co posiada, i dla pewności kupował po kilka razy egzemplarze jednego dzieła.

Opowiadał mi Wolski, że raz dostał się kot na ten strych z książkami, te zwały się raptem na niego i zasypały doszczętnie. Gdy gospodarz grzebał się w książkach, natrafił na szkielet zwierzęcia. Skoro bibliofil nasz został nauczycielem w szkole na Prostej, gromadził stopy książek w różnych szafach i schowkach szkolnych już bez kontroli i utarczek domowych. Gdy zbiory te rozpanoszyły się w szkole, właściciel miał z tego powodu scysję z dyrektorem, a skoro po śmierci dyrektora następcy podejmowali walkę z Wol-

skim, radził im nie wszczynać tej sprawy, gdyż poprzedni dyrektor zaraz umarł, gdy zażądał usunięcia książek.

Wolskiego wszyscy lubili za jego humor, opowiadania i niezwykłą uczciwość. Dość było go poprosić o pożyczenie jakiej książki; jeżeli nie mógł jej u siebie znaleźć, co rzeczywiście było trudno, nabywał ją albo wypożyczał od znajomych. Wypożyczyć Wolskiemu książkę znaczyło pożegnać się z nią na zawsze, nie dlatego, żeby chciał świadomie wcielić ją do swych zbiorów, lecz kładł ją wśród swoich skarbów, przykrywał nowymi nabytkami, a w końcu wędrowało to wszystko na strych, do pak lub głębokich szaf szkolnych.

Wolski miał hojną rękę i sprawiało mu wielką przyjemność, gdy mógł obdarzać znajomych cennymi nieraz okazami. Dla mnie np. wydobywał różne *Mickiewicziana* i wręczał mi ze słowami: „Idź złoto do złota“. Co Wolski zbierał? Chyba wszystko w zakresie drukowanego w Polsce słowa. Szczególną predylekcję miał do *Sarbiewianów*, *Krasinscianów*, druków Grölla, powieści ludowych, elementarzy, starych opraw, zwłaszcza z superekslibrysami, dzieł etnograficznych, klasyków polskich. Zbierał autografy, rękopisy, ryciny, pisanki, wycinanki, garnki i wiele innych rzeczy. Ideałem jego, jak często powtarzał, było nabyć dużą kamienicę, usunąć wszystkich lokatorów i zapłacić wszystkie pokoje książkami i innymi zbiorami.

Popularny i lubiany nauczyciel kilku pokoleń, otrzymywał do zbiorów wiele podarunków. Niczym nie gardził. Nie znosił darcia i niszczenia makulatury, co również utrudniało mu utrzymanie porządku w zbiorach. Uczniowie lubili Wolskiego, choć — prawdę mówiąc — nie miał daru pedagogicznego. Rozwieszony, skłonny do gadulstwa, niesystematyczny, odbiegający od tematu, nie mógł dać uczniom elementarnych, gruntownych wiadomości. Ćwiczeń z zasady nie poprawiał. Uczniowie jego na początku roku pisali klasówkę i nie poprawione kajety szły do zbiorów profesora jako autografy przyszłych sławnych ludzi. Budził natomiast Wolski różne zamięłowania wśród uczniów, najmniej jednak do polonistyki. Miałem w ręku kilka prac, w których autorowie dziękują mu w przedmowach za rozbudzenie w nich zamięłowania do studiowania przyrody.

Budził też w epoce rusyfikacyjnej patriotyzm. Odwagi miał dosyć. W gimnazjum realnym gorliwy inspektor interesował się lekcjami języka polskiego, podsłuchując pode drzwiami, w jakim ję-



zyku prowadzi nauczyciel lekcje. Zrobił on uwagę Wolskiemu, czy aby uczniowie słyszą dobrze jego wyjaśnienia. Wolski krótko na to odpowiedział: „Słuszajus” (rozkaz), otworzył na następnej lekcji na rozcież drzwi i takim głosem (a miał głos nie lada) zaczął prowadzić wykład po polsku, że z sąsiednich klas wybiegli nauczyciele i zapytali, co znaczą te hałasy. „Po prikazaniu naczałstwa” (z rozkazu władzy) — rzekł Wolski i grzmiał w dalszym ciągu. Kazano mu zamknąć drzwi i na tym zakończyła się sprawa.

W szkole handlowej, gdzieśmy kolegowali od r. 1906, stosunki były zgoła inne. Wprawdzie zacny dyrektor Cwietkowskij, znakomity pedagog, Rosjanin, którego Rada Opiekuńcza szkoły pozostawiła na tym samym stanowisku i po spolszczeniu szkoły, biadał nad niesystematycznością Wolskiego i nad jego opieszałością w prowadzeniu ćwiczeń. Kilkakrotnie obaj się popłakali, ucałowali serdecznie, Wolski przyrzekał poprawę i na tym się kończyło. Często też dyrektor, przysłuchując się w pokoju nauczycielskim pieprznym opowiadaniom bibliofila, mawiał z rosyjska: „Boję się, co ten Wolski nie opowiada tego uczniom na lekcjach”.

Z młodzieżą Wolski dawał sobie zupełnie radę umiejąc stosować należyte sposoby przeciw wybrykom. Raz jakiś dryblas nowoprzyjęty zapytał go w klasie o znaczenie nieprzyzwoitego wyrazu. Wolski spojrział na niego groźnie, zapytał, ile ma lat, i oświadczył, że z takim durniem, który już jest prawie dorosły, a nie rozumie takiego słowa, nie będzie rozmawiał. Speszony żartowniś jak niepyszny usiadł i naraził się na drwiny kolegów.

O popularności naszego bibliofila można by wiele powiedzieć. Około roku 1906 grono osób urządziło w Filharmonii poranek artystyczny na jakiś cel filantropijny. Między innymi występować miała głośna swego czasu aktorka, popisująca się w kabarecie pornograficznymi piosenkami (*O Jadwidze i rydzu, Druciarz* itp.). Otóż gdy zjawiała się na estradzie, niektórzy z publiczności zaczęli protestować przeciw śpiewaczce, wychodząc z założenia, że poważny cel i inne numery programu absolutnie nie licują z podkasaną muzą. Wśród tych protestantów znalazł się Wolski i choć sam lubował się w soczystych tematach, zaczął wraz z innymi z coraz większym zapalem i pasją krzyczeć: „Precz, precz”. Zjawiała się w końcu policja, ale choć coraz wyższe szarże podchodziły do profesora, nikt nie śmiał użyć ostrzejszych środków, gdyż byli to dawni jego uczniowie. W końcu udobruchał się jakoś, ale aktorka kupletów nie śpiewała.

W związku z popularnością bibliofila przytoczę choć jedno jeszcze arcyzabawne zdarzenie. Spotkał się Wolski na Krakowskim Przedmieściu z Lucjanem Rydlem i obaj znani z gadulstwa czas dłuższy odbywali spacer. Co chwila ktoś z licznych znajomych kłaniał się Wolskiemu. Po pewnym czasie Rydel oświadcza: „Doprawdy nie sądziłem, że moja osoba jest tak popularna w Warszawie“.

O różnych kawałach i epizodach z publicznych występów kochanego komilitona można by pisać na wołowej skórze, zwłaszcza „dobrym towarzyszom gwoli“. Odbywa się np. pierwsze posiedzenie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Na sali pełno osób: biskupi w towarzystwie wyższego kleru, arystokracja, świat uczonych, wiele pań. Mowy poważne, pełne dostojęstwa. Nagle zapisany do głosu Wolski stentorowym głosem zaczyna mowę: „Przed wszystkim należałoby zwrócić na to uwagę, aby księża nie ucierali sobie zadków kartami z inkunabułów i cennych rękopisów...“. T. Korzon, przewodniczący na tym zebraniu, natychmiast przerywa: „Panie Zygmuncie, niech pan nie zapomina, że tu są panie“. — „A cóż to, czy panie zadków nie mają?“ — brzmiała odpowiedź. Przewodniczący bezradnie opuszcza ręce, a mówca grzmi dalej przeciw różnym bezecenstwom ludzi niszczących zabytki.

A wspaniała scena podczas jubileuszu T. Korzona. Coraz inne delegacje składają hołd zasłużonemu historykowi w mowach namaszczonych, poważnych. Między innymi padają słowa: „My przedstawiciele Stowarzyszenia Nieruchomości m. Warszawy, składamy ci, dostojny jubilate, hołd i...“ Nagle jak grom rozlega się głos: „I kamienicę“. Dostojny jubilat groźnie potrząsa prawicą w stronę, skąd rozlega się znany mu dobrze głos, a tymczasem impetyczny i niepowściągliwy Wolski piorunuje przeciwko kamienicznikom, którzy wysysają krew i zdierają skórę z lokatorów.

W r. 1906 Polski Związek Nauczycielski urządził w Filharmonii wiec, na którym mówcy poruszali bolączki szkolne i oświatowe. W drugiej części wiecu, gdzie były wolne wnioski, wstąpił na mównicę Wolski i z pasją wygłosił protest przeciw księgarzom za to, że przeliczają obcą walutę na szkodę dla kupujących, że liczą sobie wysokie porto i komisowe etc. Pijawki, zdziery, tłumiciele oświaty itp. epitety sypały się z ust mówcy podniecającego się własnymi słowami i okrzykami tłumu: „Hańba!“. Spotykam na drugi czy trzeci dzień księgarza Hiża. Ten długo wylewał przede mną żale:

„Za co ten kochany pan Zygmunt znęcał się nad nami. Taki porządny, zacny człowiek. Czego chce? Przychodzi, bierze na kredyt książki, dajemy mu, nie płaci i jeszcze wykrzykuje, że zdieramy z niego skórę“.

Dowiedział się nasz zapalony bibliofil o istnieniu starej biblioteki na Bielanach. Wybrał się tedy z wizytą i uzyskał pozwolenie na oglądanie książek. Wprowadzony do składu książek, albowiem trudno było nazwać to biblioteką, zapytał przewodnika, czy można stąd coś kupić lub wypożyczyć. — „Broń, Boże! reguła zakonna nie pozwala. Jedyne można ukraść, jeżeli się uda“. — Wolski czas dłuższy napawał się starymi drukami, spośród których wiele opatrzonych było ekslibrysami Wydźgi. Oczy mu się iskrzyły do superekslibrysów oraz do różnych cymeliów, a w uszach brzmiały słowa przewodnika. Powtykał mniejsze formaty, gdzie mógł, pod garderobę, do kieszeni, a miał je, zwłaszcza w palcie, niezwykle pojemne; wreszcie z większego formatu książek związał pokazną paczkę i wyrzucił przez okno. Wreszcie zmęczony, a zresztą ściemniało się, opuścił przybytek obfitujący w tak smakowite dla bibliofila rzeczy i poszedł pożegnać się z zakonnikami. Dręczyła go obawa, czy kto nie zabierze wyrzuconej przez okno paczki. Gościnni zakonnicy proszą go na posiłek, ale Wolski, choć diabelnie głodny, skrępowany w ruchach, obawiający się o los paczki, wymawia się, pędzi z klasztoru i nareszcie oddycha spokojnie: paczka leży; wyprawa się udała.

Wyjechał Wolski na wycieczkę szkolną statkiem do Płocka. Po drodze wstąpił zwiedzić starożytny klasztor w Czerwińsku. Przeoglądając książki napotkał Wolski druk z superekslibrysem Bony. W różny sposób próbował zdobyć od księdza to *cymelium*. Ksiądz ani chciał słuchać o proponowanych korzystnych zamianach. Gdy wycieczka opuściła Czerwińsk i znalazła się z powrotem na statku, grono uczniaków ku zdumieniu profesora oświadczyło, że wyniesiono tę książkę dla niego. Cóż było robić? Względy wychowawcze ustąpiły pasji bibliofilskiej. Nacieszywszy się taką rzadkością, odesłał później *per nefas* zdobytą rzadkość do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Rodem z Podlasia Wolski wywodził swój ród od ostatniego władcy Jadźwingów, Kumata, zmarłego, jak żartobliwie mówił, bezpotomnie. Kto wie, czy z czasem w to nie uwierzył. Malarz Wawrzeńcki zrobił mu ekslibrys z widokiem pobojożyńskiego z głowami Jadźwingów wbitymi na oszczepy tkwiące w ziemi. Pomysł

i wykonanie, według mnie, niefortunne. Zwracał się nasz bibliofil do wielu znanych sobie malarzy, aby mu zrobili ekslibrys z wizerunkiem takiej, jak mówił, Maryny, która jak chwyci człowieka w objęcia, to wyciśnie z niego ducha. Gdy się im to nie udawało, nazywał ich eunuchami. Ekslibrys roboty Wawrzeńckiego na ten temat jest wprost szpetny. Mocny, jak to mówią, w gębie, lubujący się w pieprzonych słówkach i anegdotkach, był Wolski w życiu domowym przykładnym i wiernym mężem, czyli — według jego nomenklatury — „jadał chleb z jednego pieca“. Co zabawniejsza, był cichym i potulnym wobec żony.

Gdy podczas okupacji niemieckiej za czasów pierwszej wojny powołany został do życia uniwersytet polski w Warszawie, Wolski zapisał się jako student na literaturę i cieszył się jak dzieciak, że jest najstarszym wiekiem studentem w Polsce, że z tej racji zjawily się w gazetach jego wizerunki, że zdobył wśród młodocianych kolegów, a szczególnie koleżanek popularność i sympatię. Istotnie, pożyczał młodzieży teksty autorów i opracowania, przynosił na wykłady pierwsze wydania oraz cenne i rzadkie rzeczy. Nie wszystkie pożyczone okazy wracały do Wolskiego lub tych, od których dla kolegów je wypożyczał. I ja wskutek tej uczynności Wolskiego pożegnałem się z kilku dziełami; na szczęście mogłem je ponownie nabyć w antykwarniach. Przy spotkaniu z prof. Bronisławem Gubrynowiczem zapytałem go, jak się sprawa najstarszy jego słuchacz. Zacny profesor, lubiący celebrować, skrzywił się i orzekł, że Wolski niepotrzebnie chodzi na wykłady, gdyż umie więcej, niż podaje się studentom, a co ważniejsze: wprowadza na wykładach zbyt wesoły nastrój przysiadając się do studentek i rozśmieszając je szepcącymi do ucha facecjami.

Kłopoty finansowe, śmierć zięcia i żony bardzo silnie podziały na pełnego życia i humoru bibliofila. Zmuszony został do opuszczenia mieszkania i oczyszczenia strychu, gdzie spoczywały nagromadzone w ciągu wielu lat zbiory. Wówczas Wolski przekazał swoje skarby Towarzystwu Biblioteki Publicznej w Warszawie. Sądzę, że konieczność rozstania się z dorobkiem długiego życia wpłynęła również ujemnie na jego psychikę. Zmiana zajęcia (został inspektorem szkół powszechnych w powiecie rawskim) chwilowo ożywiła Wolskiego. Wkrótce jednak depresja psychiczna uniemożliwiła mu wykonywanie tej czynności, otrzymał emeryturę, osiadł w Warszawie, odosobnił się i coraz więcej dał się zauważyć w nim brak woli i zanik pamięci.



Zygmunt Wolski



W ostatnich miesiącach życia tej oryginalnej postaci i zacności człowieka zauważyłem, że różni „miłośnicy książek“, zwłaszcza cudzych, korzystają ze stanu gospodarza, wypożyczają czy biorą na pamiętkę rzeczy z nagromadzonej na nowo biblioteki. Z wielką przykrością dla siebie przestałem odwiedzać towarzysza wspólnych zamiłowań, największego pasjonata-bibliofila, gdyż chciałem uniknąć podejrzeń. Po śmierci Wolskiego córka sprzedała bardzo tanio pozostałości zbioru. Z rozmowy z synem przekonałem się, że miałem rację co do znikania wartościowych rzeczy: pięknych opraw, ekslibrysów, *eroticów* itd.

W starszym wieku, w okresie nawrotu do energii i humoru, Wolski stylizował się, jak mówił, na Reja w sposobie mówienia i wyglądzie zewnętrznym. Nosił długie włosy i brodę, chodził z laską przypominającą maczugę.

Józefa Drège'a poznałem w antykwarni na Świętokrzyskiej. Stosunki nasze zacieśniały się coraz więcej, zaczęliśmy bywać u siebie i wkrótce między nami nastąpiła zażyłość i przyjaźń. Nie wchodziliśmy sobie w drogę; przeciwnie, pomagaliśmy sobie z powodzeniem. Drège był człowiekiem kulturalnym, miłym w obcowaniu, życzliwym, wykształconym i obytym w towarzystwie. Pomógł z wykształcenia, studia uzupełniał w Paryżu, gdzie obracał się wśród rewolucyjnych kół naszych i francuskich. W czasie naszego poznania pracował w firmie ogrodniczej G. Ulricha jako naukowy doradca, wydając świetnie opracowane katalogi drzew i nasion. Od dawna z ogromnym zapałem, sumiennością i wytrwałością gromadził Drège materiały do historii ogrodów i ogrodnictwa w Polsce oraz do bibliografii tego przedmiotu jego uniłowań. Potrzeby osobiste zredukował do minimum, odmawiał sobie wszelkich przyjemności życiowych, aby nabywać kosztowne nieraz dzieła w obranym zakresie.

Był to zbieracz i bibliofil w stylu największym z tych, których w życiu spotkałem. Zdołał zebrać jedyną w Polsce kolekcję, w której od drukowanych zielników polskich 16-go wieku poprzez dzieła następnych wieków, całkowicie poświęconych wspomnianym zagadnieniom, były utwory ubocznie traktujące owe tematy, aż do ulotek, wierszy, beletrystyki. Wskazywałem mu często wzmianki o ogrodach w powieściach, zbiorach poezji oraz wtajemniczony dokładnie w jego poszukiwania, wyszukiwałem potrzebne mu rzeczy. On również pamiętał o moich upodobaniach. W ten sposób np. otrzymałem arcyrzadką powiastkę Białopiotrowiczowej „Hra-

bia Teodor, czyli Łazienki w Warszawie“, wytępioną, jak pisze Estreicher, z powodu skandalicznej niemoralności. Sprowadził ją Drège z jakiegoś katalogu zakordonowego, sądząc, że ta książeczka ma jakiś związek z Łazienkami. Zawiódł się, okazało się bowiem, że mowa tu była o kąpieliskach nad Wisłą.

Pochłonięty pracą zawodową, wątły fizycznie, zgasł przedwcześnie na suchoty. Do ostatnich chwil swego życia zajęty był troską o ukończenie pracy. Jak pojmował to zadanie, świadczy opracowany przez niego w *Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej* zarys historii ogrodów i ogrodnictwa w Polsce. Gruntownością odznaczała się historia zakładów Ulricha, napisana z racji stulecia firmy. Właśnie w związku z tą pracą zdobyłem serce kolekcjonisty i badacza. Przeglądałem w jakiejś antykwarni roczniki *Gazety* czy *Kuriera Warszawskiego* z pierwszych dziesiątków ubiegłego stulecia. W jednym z roczników natrafiłem na włożony jednokartkowy cennik nasion firmy Ulricha. Nabyłem za grosze tę ulotkę i wręczyłem mu przy pierwszej sposobności. Pamiętam niezwykle silne wrażenie, jakie odbiło się na twarzy zbieracza. Zdławionym ze wzruszenia głosem zapytał, co ma to kosztować. Było to na początku naszej znajomości. Odrzekłem, że będzie to dla mnie wielką przyjemnością, jeżeli zechce przyjąć ten drobiazg na pamiątkę zawarcia znajomości. Ten świstek Drège uważał za jedną z największych rzadkości i przekazał w podarunku jubileuszowym właścicielowi firmy. Wątpię, czy umiał on ocenić rzadkość cennika, a zwłaszcza wyrzeczenia się zbieracza.

Zbiory i rękopisy prac i notatek po śmierci bibliofila w myśl jego wskazówek i życzeń w porozumieniu z rodziną przekazałem bibliotece ord. Krasińskich pod warunkiem, że będą skatalogowane w bliskim terminie i stanowić będą osobną nierozdzieloną całość. Po upływie kilkunastu lat, podczas pobytu mego w bibliotece nowy dyrektor jakoś w rozmowie ze mną wyraził pogląd, że poprzednicy jego zgoła niepotrzebnie przyjęli legat Drège'a. Powiedziałem, że to mnie biblioteka zawdzięcza „zaśmiecenie“ zbiorów ordynacji tą darowizną, ale poprzednicy trochę inaczej patrzyli na tę sprawę, gdy szukał odpowiedniego miejsca i stawiał warunki. Ordynacja w darze otrzymywała parotysięczną kolekcję, jedyną w Polsce, o wysokiej wartości naukowej i pieniężnej. Nawet historyk — dodałem — znajdzie w tych zbiorach szereg cennych i rzadkich dzieł ze swojej specjalności. Niestety, bibliotekarze dawnego typu, przeważnie naukowcy-historycy, uznawali głównie gro-





Józef Drège  
(1906)



madzenie dzieł ze swej specjalności, robiąc czasami laskawie wyjątek dla innych działów humanistyki.

Bliskie i długoletnie stosunki były między mną a Gabrielem Karaffa-Korbute, z którym kolegowałem w kilku szkołach prywatnych. Łączyły nas jako polonistów wspólne zamiłowania naukowe i żyłka kolekcjonerska. Często razem bywaliśmy na Świętokrzyskiej, w najlepszej zgodzie ustępując sobie pasujące do naszych zbiorów rzeczy. Korbut w zbieraniu książek ograniczał się do literatury polskiej i językoznawstwa. Pierwszą jego pracą naukową były *Wyrazy niemieckie w języku polskim*. Później zainteresowania jego poszły całkowicie w kierunku historii literatury. Zebraną bibliotekę za życia jeszcze przekazał Warszawskiemu Towarzystwu Naukowemu jako podstawę Instytutu Polonistycznego.

Pisał niewiele. Od lat najdawniejszych zbierał materiały do swej *Literatury*, która uwieńczyła trud ponad miarę i siły jednego człowieka. Postać p. Gabriela tkwi w mojej pamięci z ołówkiem czy piórem w ręku, robiącego notatki na karteluszkach, w kajecikach, w notesie. Widząc, o co chodzi, obawiałem się, czy z tego chaotycznego sposobu notowania złoży się kiedyś całość i nieraz delikatnie zwracałem uwagę, delikatnie, bo niestrudzony pracownik był arcydrażliwy i uparty. Praca nad tym dziełem często sprowadzała go do mojej biblioteki. Stąd zaczęły się liczne nasze pogawędki o bieżących wydawnictwach w zakresie historii literatury.

Po śmierci żony pozostał Korbut z dziesięcioletnim synem. Gdy wychodził z domu, zostawiał dzieciaka bez opieki. Nie chciał go posyłać do szkół rządowych ani do prywatnych ze względu na wykładowy język rosyjski. Zaproponowałem ojcu, że z chęcią mogę mu pomóc w tych trudnościach i syn jego Julek spędził w moim domu kilka lat. Wywieziony później z Warszawy na początku poprzedniej wojny, umarł w więzieniu w Moskwie.

Lata długie trwałoby zbieranie materiałów przez badacza. Ta nadludzka pracowitość, połączona z ukrytą pasją, wydała owoc w postaci niezbędnego dla polonistów *vademecum*. Autor stale zbierał uzupełnienia, wnosił poprawki, uwzględniał wskazówki recenzentów i znajomych i wkrótce ukazało się drugie, znacznie rozszerzone wydanie, a po nim *Dopełniacz I*. Pomimo zawikłanego nieco układu, wątpliwości co do teoretycznego stanowiska autora, dzieło to, owoc szalonej pracy, pozostanie na długo niezbędnym i jedynym informatorem oraz świadectwem, że w Polsce najlepiej udają się prace wykonane przez jednostki a nie przez zespoły (*Słownik*

Lindego, *Bibliografia Estreichera, Słownik gwar Karłowicza, Słownik etymologiczny Brücknera* etc.). Ostatnie lata sumiennego i zasłużonego pracownika obfitowały w szereg cierpień: o stracie syna Julka pisałem; syn dorosły z drugiego małżeństwa zginął tragicznie; sam nacierpiał się przy końcu życia, złożony ciężką i bolesną chorobą.

Jestem jednym z niewielu, którym udało się kilkakrotnie nawiązać osobisty kontakt z pierwszym chyba naszym poetą-urbanistą, Wiktorem Gomulickim, niepoślednim bibliofilem i kolekcjonerem. A nie była to rzecz łatwa, Gomulicki słynął z osobliwych nieco obyczajów życia. Nie opuszczał prawie mieszkania i wszelkie sprawy z ludźmi załatwiał listownie. Do mieszkania jego wstęp zgola nie był łatwy. Opowiadał mi Wolski, że zaprosił go poeta do siebie na pewną godzinę. Gdy przybył punktualnie, co mu się rzadko zdarzało, usłyszał przez drzwi głos gospodarza, że Gomulickiego w domu nie ma.

W bardzo ciekawych wspomnieniach Walerego Przyborowskiego (*Stara i młoda prasa*), sumiennie przemilczanych przez osmarowanych tam literatów, pomieszczona jest wiadomość, jak to Gomulicki wychodził na miasto jedynie wieczorem i z tego powodu naraził się na aresztowanie pod zarzutem zabójstwa. Podziwiać należy, jak w takich warunkach potrafił bibliofil nagromadzić tyle cennych starych druków, sztychów, rękopisów, *Varsovia-nów* i innych pamiątek. Dużą pomocą byli tu wędrowni antykwariusze, którzy mieli łatwiejszy dostęp do samotnika niż inni śmiertelnicy.

Byłem widocznie znanym już zbieraczem, kiedy otrzymałem uprzejmie zredagowane przez Gomulickiego zaproszenie do siebie w celu nawiązania osobistej znajomości. Skwapliwie skorzystałem z tego wyróżnienia i udałem się na Mariensztadt, gdzie długie lata mieszkał odludek-poeta. Zostałem przyjęty bardzo mile i spędziłem podczas tej pierwszej wizyty czas dłuższy na interesującej pogawędce bibliofilskiej.

Gospodarz pokazywał mi szereg ciekawych okazów, często wychodząc po nie do sąsiedniego pokoju, skąd dolatywało kwilenie niemowlęcia. Aczkolwiek pochłonięty byłem niezmiernie ciekawą rozmową i oglądaniem białych kruków, intrygował mię ów płacz dzieciny, zwłaszcza wobec nie pierwszej już młodości bibliofila. Po latach skombinowałem, że podczas tej pierwszej wizyty u ojca poznałem jedynie z głosu synka Juliusza, znanego obecnie bibliofila

i literata, który podtrzymuje tradycję rodową w stosunku do mojej osoby i ku wielkiemu memu zadowoleniu jest częstym moim gościem i życzliwym dla mnie człowiekiem. Dowiedziałem się później, że Gomulicki godnie reprezentował chodzące w parze cechy bibliofila i babofila; trzeciej cechy bibofila, spotykanej dość często u mistrzów naszego cechu, o ile wiem, poeta nasz nie posiadał.

Oglądając różne okazy zapytałem gospodarza, czy w bogatych jego zbiorach nie ma czasem *Pień wiejskich* W. Reklewskiego. Interesowałem się wtedy poetami-legionistami i nie mogłem nawet w dużych bibliotekach natrafić na egzemplarz tego zbioru poezji. Gomulicki jakoś nie odpowiedział. Atoli gdy żegnałem się, wyjął z kieszeni pięknie zachowane *Pienia* i prosił o przyjęcie ich na pamiątkę pierwszej wizyty.

Stosunki nasze trwały do śmierci poety-bibliofila, przeważnie jednak polegały na korespondencji. Gomulicki proponował, aby wciągnąć do niej innych miłośników książki i w ten sposób mogłaby powstać ciekawa książka. Bywałem kilkakrotnie w jego mieszkaniu i wspomnienia z rozmów na tematy bibliofilskie zaliczam do bardzo miłych. Nie nadużywałem jednak wizyt, poprzestawiałem na zaproszeniach w ściśle określonym terminie i jakoś nigdy nie spotkał mnie przypadek Wolskiego. Do zażyłości między nami dojść było trudno i z racji przyzwyczajęń odludka, i różnicy wieku.

Gomulicki żyjąc z pióra często bywał w kłopotach finansowych i musiał nieraz rozstawać się z niektórymi działami swoich zbiorów. Szczególnie konieczność ta, która dużo musiała kosztować właściciela, nastąpiła w ostatnich latach jego życia, gdy różne niedomagania i choroby uniemożliwiały pracę literacką. Po śmierci poety rodzina sprzedała zbiór jego książek do antykwarni „Światło”. Rękopisy nabyło Ossolineum. Wiele starych druków, głównie wieku 17-go, dostało się do moich zbiorów. Książki opatrywał Gomulicki małą pieczęcią, a na okładkach robił notatki o ich wartości i rzadkości.

Poznanie moje z Józefem Weyssenhoffem odbyło się przy wielce zabawnych akcesoriach. Zaprowadził mnie do niego przyjaciel mój, Drège. Mieszkał wówczas Weyssenhoff przy ul. Rysiej w jakimś pensjonacie. Mając zamiar zwinąć mieszkanie i wyjechać za granicę, pakował zbiory i wysortowywał książki pomniejszej dla niego wartości. Były to przeważnie druki 18-go wieku. Przyszedłem z Drège'em za zgodą właściciela, aby nabyć coś dla siebie. Gdy zacząłem przeglądać wysortowane rzeczy, dał się sły-

szeć dzwonek i wkrótce do pokoju wkroczył jegomość starozakonny z komornikiem. Wytworzyła się sytuacja nieco kłopotliwa. Aliści w krótkich odstępach czasu dzwonki się powtarzały i nowi wierzyciele z komornikami zaczęli wchodzić nieomal gęsiego. Przy którejś dalszej parze tego rodzaju gości skonfundowany początkowo gospodarz i my nieco stropieni, spojrzawszy na siebie, parsknęliśmy śmiechem. Przy podobnej asyście trudno było rozmawiać i przeglądać książki, które zresztą wszystkie uległy zajęciu. Na szczęście Weysenhoff wyprocesował sobie bibliotekę jako warsztat pracy niezbędną dla literata.

Wkrótce Weysenhoff wyjechał do Berlina, gdzie spędził parę lat, zabrawszy ze sobą bibliotekę. Z tego czasu i miejsca pochodzą oprawy naśladowujące wiek 18-y oraz teki i pudła na broszury księgozbioru Weysenhoffa. Po paru latach Weysenhoff wraca do Warszawy, całkowicie poświęca się powieściopisarstwu. Najlepiej, jak mi mówił, odpoczywał przeglądając stare druki i katalogując zbiory. Był to *grand seigneur* o szerokim geście, różnorodnych upodobaniach i silnych namiętnościach. W czasach studenckich zdobył sobie sławę hulaki i nie zadawał się z byle kim ze studentów. Otrzymałszy po stryju w spadku piękny majątek i ożeniwszy się bardzo bogato, mógł z łatwością dogadzać swoim szlachebnym i mniej szlachebnym namiętnościom. Był to kolekcjoner w wielkim stylu. Kultura umysłowa oraz smak wrodzony i kształcony zaznaczyły się w jego zbieraniu, a majątek ułatwiał nabywanie.

Zebrał piękną kolekcję monet, medali, sztychów i książek. Dział książkowy składał się z numizmatyki, heraldyki, militariów (po generale Weysenhoffie), sztuki, wydań autorów francuskich z 18-go wieku oraz z najbogatszego w Polsce zbioru druków z epoki Stanisława Augusta (czasopisma, kalendarzyki polityczne, literatura polityczna i piękna i mnóstwo ulotek). Nabywał Weysenhoff partiami i miał dostawców w kraju i za granicą. Od antykwariusza Gieysztoro np. nabył parutysięczny zbiór broszur z w. 18-go. Rzeczy te, jak to niestety bywa w Polsce, były nieoprawne i zachowania nieszczęśliwego. Mówił mi Weysenhoff, że z zakupionego zbioru bardzo wiele druków zamienił na egzemplarze lepsze.

Pasja bibliofilska i kolekcjonerska nie wystarczała. Babofilstwo a najwięcej karty nadwerężyły okazały majątek. Zaczęły się lichwiarskie pożyczki. Piękne zbiory monet, medali, sztychów, militariów, książki drogie i poszukiwane w świat poszły. Została uszczuplona, ale doborowa biblioteka. Wielki pan stał się demokra-

tyczniejszym w nawiązywaniu nowych stosunków towarzyskich. Powieściopisarstwo stało się jedynym środkiem do życia. Stosunki z przedstawicielami arystokratycznych rodów i z członkami Klubu Myśliwskiego, gdzie właśnie przegrał w karty krocie, ustąpiły miejsca znajomościom z literatami i bibliofilami.

W tym oto okresie po powrocie jego z Berlina nastąpiła moja z nim znajomość i częste gawędy bibliofilskie. Przyzwyczajenie do szerokiej stopy życiowej, a zwłaszcza babofilstwo zmuszało Weysenhoffa do pozbywania się książek w dalszym ciągu. Stwierdzić muszę, że kosztowało go to wiele i przychodziło z trudnością, z czego skorzystały moje zbiory. Zaproponował mi pewnego razu nabycie literatury pięknej w. XVIII-go oraz czasopism i ulotek z początku 19-go. Chętnie zgodziłem się na podaną przez właściciela cenę. Po upływie paru miesięcy nowa propozycja: cały zbiór w. 18-go z wyłączeniem kalendarzyków politycznych i utworów najwybitniejszych publicystów.

Była to kolekcja bardzo duża i nie na moje możliwości finansowe z nauczycielskiej pracy. Miałem niezły już zbiór tych rzeczy, szczególnie publicystów pierwszorzędnych. Mogłem też liczyć na sprzedaż dubletów, których byłaby spora ilość po nabyciu całego zbioru. Zaproponowałem, że gotów jestem zbiór nabyć, ale na raty w trzech odstępach dwumiesięcznych. Weysenhoff się zgodził i zaczęliśmy ocenę. Właściciel zaproponował podział książek na kilka kategorii podług wartości sprzedażnej. Już podczas tego rozdziału spostrzegłem, że nie zna się dobrze na rzadkości druków. Nie targując się wcale, aprobowane podział i ceny jednostek w każdym dziale ku wielkiemu, jak zauważyłem, zdziwieniu właściciela. Widocznie nabywcy poprzednich sprzedawanych rzeczy musieli się mocno targować. Policzywszy sumę ogólną, spisaliśmy umowę i poszliśmy z hotelu Polskiego na Długiej na kolację do Rzymskiego.

Dzięki ratom i dubletom, które korzystnie sprzedałem, biblioteka moja wzbogaciła się o pierwszorzędny, może największy w Polsce zbiór druków epoki Stanisławowskiej, zwłaszcza że przedtem miałem dużo tych rzeczy oraz stale później zbiór powiększałem. Po sprzedaży najmilszej sercu kolekcji pozostawały bibliofilowi kalendarzyki polityczne, ale zdobywanie nowych tego rodzaju okazów było trudne przy dużej ilości posiadanych. Widocznie przyzwyczajony do kolekcjonowania, przeszedł na marki pocztowe i z właściwą sobie pasją zbierał je, segregował i bawił się nimi. Do końca życia

nie rozstawał się ze zbiorem kalendarzyków i dzieł wybitnych pisarzy politycznych w. 18-go. Po jego śmierci zbiór kalendarzyków otrzymała biblioteka Uniwersytetu Wileńskiego; resztę rozprzedano.

Namiętnym zbieraczem kalendarzyków politycznych 18 i 19-go wieku był dr Wacław Męczkowski. Zbierał on prócz tego materiały do historii szpitalnictwa w Polsce. Należał do postępowych kół warszawskich. Spotykaliśmy się na owych posiedzeniach i oczywiście w antykwariach. Był to jeden z sympatyczniejszych bibliofilów. Po jego śmierci żona ofiarowała cenną kolekcję kalendarzyków Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Powinowałym dr Męczkowskiego był Artur Oppman (Or-Ot), znany poeta Warszawy. Ruchliwa to była i popularna postać na terenie naszego miasta. Or-Ot ciągle coś kolekcjonował, ale widocznie nie przywiązywał się do zgromadzonych rzeczy i wyprzedawał je, aby wkrótce zacząć zbierać coś innego. W naturze jego tkwiła widocznie żyłka kupiecka i stąd te ciągle wymiany, kupna, sprzedaże. Po całych dniach jeździł dorożkami z miejsca na miejsce, odwiedzał antykwariuszów i zawsze miał do prehandlowania to obraz, to ciekawą książkę, to jakąś pamiątkę wojskową. A jak wspaniale umiał zachwalać swoją rzecz, deprecjonować własność czyjąś! Przysięgał się na wszystkie świętości właśnie wtedy, gdy lgał jak z nut. Trudno było jednak gniewać się na tego starego szalapatę. Wszystkich rozbrajał pewnego rodzaju papkinadą. Bibliofilstwo łączyć potrafił z habofilstwem, a nie stronił — zdaje się — i od bibofilstwa. Piewca starej Warszawy i dawnych typów warszawskich miał kamienicę na Kanonii i zamierzał utworzyć tam muzeum pamiątek związanych z naszym miastem. Niestety, i gromadzone pamiątki rozeszły się po ludziach, i kamienica została sprzedana.

Z Ludwikiem i Władysławem Korotyńskimi poznałem się za pośrednictwem Z. Wolskiego. Zaci ci ludzie, wprzagnięci w mało wydajną na owe czasy dziennikarską orkę, borykali się wiecznie z kłopotami finansowymi i rozprasiali gruntowną wiedzę na pracę dziennikarską i korektorską. Jak wielu dawnych literatów, w tym uciążliwym życiu szukali chwilowej podniety czy zapomnienia w alkoholu. Przejsć to mogło z łatwością w nałóg tym niebezpieczniejszy, że uprawiany na ponuro. Obaj Korotyńscy podzielili między sobą zbiory książkowe i rękopiśmienne po ojcu Wincentym, poecie i dziennikarzu, wielbicielu Syrokomli, którego imiona chrzestne otrzymali na jego pamiątkę.



Te zbiory powiększali stale, zwłaszcza Władysław, którego kolekcja *Varsovianów* była bardzo cenna. Pozostałości tych zbiorów, a w szczególności *Varsoviana*, przeszły na własność trzeciego brata, Brunona, i szczęśliwie wywiezione zostały po powstaniu z płonącego domu. Stosunki moje ze starszym znacznie Ludwikiem były krótkie, natomiast dłuższe i bliższe łączyły mnie — z Władysławem, którego nadzwyczaj lubilem, cenilem i serdecznie współczulem jego tragedii życiowej.

Hr. Juliusz Ostrowski poza heraldyką zbierał stare druki, szczególnie treści religijnej. Często widziałem, jak walczyły w nim: pasja bibliofilska ze zmysłem oszczędności. Zwyciężało bibliofilstwo. Specjalnie pociągały go druki antysemitki. Skwapliwie nabył ode mnie wszystkie *Iudaica* w. 18-go, których miałem sporo w dubletach po nabyciu biblioteki Weyssenhoffa. Ostrowski bardzo mnie polubił i zawsze pokazywał mi świeże nabytki. Pamiętam, przyniósł raz w polskim języku katechizm luterski z modlitwami z początku w. 17-go i z rozrzewnieniem mówił, jak to przyjemnie mieć książkę, z której się modlili nasi praojcowie. Nie chciałem gorliwemu katolikowi robić przykrości i nie wywodziłem go z błędu. Kilkakrotnie mówił, że miałby wielką ochotę, abym uczył prywatnie literatury polskiej jednego z jego synów, ale obawia się mego wpływu: miałem opinię czerwonego radykała. Projekt nie doszedł do skutku.

Bibliofilem znającym się na rzeczy był syn hr. Juliusza, benedyktyn. Wielka szkoda, że w tak młodym wieku umarł ten ujmujący i arcy miły towarzysz w zamiłowaniach bibliofilskich. Za każdym pobycem w Warszawie ku wielkiemu memu zadowoleniu zachodził do mnie i korzystał z moich zbiorów dla swoich prac historycznych.

Spośród księgarzy starszego pokolenia jednego tylko znalazłem kolekcjonera. Był nim Maksymilian Borkowski, właściciel księgarni przy ul. Marszałkowskiej w pobliżu Żurawiej. Wydawał też szereg dzieł, z których kilkanaście wydań miała popularna *Historia Polski* Chociszewskiego. Borkowski zbierał ekslibrysy oraz wszelkie materiały do historii księgarstwa w Polsce, mając zamiar opracować to zagadnienie. Aby go kto nie ubiegł, otaczał tajemnicą to kolekcjonowanie, chociaż wiele ekslibrysów otrzymał w podarunku od tych, którzy wiedzieli, że je zbiera.

Często spotykałem po różnych antykwarniach Bolesława Hillera, którego tytułowano inżynierem. Chodził tam raczej

z przyzwyczajenia niż z potrzeby, gdyż prawie nic nie kupował, a targował się zajadle z antykwariuszami. Z biegiem czasu przycisnęła go bieda, zaczął sprzedawać książki zbieraczom, zmieniał mieszkanie na coraz szczuplejsze, w końcu oddał bibliotekę na przechowanie do kantoru przewozowego. Po śmierci ojca córka sprzedała pozostały zbiór, przeważnie składający się z teatraliów, antykwariuszowi Przeworskiemu. Bliższych szczegółów o życiu i losach tego bibliofila pomimo podejmowanych swego czasu starań, nie mogłem zdobyć. Niewątpliwie był miłośnikiem książek i zbiór jego posiadał wiele ciekawych rzeczy z zakresu bibliografii, historii miast. Prócz tego miał on największy zbiór utworów dramatycznych, jaki oglądałem w życiu.

Inżynierem tytułowano Wiktora Wittyga, który był przedsiębiorcą przy robotach regulacyjnych na Wiśle i na tym dobrze zarabiał. Przy tym zajęciu z konieczności wyrobił w sobie umiejętność ugaszczania ludzi, lubił życie towarzyskie i raczej od bibofilstwa przeszedł do bibliofilstwa. Zamiłowania kolekcjonerskie niewątpliwie posiadał. Zbierał pieczęcie, numizmaty, heraldykę, *Varsoviana*, ekslibrysy i inne rzeczy. Wydał kilka dzieł z zakresu numizmatyki i heraldyki oraz pierwszą obszerniejszą rzecz o ekslibryсах polskich. Mówiono, że korzystał z wybitnej pomocy fachowców, co zupełnie dla mnie było wiarogodne ze względu na jego samouctwo i fatalną polszczyznę, jaką się posługiwał w życiu potocznym. Zbiory tego bibliofila rozproszyły się po świecie. *Varsoviana* i dzieła numizmatyczne nabyła „Antykwarnia Warszawska“, resztę zbiorów sprzedawano po jego śmierci na licytacji w domu sztuki przy ul. Chmielnej.

Nadzwyczaj miłym i sympatycznym zbieraczem był Kazimierz Stefański, ostatnio kustosz działu numizmatycznego w Muzeum Narodowym w Warszawie. Należał do przedstawicieli tego dawnego pokolenia, co to ujmowali miłym obejściem, grzecznością, uczynnością i kulturą towarzyską. Poza numizmatyką Stefański interesował się historią rodzinnego miasta Kalisza i w ciągu długiego życia zdołał zebrać ładną kolekcję drucków kaliskich i różnych *Calissianów*. Stosunki moje z tym konsekwentnym w zbieraniu bibliofilem trwały do jego śmierci, która nastąpiła w ostatnich latach okupacji niemieckiej. Mile zawsze wspominał o długiej naszej znajomości. Napisał kilka prac z dziejów Kalisza stylem żywym, o dużym narratorskim zacięciu.

Z Ignacym Chrzanowskim, nauczycielem wówczas w szkołach prywatnych, spotykałem się na zebraniach koleżeńskich, a częściej jeszcze w czasie wycieczek na Świętokrzyską, którym zwykle towarzyszył Korbut. Odznaczał się p. Ignacy niezwykłym humorem, wielką uprzejmością oraz skłonnością do wesołych kawałów. Niestety, rozluźniły się nasze stosunki z powodu wyjazdu jego do Krakowa na katedrę literatury polskiej. Chrzanowski posiadał doborową bibliotekę fachową, ale nie miał żylki kolekcjonerskiej.

W bardzo dobrych stosunkach byłem z prof. Samuelem Dicksteinem i Adamem Antonim Kryńskim. Pierwszy długoletni redaktor i wydawca *Wiadomości Matematycznych* zebrał wspaniałą i jedyną w Polsce kolekcję czasopiśmiennictwa matematycznego w językach obcych oraz podstawowych prac z tej dziedziny. Prócz tego w bibliotece profesora był chyba komplet dorobku matematycznego w języku polskim. Sędziwy wiekiem a młody zapalem uczony miał w końcu wielki kłopot ze swoim zbiorem. Chciał go przekazać jakiej większej bibliotece, ale nie kwapiono się jakoś z przyjęciem. Uskarżał się kilka razy przede mną i rozżalony groził, że obleje benzyną i spali zbiór, jeżeli nikomu nie jest potrzebny. W końcu legat znalazł pomieszczenie.

A. A. Kryński, znany pracownik naukowy w dziedzinie języka polskiego, odznaczał się ujmującą prostotą w obęjściu z ludźmi. Spokojny, zrównoważony, w razie potrzeby występował śmiało i umiał wzbudzić uszanowanie dla siebie władz rosyjskich jako nauczyciel gimnazjalny. Znakomity ten polonista został pozbawiony możliwości nauczania języka ojczystego i kazano mu uczyć języka francuskiego. Całe życie zbierał dzieła autorów polskich, szczególnie dawnych, i prace z zakresu językoznawstwa polskiego. Przed poprzednią wojną zamieszkał pod Warszawą i tam duża jego biblioteka bardzo ucierpiała, ponieważ zajęli się nią wyjątkowi i znani miłośnicy książek, jakimi są wszelkiego autoramentu żołdacy. Pozostały zbiór przekazany został Bibliotece Narodowej. Dożył profesor sędziwego wieku, zawsze zdrów i czerstwy. Zmarł wskutek wypadku tramwajowego.

Wysoce charakterystyczną postacią wśród świata zbieraczy był Michał Federowski, Kaszuba z pochodzenia. Zjawił się na gruncie warszawskim z Nowogródzczyzny i Słonimskiego, gdzie parął się gospodarką na roli, chodząc dzierżawami. Pozwoliło mu to zebrać olbrzymi materiał etnograficzny do Białorusi. Jeszcze przed

wyjazdem na ziemię wschodnie Federowski poznał się z Janem Karłowiczem i od niego przejął zwyczaj notowania na przygotowanych kartkach spostrzeżeń etnograficznych. Za życia ogłosił dwa tomy *Ludu białoruskiego*; tom trzeci wyszedł po jego śmierci. Pozostały materiał rękopiśmienny podobno miał starczyć na dziesięć tomów druku. Poza zbieraniem materiałów ludoznawczych Federowski szperał po różnych lamusach, strychach i innych schówkach dworów i dworków kresowych, wylawiając stamtąd książki, ryciny i różnego rodzaju pamiątki. Złośliwy Wiktor Gomulicki, lubiący osmarowywać znajomych, uwiecznił Federowskiego w powieści *Na rozłogach białoruskich* w postaci „Szyto-Kryto“, niezmiernie ruchliwego, wszędochyłskiego i stale robiącego notatki.

Osiadłszy w Warszawie, Federowski utrzymywał się z rozprzedaży zbiorów i pośrednictwa w nabywaniu różnych rzeczy dla klientów. Wśród nich pierwsze miejsce zajmował Wittke-Jeżewski i małżeństwo Tyszkiewiczów z Czerwonego Dworu. Federowski był dłuższy czas nie tylko dostarczycielem, ale i kierownikiem Jeżewskiego w budzeniu jego zamiłowań kolekcjonerskich. Tyszkiewiczowie zebrali piękną bibliotekę obfitującą w stare druki. O zasobach tej biblioteki można się przekonać choćby z Bibliografii Estreichera. Pokazywał mi Federowski list Tyszkiewiczowej do niego w związku z powstaniem „Antykwarni Warszawskiej“. Pisała, że nie podoba jej się osoba jednego ze współników, M., to jest moja, ze względu — sądzą — na to, że nie będzie można nabywać tam tanio rzadkich rzeczy.

Później i to raz w życiu zetknąłem się osobiście z tą parą małżeńską bibliofilów i mam to przekonanie, że to pani głównie holdowała tej szlachetnej pasji. Było to w „Antykwarni Warszawskiej“, gdy pokazywałem im arcyrzadkie druki 16-go wieku i małżonka usiłowała je deprecjonować. Podziwiałem przy tym, że przy mnie i o mnie rozmawiali po francusku i w naiwności swej przypuszczali, że nie znam tego języka. A może przyzwyczajeni przy służbie posiłkować się tym językiem, używali go wobec ludzi z innej sfery.

W Warszawie Federowski nabył zbiór rycin po antykwariuszu Bolcewiczu i książek po Bądkowskim. Trzeba zaznaczyć, że Federowski sprzedawał rzeczy po cenie umiarkowanej. Nie znał się dobrze ani na ich rzadkości, ani na wartości i można było u niego nabyć za grosze rysunki Norwida, rzadkie sztychy i książki. Za dużo poświęcał czasu i energii na drobiazgi: robił wycinki z gazet,

drukował w różnorodnych odmianach koloru druku i na różnych papierach ekslibrysy dla wszystkich członków swojej rodziny i dla znajomych, fabrykował nawet ekslibrysy z pieczętek i drukowanych napisów (np. „Possessorka tej książki Zofia Slizniowa“), opatrywał egzemplarze przypiskami o ich rzekomych właścicielach lub twórcach, stosownie do upodobań swoich klientów. Mnie pokazywał wizerunki ludzi rzekomo z czasów i otoczenia Mickiewicza i wysoce był zdziwiony, gdy zrobiłem mu uwagę, że wówczas kobiety nie chodziły w krynolinach. Jako *curiosum* nabyłem nuty do wiersza Mickiewicza, pochodzące z 1860 r., z notatką Federowskiego, że komponowała je Maryla w Tuhanowiczach. Wyobrażam sobie, ile takich naiwnych a fikcyjnych rzeczy jest w zbiorach po Jeżewskim.

Pomimo nader wielkiej układności, uprzejmości i serdecznego tonu w stosunku do ludzi, na ogół nie był lubiany Federowski. Wyczuwaliśmy w tym wszystkim brak szczerości i świadomą manierę. Z. Wolski nazwał go Jezuskim i pod tym mianem słynął wśród bliższego naszego grona. Zbiory swe, składające się z książek, notatek i materiałów etnograficznych, przekazał Federowski Wydziałowi Etnologii Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Opowiadał mi Demby, że przeglądał pozostałe po nim pamiętki, w których Jezusek na nikim suchej nitki nie pozostawił. Arcyzabawne w tych pamiętkach są nagle i nieoczekiwane przejścia. Po słowach zachwyty i uznania dla jakiej osoby następuje po kropce: „Obdarł mię, oszukał, okradł niegodziwiec“ etc. Sądząc z jego drukowanych wspomnień miał niezaprzeczoną talent literacki i styl o zacięciu sarmackim. W życiu domowym w późniejszym okresie warszawskim Federowski nie był szczęśliwy. Uskarżał się biedak na młodszą od siebie małżonkę, która go maltretowała i wypędzała z domu. Może tym, że przywykł w domu do uległości wobec impetycznej połowicy, nastroił się na ten ton w stosunku do wszystkich.

Wśród kolekcjonerów w latach poprzedzających wojnę europejską i w początkowym dziesiętku po wskrzeszeniu Polski szerokim gestem zasłynął wspomniany wyżej W. Jeżewski. Jak mi opowiadała jego powinowata, bogaty ziemianin po zawodzie miłosnym przeniósł się ze wsi na stały pobyt do Warszawy i tu sublimował niezaspokojone uczucie w pasji kolekcjonerskiej. Zamożność pozwalała mu nabywać całe zbiory. W Federowskim i antykwariuszach znalazł chętnych pośredników. Zbierał obrazy, szkice malarzy, sztychy, antyki. Najmniej interesowały go książki z wyjątkiem dzieł ilustrowanych i przeciętnego typu powieści. Nabył

u Widlera słynną kolekcję wizerunków królów polskich, zebraną przez Friedleina w Krakowie, kilka zbiorów ekslibrysów. Opis zbiorów oraz Jeżewskiego wyszedł spod pióra Federowskiego. Obfita i cenna kolekcja została w części podarowana, w części sprzedana Muzeum Narodowemu w Warszawie. Zadziwiająco dla mnie rzeczą było spostrzeżenie, że ten zbieracz nie odróżniał akwafort od miedziorytów i stalorytów. Nie wierzyłem prawie sobie, ale rozmowy z wielu osobami całkowicie potwierdziły słuszność moich spostrzeżeń.

Zenona Przesmyckiego nie spotykałem w antykwariach i księgarniach, gdzie zazwyczaj między bibliofilami zawierały się znajomości i następowało zbliżenie. Słynne zbiory redaktora *Chimery* powstały w czasie pobytu jego w Paryżu oraz przez bezpośrednie stosunki z właścicielami *Wronscianów* i *Norwidianów*. Znajomość między nami zaczęła się również z racji posiadanego przeze mnie autografu Norwida. Do ściślejszych i bliższych stosunków między nami nie doszło. Pozycja literacka, wiek i pewnego rodzaju wyniosłość zasłużonego reprezentanta Młodej Polski przedziwnie nie starzejącego się (Chronosem nazywał go w rozmowach ze mną Berent) nie szły w parze z pozycją nauczyciela-zbieracza. Ton namaszczonej, skłonności do grandilokwencji nie tylko w piśmie, ale i w mowie, nie licowały również z moimi upodobaniami. Ceniłiśmy się z daleka.

Poeta Antoni Lange nie był ani zbieraczem, ani bibliofilem w pospolitym znaczeniu tego słowa. Był natomiast wielkim miłośnikiem poezji różnych wieków i różnych narodów. Ten nienasycony głód piękna i szukanie różnorodnych form odtwarzania go w dziełach poetyckich kazały mu uczyć się coraz nowych języków, aby poznać utwory w oryginale. Zasilił on naszą literaturę pokaźną ilością tłumaczeń. Cygan z usposobienia, niezaradny życiowo, serdeczny pomimo pozornego zamykania się w sobie, zdzierał się w trudnych warunkach polskiego literata. Licho opłacany, żył z dnia na dzień, nie będąc nigdy pewny, czy się z czego utrzyma za parę dni.

Znajomość z Langem zawarłem dzięki mojej bibliotece, w której czasami można było znaleźć rzeczy, jakich nie było w dużych księgarniach warszawskich. Pamiętam jak Lange zdziwił się, gdy stwierdził, że posiadam komplet jego utworów poetyckich, a jeszcze więcej, że przewertowałem je i cenię. Widocznie to uznanie dla jego twórczości zbliżyło poetę do mnie. Często wpadał na po-

gawędkę i po książki. Muszę powiedzieć, że z lękiem wypożyczałem mu rzadsze druki i otwarcie zaklinałem go na wszystkie świętości, aby po drodze nie zostawił gdzie książki lub nie zaprzepaścił. Lange widocznie wziął do serca moje prośby i wracał pożyczone rzeczy. Zagubił wprawdzie kilka powieści, ale tego nie brałem do serca. Z rzadka poeta w wielkiej potrzebie zaciągał pieniężne pożyczki, ale nigdy nie prosił więcej niż o rubla. Serdecznie lubiłem tego klienta mojej biblioteki, jednego z wirtuozów wiersza polskiego, człowieka o gołębiej prostocie i dużej dobroci.

Poetę Władysława Nawrockiego często spotykałem i zaznajomiłem się z nim na Świętokrzyskiej, gdzie poszukiwał przekładów na język polski zachodnio-europejskich utworów poetyckich. Zbierał też w oryginale dzieła poetów angielskich, francuskich, hiszpańskich, niemieckich i włoskich oraz nowszych poetów polskich. Tłumaczeniami własnymi Nawrocki zasilal różne czasopisma, skąd warto by je wydobyć. Nie wiem, co się stało z bogatą i dobraną biblioteką poety po jego śmierci. Nie było jej w każdym razie w handlu antykwarskim.

Jan Kwietniewski, spokrewniony przez matkę, z domu Grabowską, z K. Tetmajerem i T. Żeleńskim (Boyem), samouk z wykształcenia, posiadał rozległe zainteresowania, co się zaznaczało w jego kolekcjonerstwie. Zbierał czasopisma, książki z różnych dziedzin wiedzy, rękopisy, ryciny, mapy, marki, etc. Doszedł do pokaźnego ilościowo zbioru, który obyczajem większości dawnych bibliofilów utrzymywał w nieładzie. Najcenniejszym działem zbioru były książki o Polsce w obcych językach. Gromadził je stale, wylawiając z zagranicznych katalogów antykwarskich. Po śmierci zbieracza zrab jego biblioteki dostał się do Biblioteki Narodowej, a między innymi w całości książki o Polsce i archiwum tuhanowickie, które zdobył w czasie pobytu w Nowogródkiem. Kwietniewski należał do wymierającego typu bibliofilów, którzy odmawiali sobie wszystkiego, obracając zarobki na powiększenie zbiorów. Anachoreta ten był jedną z sympatyczniejszych dla mnie postaci wśród zbieraczy warszawskich.

Jan Zawidzki, profesor politechniki, należał do konsekwentnych i rozumnych kolekcjonerów i pod tym względem przypominał mi Drège'a. Zbierał materiały do historii chemii w Polsce w najszerszym pojęciu: od podręczników zacząwszy do traktatów chemicznych, czasopism i drobnych wzmianek o nauczaniu tego przedmiotu w szkołach. Piękny ten zbiór przekazał Bibliotece Na-

rodowej, a fachową bibliotekę — politechnice. Jakiś czas pełnił obowiązki ministra Oświaty. Przedtem znaliśmy się jedynie z widzenia, spotykając się w antykwarniach. Osobiście poznaliśmy się na jakimś uroczystym zebraniu w Ministerstwie. Podszedł do mnie i rozpoczęliśmy rozmowę nie na urzędowe i pedagogiczne tematy. Pamiętam, jak przyjaciele i koledzy moi, K. Wóycicki i W. Jezierski śmiejąc się mówili, że ci „bibliofile znają się jak lyse konie i ciągną do siebie“. Pomimo krótkiego czasu naszych stosunków zwiedzaliśmy wzajemnie nasze zbiory i mile zawsze gawędziliśmy. Wspomnienia moje o wysoce kulturalnym uczonym kolekcjonerze należą do najmiłszych.

Ordynat Edward Krasiński utrwalił się w mojej pamięci jako wielki miłośnik książek i człowiek o wyjątkowym poczuciu obowiązków obywatelskich. Po śmierci ordynata Adama biblioteka, która się mieściła w skrzydle pałacu Raczyńskich z wejściem od ul. Traugutta, znalazła się w bardzo trudnych warunkach. Ordynat Adam za życia stale obiecywał zabezpieczyć jej losy, ale nie w tym kierunku nie zrobił. Opowiadali mi uczestnicy narad zwoływanych przezeń do biblioteki, że głównie sprzeciwiała się wszelkim dotacjom na rzecz zbiorów żona, Badenianka, która wpadała na zebrania i gromiła zebranych słowami „Cóż to? chcecie, żeby mąż mój bez portek chodził?“. Ołóż — zdaje się — Badenianka niewiele zyskała po śmierci męża, natomiast pałac i majątek osobisty przeszedł na matkę ordynata i na przyrodnią rodzinę. Bibliotece wymówiono lokal. Nowy ordynat, z bocznej linii Krasińskich, dbał o losy rodzinnych zbiorów, wybudował na Okólniku specjalny gmach na bibliotekę i muzeum. Osobiście doświadczałem częstych objawów życzliwości jego względem mojej osoby. Zawsze wypożyczał na moją odpowiedzialność rzadkie druki i rękopisy. Umarł w więzieniu niemieckim.

Z Aurelim Drogoszewskim, krytykiem literackim i nauczycielem-polonistą, łączyły mnie stosunki koleżeńskie w szkołach w Polskim Związku Nauczycielskim oraz w miłośnictwie książek. Pochodził z ziem południowo-wschodnich. Był to człowiek gołębiej prostoty i dobroci, powszechnie lubiany i szanowany. Skromnych wymagań życiowych, nieomal anachoreta, na jedną rzecz nie skąpił: stale powiększał swój księgozbiór z zakresu literatury polskiej i powszechnej. Nie był bibliofilem w specjalnym znaczeniu tego słowa, tj. lubującym się w pięknej lub rzadkiej książce; cenił ją z racji treści i małą uwagę zwracał na jej stan i oprawę.



Z zacnym p. Aurelim, który nazywał siebie ostatnim żyjącym pozytywistą, żyliśmy w bliskich stosunkach do końca jego życia. Ostatnio pracowaliśmy w ministerialnej komisji oceny książek do nauczania literatury polskiej w szkołach średnich. Pamiętam niezwykle wrażenie F. Goetla, gdy po zakończeniu prac rocznych w Komisji Drogoszewski ugaszczal nas w swoim „apartamencie“. Półki z książkami całkowicie zasłoniły ściany, a meble, zastawa, a zwłaszcza umieszczone w jakimś pasażyku łóżko, które powieściopisarz nazwał słusznie „wyrkciem“, były nad wyraz prymitywne.

Kolegą i przyjacielem moim był Kazimierz Wóycicki, polonista, badacz formy dźwiękowej i wierszowania polskiego. Jednolatki, jednocześnie byliśmy w uniwersytecie, kolegowaliśmy jako nauczyciele w szkołach, w pracach Polskiego Związku Nauczycielskiego, a od r. 1918 pracowaliśmy razem w Ministerstwie jako wizytatorowie szkół średnich. Nasza trójka przyjacielska (należał do niej mój najserdeczniejszy druh, Wacław Jeziński) trzymała się zawsze razem w jednym pokoju, który zdobył sobie sławę w całym Ministerstwie jako miejsce, gdzie można było usłyszeć najlepsze kawały i pogwarzyć podczas odpoczynku śniadaniowego. Wóycicki był bibliofilem w całkowitym znaczeniu tego słowa, tj. cenił przede wszystkim treść, ale lubił książkę piękną. Zbierał dzieła autorów, opracowania literackie. W drugiej połowie życia głównie gromadził prace z zakresu stylistyki i poetyki. Wóycicki należał do tych, którzy bardzo często korzystali z mojej biblioteki. Biblioteka Wóycickiego po jego śmierci rozeszła się po ludziach.

Znajomość moja z Edwardem Maliszewskim, opracowującym rok 1863, autorem cennej *Bibliografii pamiętników polskich* oraz szeregu prac krajoznawczych, zaczęła się od wizyty w moich zbiorach. Wizyty te powtarzały się coraz częściej, zwłaszcza przy układaniu wspomnianej *Bibliografii*. Widocznie pasowaliśmy do siebie, gdyż znajomość przeszła w zażyłe i serdeczne stosunki między nami i naszymi rodzinami i przetrwała nawet śmierć przedwczesną prawego człowieka i wielce pracowitego i pożytecznego literata. Maliszewski zbierał książki z zakresu krajoznawstwa, historii Polski ze szczególnym uwzględnieniem Litwy, pamiętniki, materiały do r. 1863. Po śmierci zbieracza kartoteka ze spisem i życiorysami uczestników powstania 1863 r. przeszła do Biblioteki Narodowej, reszta materiałów do tego roku znalazła się w bibliotece Marianów na Bielanach. Pozostała część zbiorów spłonęła w czasie powstania warszawskiego.

Korzystał z mojej biblioteki Jan Lorentowicz, krytyk literacki, bibliofil wykształcony na kulturze i wzorach francuskich. Posiadał ładny zbiór nowszej literatury polskiej i francuskiej w pięknych okazach, z dedykacjami, w artystycznych oprawach wykonanych przez jego małżonkę. Raz tylko nastąpiła między nami scysja i rozluźnienie na pewien czas stosunków. Lorentowicz pożyczył ode mnie do swej pracy *Polska pieśń niepodległa* szereg rzadkich ulotek. Po upływie paru lat zacząłem upominać się o nie i otrzymałem zapewnienie zwrotu. Gdy czas upływał, a pożyczone druczki nie wracały, telefonicznie zażądałem zwrotu i zaznaczyłem, że już kilkakrotnie obiecywał mi to uczynić. Ku wielkiemu zdziwieniu usłyszałem, że to właściwie ja jestem winien, gdyż tak długo nie upominałem się o swą własność. Zdjęła mię szewska pasja i głosem podirytowanym zaznaczyłem, że absolutnie nie poczuwam się do winy i za niespełnienie najprostszyc obowiązków przez bliźnich nie mogę ponosić odpowiedzialności. Wkrótce jednak stosunki nasze się poprawiły.

Kazimierz Reychman, zapalony kolekcjoner ekslibrysów, był człowiekiem o bujnym temperamentie, który nieraz prowadził go na bezdroża. Zdaje się, że babofilstwo górowało w nim nad bibliofilstwem. Nawet utrata nogi w poprzedniej wojnie na froncie francuskim nie osłabiła tej namiętności. Po zebraniu pięknej kolekcji ekslibrysów, porwany innego rodzaju pasją, wyjechał z kraju i ostał się aż w Brazylii, gdzie spędził parę lat aż do wybuchu wojny światowej. W Brazylii zbierał również ekslibrysy i książki. Pozostawione w kraju ekslibrysy nabyła „Antykwarnia Warszawska“, książki — biblioteka ord. Krasieńskich. Wróciwszy jako inwalida wojenny do kraju, Reychman z właściwym sobie rozmachem zabiera się na nowo do zbierania ekslibrysów i książek o nich i w krótkim względnie czasie dochodzi do poważnego rezultatu. Prócz „ekslibrysologii“, której poświęcił parę prac, zajął się genealogią rodzin polskich żydowskiego pochodzenia i zdołał wydrukować pierwszy tom zamierzonego dzieła.

W związku z tą pracą opowiadał mi autor swoje arcykapitalne przygody. Zwracał się bowiem do różnych osób tej kategorii z prośbą o dostarczenie mu danych. Większość zbywała sprawę pogardliwym milczeniem, część proponowała pieniądze za nieumieszczanie ich rodziny w dziele, inni soczyście mu nawymyślali. Odpowiedzi pozytywnych otrzymał znikomą ilość. Gdy chciał przełądać parafialne archiwa katolickie, konsystorz zabronił mu wglą-

du. Doradziłem mu, aby zwrócił się do archiwum przy zarządzie cmentarza powązkowskiego i tam rzeczywiście znalazł się dość obfity materiał. Zwróciłem mu uwagę na nagrobki na tym cmentarzu w bardzo bliskim sąsiedztwie kościoła. Po śmierci Reychmana duży zbiór ekslibrysów nabyła osoba prywatna.

Zygmunt Łazarski, właściciel drukarni, zapisał się trwale w pamięci bibliofilów jako drukarz i wydawca szeregu pięknych książek. Zbierał rzeczy z zakresu drukarstwa, bibliofilstwa, szczególnie zaś ubiegał się o dzieła, które wyszły z drukarni Banku Polskiego, resztki bowiem urządzeń po niej nabyła firma Łazarskich. Nadzwyczaj uczynny i miły drukarz ten i bibliofil nie potrafił jakoś upilnować czy dobrze zarządzać odziedziczonym przedsiębiorstwem i doprowadził je do upadku, a sam znalazł się w trudnych warunkach finansowych. Zginął w obozie niemieckim.

W czasie wojny ostatniej zmarł też przedwcześnie Zygmunt Mocarski, dyrektor biblioteki w Toruniu. Był to miłośnik książki jeden z większych, jakich spotkałem w swoim życiu. Interesował się bibliografią polską, starymi drukami, książką piękną. W ostatnich czasach zajmował się historią fotografii w Polsce. Pasja zbierania książek do czasu pracy w Toruniu przyprawiała go o kłopoty finansowe, gdyż nie umiał się opanować i wydawał więcej, niż mógł. W Toruniu jako bibliotekarz mógł pofolgować pasji przez nabywanie książek do biblioteki i w stałym przeglądaniu masy książek. Pamiętam, jak w czasie ostatniej wojny wypędzony przez Niemców z Torunia, będąc już poważnie chorym, oderwać się nie mógł od książek w mojej bibliotece. Widać było, że książka — to najwyższa jego radość. Nie zdały się na nic moje uwagi, aby się nie męczył. Umarł ku wielkiemu żalowi wszystkich znajomych, którzy cenili jego prawosć, miły charakter i umiłowanie książki.

Stefana Dembego poznałem jako nauczyciela-polonistę szkół prywatnych oraz jako wydawcę i właściciela księgarni przy ul. Marszałkowskiej, między Hożą a ul. ks. Skorupki (dawniej Sadową). Bardzo chcieliśmy popierać tę księgarnię, lecz, niestety, prowadzona była nie po kupiecku; trzeba było czekać na zamówione książki tygodniami; zasobów w sklepie było niewiele. Wszystko to zrażało klientów. Dembemu jako wydawcy przyświecała myśl podniesienia estetycznego wyglądu książki (druk, format, karta tytułowa, ozdoby). Brak środków materialnych wkrótce stanął na przeszkodzie tym chwalebnym zamiarom. Po wydaniu

kilku utworów Przybyszewskiego, *Bojownika* Nałkowskiego, *Branda* Ibsena i paru innych wydawnictwo zostało przerwane, a Demby znalazł się w kłopotach finansowych, zmuszających go nawet do wyzbywania się doborowych, ładnie oprawnych książek ze swej biblioteki. Od r. 1918 pracował w wydziale bibliotek Ministerstwa Oświecenia Publicznego, a po śmierci Korzeniowskiego został naczelnikiem tego wydziału. Usilnie jego starania doprowadziły do powstania Biblioteki Narodowej, której został pierwszym dyrektorem. Opuścił to stanowisko, przechodząc w sędziwym wieku na emeryturę.

Od czasu wskrzeszenia Polski Demby był czołową postacią w ruchu bibliofilskim. Miał wielu zwolenników, ale nie brak było i gorliwych przeciwników, szczególnie gdy ważyła się kwestia, w jakim mieście ma być Biblioteka Narodowa. Zarzucano Dembememu brak studiów wyższych i niedocenywanie skutków tego pewnych zagadnień bibliotecznych, arbitralność w nabywaniu zbiorów, szczególnie rękopiśmiennych, wygórowaną ambicję, manifestującą się w podkreślaniu swoich zasług itp. Zawsze to łatwiej spostrzec wady i ułomności ludzkie (a któż jest bez nich?), niż dojrzeć strony dodatnie w bliźnim. Aczkolwiek w stosunku do mnie mogłem dość długo wyczuwać daleko idącą rezerwę i brak sympatii, z całą stanowczością muszę stwierdzić, że zgola niewłaściwą byłoby rzeczą dewaluować niezaprzeczone zalety i zasługi Dembego. Zdaje mi się, że powodem owej niechęci ku mnie była zgola zresztą nieuzasadniona obawa współzawodnictwa. Po pewnym czasie, zwłaszcza od czasów dyrektorstwa, niechęć zupełnie znikła i stosunki nasze, zawsze formalnie poprawne, zmieniły się w obustronnie życzliwe, w końcu serdeczne.

Bezwzględna zasługa Dembego było przyspieszenie dekretu, polewającego do życia Bibliotekę Narodową w Warszawie. W związku z powstaniem tej instytucji można było rozpocząć katalogowanie i rozmieszczanie zbiorów, które w pakach w różnych miejscach czekały na orzeczenie, gdzie ma powstać Biblioteka Narodowa. Można było wkrótce korzystać już ze skarbów rękopiśmiennych i starych druków w pałacu Potockich na Krakowskim Przedmieściu. Zorganizowano kilka ciekawych wystaw: inauguracyjną (pokaz największych skarbów biblioteki), teatralną, ku czci Lafayetta, na zjazd sławistów, Mickiewiczowską, Sienkiewiczowską, wołyńską. Samo wewnątrz z inkunabulami i foliantami, umiejętnie z prawdzi-

wym smakiem urządzone przez K. Piekarskiego, było prawdziwą rozkoszą dla miłośników książek.

Demby, związany życiem i stosunkami z epoką pozytywizmu i Młodej Polski, skwapliwie nabywał rękopisy i papiery po ludziach tej epoki i w ten sposób zgromadził w bibliotece dużo rzeczy ciekawych. Bardzo dobrze wychowany, pełen zawsze uprzejmości i grzeczności, pozostawiał Demby dużo swobody i inicjatywy podwładnym. Te cechy współpracownicy ocenili po jego ustąpieniu. Demby zbierał długie lata materiał do słownika współczesnych pisarzy polskich w postaci autobiografii, pamiętników, metryk etc. Pokażne kartoteki ze źródłami i opracowaniami spłonęły w czasie powstania. Zginęły bezpowrotnie i inne działy zbiorów, między innymi przekazane mu przez Al. Świętochowskiego pamiętki po nim i archiwum. Żyły ze stosunkami warszawskimi, zwłaszcza ze światem literackim, naukowym i nauczycielskim, miał Demby niewyczerpaną skarbnicę wspomnień, kawałów, anegdot. Był świetnym narratorem i pogawędki z nim należały do bardzo przyjemnych. Jaka szkoda, że nie pozostawił pamiętników!

Przedwcześnie z wielką stratą dla nauki naszej zgasł w latach wojny Kazimierz Piekarski, kustosz działu starych druków Biblioteki Narodowej, najlepszy nasz znawca inkunabułów i druków polskich wieku 16-go. Zainteresowania i prace jego naukowe w dziedzinie księgoznawstwa staropolskiego obejmowały zasięg duży: opis bibliograficzny dokładny i ścisły, historia drukarstwa, notatki na książkach, oprawy, supereklibryszy, sygnety drukarskie itp. Wszelkie prace Piekarskiego o książkach opierały się na autopsji. Świetny znawca zasobu drukarskiego, umiał określać chronologię, miejsce druku i drukarza przy znalezieniu fragmentów dzieł, określał istotną ilość wydań pomimo identycznej karty tytułowej. Okazało się, że już wydawcy z wieku 16-go umieli w ten sposób uszczuplać prawa autorskie rodziny. Wielka to szkoda, że zajmowały go coraz inne tematy i nieraz publikował tylko część zamierzonego dzieła. Trzeba też było wywierać na niego nacisk, aby siadł do pisania. Przygotowana przez Piekarskiego bibliografia polska wieku 16-go i cały szereg opracowanych zagadnień spłonęły całkowicie w Bibliotece Narodowej, podpalonej przez hitlerowców. Jest to jedna z wielkich strat nauki polskiej. Jakiś fatalizm ciąży u nas nad pracami bibliograficznymi, podejmowanymi zwykle przez niezwykle pracowitych ludzi. Ileż to trudu licznych pracowników poszło na marne w nieukończonych pracach, w nagro-

madzonych i nieopracowanych lub niedrukowanych notatkach, wreszcie w licznych u nas kataklizmach, np. Jocher, Bentkowski (wydanie drugie), Sobolewski itp.

Piekarski posiadał niezwykle dar zjednywania sobie ludzi, nie spotkałem człowieka, który by go nie cenił i nie lubił. Ten człowiek, umiejący po benedyktyńsku pogrążyć się w pracy, lubił życie towarzyskie, należał do najmilszych kompanów i umiał łączyć w swojej osobie bibliofilstwo z bibofilstwem, a niektórzy posądzali go o babofilstwo. Kolekcjonerem Piekarski nie był; wystarczyły mu dobrze znane zasoby chyba wszystkich większych bibliotek polskich. Kochał książkę piękną, a co ważniejsza miał rozwinięty zmysł estetyczny, co np. ujawniło się w tworzeniu wnętrz bibliotecznych. Oby w przyszłym gmachu Biblioteki Narodowej uwzględniono konieczność stworzenia odpowiednich wnętrz dla starych druków, jak to pięknie urządzał Piekarski, a nie słańczano ich na półkach w olbrzymich magazynach, niczym towary włókiennicze czy inne.

Z Samuelem Poznańskim, kaznodzieją synagogi warszawskiej, nauczycielem religii, kolegowałem kilkanaście lat w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców. Był to uczony badacz w zakresie judaistyki i orientalistyki, szczególnie interesował się historią i literaturą Karaimów. Dzięki niemu mogłem dokładnie poznać zasoby biblioteki synagogałnej i przekonać się o bogactwie jej druków w językach obcych i ubóstwie druków w języku polskim. Zbierając polskie *Iudaica* często obdarzałem Poznańskiego dubletami. Między innymi ofiarowałem mu druczek z epoki Sejmu Wielkiego; — była to petycja Karaimów, którzy zwrócili się do sejmu z prośbą, aby ich nie utożsamiać z Żydami. Poznański zgromadził ze swojej specjalności dużą bibliotekę, którą po jego śmierci nabyto do biblioteki w Jerozolimie.

Dzięki koleżeńskim stosunkom z kaznodzieją miałem stale wstęp wolny na uroczyste nabożeństwa w synagodze i mogłem słuchać niezwykle pięknych śpiewów. Pamiętam zabawny incydent z pobytu w Sądny Dzień w synagodze. Po szeregu pięknych śpiewów wstępuje na mównicę Poznański, który nie posiadał daru wymowy i dobrego akcentu. Nie chcąc słuchać długiej oracji, zacząłem żegnać się z najbliższymi sąsiadami i tłumaczyć, że mam poważny interes terminowy. Chóralnie na to rzekli, abym nie udawał: oni też chętnie by wyszli, ale im nie wypada.



Kazimierz Piekarski  
(1924)





Michał Synoradzki, dziennikarz i beletrysta, ostatnio redaktor *Biesiady Literackiej*, w ciągu długiego życia gromadził bibliotekę polonistyczną. Były to przeważnie rzeczy nadsyłane do redakcji i zbierane bez wielkiej myśli przewodniej. Najwięcej może interesował się właściciel zbioru polskimi utworami dramatycznymi. Po jego śmierci biblioteka została rozprzedana prywatnym nabywcom.

Z inżynierem Stanisławem Ruśkiewiczem często spotykaliśmy się na Świętokrzyskiej, gdzie wylądował duki z zakresu historii polskiej; szczególnie ubiegał się o pamiętniki. Po przedwczesnej śmierci sympatycznego i kulturalnego bibliofila zbiór został nabyty przez poselstwo czeskie i powędrował, niestety, do Praги do Biblioteki Narodowej.

Antoni Ojrzyński, z fachu aptekarz, może być przykładem rozumnego i umiejętnego kolekcjonerstwa. W przeciagu szeregu lat systematycznie zbierał wszystko o Karpatach ze szczególnym uwzględnieniem polskich krain górskich. Zbiór składał się z przewodników, czasopism regionalnych, z arcyrzadkich starych druków, atlasów, opracowań i mnóstwa wycinków z gazet. Poza drukami w zbiorze powyższym był dział ikonograficzny (widoki, mapy, typy ludowe etc.). Niezwykły i konsekwentny wysiłek wielu lat stworzył kolekcję imponującą doбором i liczebnością. Nie wiem, co się stało z tym zbiorem.

Zmarły w młodym wieku Włodzimierz Budagowski, zbieracz bardzo sympatyczny i kulturalny, gromadził poza dziełami z historii i literatury polskiej *Varsoviana*, druki z powstania 1831 roku oraz książki z zakresu sztuki polskiej. Doborowa w dobrym stanie kolekcja przechowywana była z pietyzmem przez wdowę i uległa pewnie zagładzie w czasie ostatniej wojny.

Inżynier Józef Zaborski namiętnie zbierał autografy, bilety kolejowe, paszporty, proklamacje z roku 1863-go oraz z lat 1904—1907. Z narażeniem życia w latach rewolucyjnych zdzierał z murów obwieszczenia i rozkazy władz rosyjskich oraz skwapliwie gromadził wszelkie wydawnictwa nielegalne. Powstała niezwykle duża liczebnie i ciekawa kolekcja. Kulturalny i miły w obejściu, dobrze zapisał się w mojej pamięci jako zbieracz konsekwentny i wytrwały. Jedno tylko zastrzeżenie miałem względem niego, jak i wobec wielu innych zbieraczy autografów. Prawie wszyscy ci kolekcjonerzy, aby powiększyć liczbę autografów osób wybitnych, wymieniali je z innymi zbieraczami, dzieląc na części posiadane

autografy. Byli i tacy, dla których jedyną wartość posiadał podpis sławnego człowieka i w barbarzyński sposób odcinali podpisy od autografów. Zawsze tego rodzaju karygodne zjawiska wandalizmu powstają wśród różnego autoramentu zbieraczy, u których forma góruje nad treścią lub w ogóle szwankuje głębsze rozumienie spraw kulturalnych.

Dawid Przepiórka, światowej sławy szachista, zgromadził piękny i liczny zbiór książek i czasopism z dziedziny gry w szachy. Poza tym zbierał książki matematyczne. Może on uchodzić za przykład nadzwyczaj szybkich przemian, jakie często zachodzą w środowisku żydowskim. Z rodziny ortodoksyjnej, do osiemnastego roku życia pogrążony był w mądrościach talmudycznych, ściśle obserwował obyczaje chasydów w ubiorze, jedzeniu i zachowaniu się. Ojciec jego, znany lichwiarz warszawski, zostawił duży majątek w kamienicach, powiększony przez wdowę oszczędnością, podwyższaniem komornego i wynajmowaniem mieszkań wesołym damom, które płacą niewybrednym kamienicznikom czynsz duży. Młody Przepiórka zapragnął zdobyć maturę gimnazjalną i zaczął się uczyć przedmiotów świeckich. Będąc studentem, przygotowywałem go do matury z języka łacińskiego i greckiego. Lekcje nasze zaczęły się w okolicznościach osobliwych. Matka przy umowie, targując się zawzięcie o cenę, pytała, czy syn może siedzieć na lekcjach w czapce. Oświadczyłem, że mnie to absolutnie nie będzie przeszkadzało. Początkowo lekcje były dla mnie dość męczące, albowiem uczeń nie tylko przedłużał godzinę pytaniami, ale wdrożony do analizy talmudycznej, chciał ten system stosować do tekstów klasycznych. Cierpliwie wyjaśniałem sprawę i w końcu jakoś udało mi się wdroić go do analizy filologicznej, a co ważniejsza, bardzo go przywiązać do siebie i uzyskać na niego wpływ duży.

W niedługim czasie Przepiórka przestał nakrywać głowę podczas lekcji, na miasto zaczął wychodzić w ubraniu europejskim zachowując chałat na potrzeby domowe. Najtrudniej okazuje się zacząć, bo prawowierny chasyd coraz wyraźniej przekształcał się w tzw. apikojresa, tj. niedowiarka. Pod moim wpływem zmusił matkę do usunięcia wesołych lokatorek z należących do niego kamienic, czytał wskazane przeze mnie książki i postanowił po uzyskaniu matury udać się za granicę na uniwersytet i studiować matematykę. Wszystko to wykonał. Zabezpieczony materialnie, zatra-

cił Przepiórka zmysł praktyczny, uszczuplał majątek sprzedając kamienicę i w końcu, jak mi po wielu latach mówił, ratowały go w sytuacji majątkowej szachy. Zdaje się, że zamilowanie do zbierania książek powstało w nim pod moim również wpływem.

Marian Legiecki jeszcze w Kownie przed poprzednią wojną zgromadził bibliotekę, którą upaństwowili Litwini. Przedostawszy się do Warszawy, rozpoczął ponownie zbierać książki i był stałym gościem na ulicy Świętokrzyskiej. Tam go poznałem i wkrótce nawiązałem z nim bliższe stosunki. Zamilowania tego bibliofila szły w kierunku ilustrowanych książek i czasopism oraz utworów Mickiewicza i Kraszewskiego. Legiecki wyróżniał się wśród zbieraczy tym, że szukał egzemplarzy ładnie zachowanych i dobrze oprawionych. W stosunkach odznaczał się towarzyską kulturą i uprzejmością. Po jego śmierci rodzina rozprzedala zbiory. Wkręcił się tam osławiony Ziemkiewicz i zaofiarowawszy rodzinie swą pomoc w ocenie książek, gospodarował po swojemu w pozostałej bibliotece.

Marianowi Abramowiczowi poświęcił specjalne wspomnienie i podał charakterystykę tej nieprzeciętnej postaci Stefan Zeromski. Zamilowania bibliofilskie i powinowactwo w poglądach społecznych było łącznikiem między nami. „Szeroka natura“ Abramowicza przejawiała się i w jego zainteresowaniach, i w zbieractwie. Językoznawstwo, bibliografia, historia i literatura, pamiętniki pociągały najwięcej bibliofila. Ten człowiek o atletycznej postaci, chodzący bez palta w czasie mrozów, z powodu niewłaściwej brawury zaziębił się i przedwcześnie zmarł ku wielkiemu żalowi wielu znajomych i przyjaciół.

Dziennikarz Ludomil Lewenstam należał do ruchliwych członków warszawskiego Towarzystwa Bibliofilów. Interesowała go bibliografia, sztuka, *Varsoviana*, kalendarzyki polityczne oraz grafika polska. Zebrał sporo ciekawych rzeczy. Specjalną uwagę zwracał na litografie polskie, lekceważone zazwyczaj w zbiorach grafiki. Zawdzięczamy mu zarys dziejów litografii warszawskiej. Zbiory po śmierci właściciela prawdopodobnie uległy zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego.

Stanisław Sumiński, przyrodnik, mój uczeń ze szkoły Konopczyńskiego, prócz dzieł przyrodniczych zbierał konsekwentnie dzieła podróżników polskich i w tym dziale doszedł do pięknych rezultatów. Sumiński należał do rzadko spotykanych na na-

szym gruncie kolekcjonerów, którzy gromadzili książki z myślą i znanstwem. Wartościowy nauczyciel, prawdziwy bibliofil, umarł wywieziony przez Niemców do obozu.

Przy końcu wojny zginęli trzej bibliofile: Ludwik Simon, Stefan Rygiel i Andrzej Pleśniewicz.

Ludwik Simon w ostatnich latach przedwojennych i podczas wojny był codziennym prawie gościem w mojej bibliotece. Poza poszukiwaniami w dziedzinie historii teatru w Polsce skorzystał wiele przy układaniu i wykończaniu bibliografii polskich utworów dramatycznych, a prawie całkowicie na moich zbiorach oparł się przy opracowywaniu słownictwa literackiego i teatralnego. Biblioteka jego składała się z teatraliów, dzieł autorów polskich i opracowań historyczno-literackich. Simon chorował nieco na przerosł ambicji i stale miał pretensje do różnych ludzi, zgoła przeważnie nieuzasadnione. To jego historyczne usposobienie nie jednało mu sympatii. Do mnie ten pracowity wielce odludek i wieczny mal-kontent przywiązał się bardzo i cierpliwie wysłuchiwał uwag i wskazówek o stosunku do bliźnich. Zginął z rąk oprawców niemieckich.

Stefan Rygiel, dyrektor biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie, a później w Warszawie, należał do czynnych i ruchliwych działaczy w towarzystwach bibliofilów w Wilnie i w Warszawie. Kolekcjonował różne rzeczy: ekslibrysy, bibliografię, wydawnictwa bibliofilskie. Najwięcej energii w ostatnich czasach poświęcał zbieraniu tzw. akcydensów drukarskich, tj. zaproszeń, biletów wizytowych, druków okolicznościowych etc. itp. W czasach wojny schodzili się u Rygla na tak zwane „środy“ zbieracze różnego autoramentu i odbywały się pogawędki na różne tematy. Rygiel zginął w czasie powstania, a zbiory jego uległy zupełnemu zniszczeniu.

Znajomość moja z Andrzejem Pleśniewiczem datuje się z czasów ostatniej wojny. Bywał on stałym u mnie gościem na zebraniach niedzielnych. Upośledzony pod względem fizycznym, był człowiekiem wykształconym, o subtelny i krytyczny umyśle i dużym poczuciu estetycznym. Ciekawe były jego nie pozbawione złośliwości, lecz wytworne i wnikliwe charakterystyki osób. Zbierał klasyków francuskich i polskich ze szczególnym uwzględnieniem w. XVII-go oraz staropolskie powieści. Zginął po wyjściu z Warszawy od bomby lotniczej.

Poświęcę jeszcze parę słów wielce osobliwym miłośnikom książek, jakich widywałem lub znałem osobiście.

Każdy Polak urodzony jest podobno do wojaczki. Stąd tak często można było spotykać zbieraczy różnego rodzaju *militariów*, począwszy od guzików mundurowych, kończąc na broni. Najmniej tego typu zbieracze interesowali się książkami naukowymi z zakresu ich skłonności, natomiast bardzo poszukiwali rycin przedstawiających wojaków polskich. Trzeba nadmienić, że mnóstwo tych dawnych rycin, wykonywanych za granicą, nie posiadało żadnej wartości historycznej. Były to fantazje różnych nieudolnych rysowników, powielane w marny sposób. Nie miałem nabożeństwa do spotykanych często „militarystów“, wśród których dość częstym zjawiskiem byli ludzie tchórzliwi i z wyglądu nie zdradzający bynajmniej animuszu i postawy wojennej.

Poważne zastrzeżenia budzili we mnie również liczni zbieracze heraldyki i genealogii. W tym czasie dziwnie wzrasta u nas zamiłowanie do herbów, zdobywanie portretów przodków po antykwariach lub na zamówienie u specjalistów malarzy, używanie starej pisowni (Naley, Soyka) etc. Tej świeżej proweniencji szlachta, rekrutująca się spośród dorobkiewiczów wojennych, zdobyła sygnetami palce, przybierała do nazwiska przydomki i nabywała „książki o herbach“.

Nie miałem też sympatii do *sui generis* numizmatyków pospolicie zwanych „dydkarzami“, którzy z książek zbierali tylko katalogi monet, unikali natomiast poważniejszych opracowań z dziedziny numizmatyki. Cały ich wysiłek skierowany był ku wyszukiwaniu rzekomych odmian monet, jakie powstawały wskutek złego odbijania.

Namnożyło się też w ostatnich czasach zbieraczy ekslibrysów. Pierwszym, o ile mi wiadomo, poważnym kolekcjonerem był S i e n i c k i. Za moich młodych lat opowiadano mi, że miał manię zdobywania dla siebie orderów. Wpadł na pomysł wysyłania swoich dzieł drukowanych różnym koronowanym głowom i czasami w podziękowaniu otrzymywał upragnione odznaki. Nazywano go *chodzącym ikonostasem*, tj. chodzącym ołtarzem z obrazkami świętymi. Należałoby opracować tę postać. Wszak to ojciec polskiej ekslibrysologii oraz autor kilku ciekawych prac bibliograficznych. Zbiór ekslibrysów po nim nabył antykwariusz Gieysztor, kilkakrotnie ogłaszał go do sprzedaży, wreszcie nabyło go... Muzeum Brytyjskie. Za moich czasów poważnymi zbieraczami ekslibrysów byli Wittyg, K. Reychman, Edward Chwalewik, M. Borkowski, Tadeusz Wolski. Poza nimi słyszałem o wielu, którzy rozpoczęli zbie-

ranie w ten sposób, że robili sobie kilka różnych ekslibrysów i odbijali je na różnych papierach i w różnych kolorach. Zdarzało się, że taki bibliofil miał więcej znaków niż książek w swojej bibliotece. Następnie zwracał się zbieracz z propozycją wymiany na dublety do innych i w ten sposób w krótkim czasie dochodził do zbioru liczebnie dużego, natomiast — wątpliwej wartości. Słusznie mówił W. Gomulicki, że jest różnica między nami a posiadaczami kilku własnych ekslibrysów: oni mają znaki bez książek, a my książki bez znaków. Wymienionego typu zbieranie uważam za nieszkodliwą manię.

Zakończę ten rozdział na wspomnieniach o kilku bibliofilach osobliwego autoramentu. Takim np. był Laskowski, szklarz, specjalista od robienia i naprawiania żyrandoli. Jeździł on jako fachowiec po kraju i z różnych zakamarków kościelnych wydobywał stare druki, których stopy piętrzyły się w jego mieszkaniu na Sewerynowie. Z czasem zrobił się bibliofilem, miał nawet własny ekslibrys.

Daleko oryginalniejszą postacią był stolarz z ul. Książęcej, który skupywał stare druki ze szczególną predylekcją do foliantów. Po jego śmierci antykwariusz Przeworski prosił mię, abym z nim poszedł obejrzeć bibliotekę ze starymi drukami, na których się nie zna. Byłem zdumiony, gdy w suterenie w pracowni stolarskiej ujrzałem duży zbiór książek treści religijnej i historycznej. Były tam kroniki, stare tłumaczenia Biblii, kazania Skargi itp. Było nawet zbiorowe wydanie pism Staszica z rzadkim *Rodem ludzkim*, które nabyłem od wdowy, a oprócz tego kilka innych druków. Resztę nabył Przeworski. Niestety, większość najstarszych druków — jak to często bywa w Polsce — była zdefektowana.

Stale spotykałem na Świętokrzyskiej niższego urzędnika pocztowego, który spędzał codziennie cały czas wolny od zajęć w antykwarniach. Ponieważ wysiadywał w sklepach godzinami zabierając jedno z nielicznych krzeseł i wtrącał się do transakcji handlowych, niezbyt go antykwariusze lubili i w różny sposób starali się pozbyć tego „Noska“. Tak go nazywano z powodu przetrąconej tej ozdoby twarzy. Zbierał on stare powieści polskie i obce w tłumaczeniach do r. 1860. Nowszych rzeczy nie uznawał. Była to jedyna w swoim rodzaju kolekcja. Co się z nią stało, nie mogłem się dowiedzieć. Gdy w latach późniejszych zainteresowałem się dawną beletrystyką polską, przekonałem się, że łatwiej w bibliotekach znaleźć pierwodruki Kochanowskiego niż powieści Bogu-

ślawskiego, Boguckiego, a nawet starsze rzeczy Kraszewskiego, Zachariasiewicza i innych. Biblioteki nie gromadziły tych rzeczy, a w domach prywatnych zostały zacytane.

Stałym codziennym gościem wszystkich antykwarni był Roman Ziffer, ongi osiłek cyrkowy, później korespondent handlowy. Praktyczna znajomość kilku języków pociągnęła go do lingwistyki. Interesowały go słowniki, dzieła o etymologii oraz języki tajne. Prócz tego zbierał bibliografię, zwłaszcza szukał katalogów księgarskich. Wylawiał rzeczy obce i sprzedawał je antykwariuszom rosyjskim i niemieckim. Rzadko jednak rzeczy te zjawiały się na rynku warszawskim; przeto Ziffer nie uchodził za dobrego klienta, a prócz tego zrażał antykwariuszów antysemityzmem, chociaż wszyscy wiedzieli, że figuruje w książce Jeske-Choińskiego.

Ziffer posiadał wprost chorobliwą jakąś przyjemność w oczernianiu wszystkich. Nie zostawiał suchej nitki na bibliotekarzach, księgarzach, bibliofilach. Nie mógłbym wymienić nazwiska człowieka, o którym coś dobrego powiedział. Osobiście zabezpieczyłem się od słuchania tych wynurzeń. Zniecierpliwiony, powiedziałem mu: „Wyobrażam sobie, co pan o mnie wygaduje, ale niech używa, bo to widać potrzebne jest panu do zdrowia, byle tylko nie w mojej obecności“. Po śmierci Ziffera zbiory jego oceniał wierny jego towarzysz, Ziemkiewicz. Ładny zbiór katalogów nabyła Biblioteka Narodowa; reszta zbioru rozproszyła się po świecie.

Patologicznym okazem wśród bibliofilów był Romuald Ziemkiewicz, syn drukarza warszawskiego. Ten miłośnik książek ukrywał swoje pochodzenie. Był on uczniem Z. Wolskiego w gimnazjum realnym, później chodził długo w mundurze studentkim i tłumaczył, że w braku funduszków przerwał studia w politechnice kijowskiej. Okazało się potem, że takiego studenta władze tej uczelni nie znały. Po 1918 r. z dyplomem inżyniera wszedł jako fachowiec do Izby Kontroli. I znów wykryło się, że fachowiec ma dyplom sfalszowany. Ziemkiewicz wkradł się w łaski Wolskiego i porządkując jego zbiory okradł swego nauczyciela. Powtórzyła się podobna historia z Federowskim. Pomagając temu w nabywaniu i sprzedawaniu książek, na których się znał, oraz przy opracowaniu notatek białoruskich, Ziemkiewicz poduczył się tego języka, został Białorusinem (przedtem z racji studiów w Kijowie uważał siebie za Ukraińca i zbierał książki w tym języku), a przy sposobności powiększył swoje zbiory kosztem mistrza. Powyciągał

Federowskiemu cenne druki białoruskie, a nawet powyrywał z książek całe stronicy.

Mundur studencki w owych czasach był rekomendacją i ułatwiał właścicielowi stosunki. Ziemkiewicz dostał się na pracownika do antykwarni Wildera i tu gospodarował po swojemu. Wpadł jakoś u Bisiera, któremu też coś zabrał. Podczas rewizji znaleziono w jego mieszkaniu książki Wildera. Groziło mu więzienie, lecz z Z. Wolskim wpłynęliśmy, aby pozwolono mu się poprawić. Nie przeczuwaliśmy, że mamy do czynienia z typowym okazem *moral insanity*. Ziemkiewicz miał bezwzględnie pasję do książek, gromadził je *per fas et nefas* i znał się na starych drukach. Dziwiło mię, że zgoła nie interesował się nigdy technicznymi książkami. Po sprawie warszawskiej wyjechał do Wilna, jako rzekomy Białorusin pisywał do gazet, wkradł się w łaski działaczy białoruskich i uzyskawszy wstęp do ich muzeum i biblioteki znów wzbogacił swoje zbiory. Musiał znów się stamtąd ulatniać, przybył do Warszawy, ożenił się i na jakiś czas zniknął z horyzontu warszawskiego.

Po r. 1918 wraca z dyplomem, stałym bywa gościem w antykwarniach, dzięki łatwowierności i nieogłędności członków zarządu wchodzi do Towarzystwa Bibliofilów. Wkrótce powinęła mu się noga. Sprzedał do Biblioteki Narodowej autograf Norwida, który ściągnął z biblioteki raperswilskiej, gdzie badał materiały do Białorusi. Demby zawiadomił Przesmyckiego o nieznanym wierszu Norwida, a ten orzekł, skąd pochodzi.

Wybuch wojny uwolnił Ziemkiewicza od więzienia, ale nie od coraz większego staczania się w kierunku przestępczości. Za okupacji był hitlerowskim konfidentem. Za jakieś ciemne machinacje dostał się do więzienia, gdzie umarł.

Ostatnia wojna wywołała w stosunkach antykwarskich w naszym mieście wielkie zmiany. W czasie oblężenia Warszawy ulica Świętokrzyska, gdzie koncentrował się handel starymi książkami, ucierpiała bardzo. Domy w pobliżu Nowego Świata, w których najwięcej było antykwarni, zamieniły się w gruzy, a okazałe składy książek w popiół. Jakiś czas niedobitki antykwarskie trudniły się roznoszeniem książek po ulicach i domach, ale po utworzeniu ghetta i to ustało. Podobno powstały tam antykwarnie, a niektórzy młodszy i odważniejsi antykwariusze przynosili stamtąd towary i sprzedawali go księgarniom i antykariuszom, których szereg powstał na Świętokrzyskiej, Mazowieckiej („Logos“), a kilka księgarń wprowadziło dział sprzedaży starych i używanych książek.



W pierwszych latach wojny rzadko odwiedzałem te sklepy. Znalazłem się jako emeryt w trudnych warunkach finansowych i świadomie unikałem nałogowych wypraw, aby sobie nie robić oskomy.

Z opowiadań znajomych i późniejszych osobistych spostrzeżeń powiedzieć mogę, że z nielicznymi wyjątkami nowi antykwariusze mało się znali na książkach, umieli tylko po bajecznie nieraz niskich cenach nabywać książki i drogo je sprzedawać. Od drugiego roku wojny uczyłem w tajnych kompletach i mogłem choć w szczupłym wymiarze przeznaczać pewną sumę na książki. Właściwie zachodziłem do „Logosu“, gdzie pracował Antoni Trepieński, do działu antykwarskiego księgarni Arcta pod kierunkiem wysoce sympatycznego i uprzejmego p. Sokołowskiego i do antykwarni znanego mi od dawna i życzliwego p. Kowalewskiego na Świętokrzyskiej.

Hitlerowscy okupanci przystąpili do niszczenia naszej kultury: zgładzili inteligencję, pozamykali szkoły wyższe i średnie, wywozili zabytki, niszczyli książki, zamykali biblioteki publiczne. Zawsze chętnie pozwalałem korzystać z zasobów zbiorów moich, wychodząc z tego założenia, że książki są dla ludzi. Tym bardziej teraz uważałem to za swój obowiązek.

Przy sposobności muszę stwierdzić, że niestety u nas obchodzą się z pożyczonymi książkami na ogół fatalnie: albo wcale nie oddają, albo trzeba się upominać wielokroć o zwrot, a wreszcie wyprawiać się do niesolidnego człowieka i nieomal siłą wydobywać własność, albo oddają książkę podkreśloną ołówkiem, często nawet poplamioną atramentem, zmiętoszoną, ze śladami pożywiania się przy czytaniu. Pamiętam, jak raz, zirytowany stanem zwracanej książki, rzuciłem ją do palącego się pieca i na pytanie naiwnie zdziwionego sprawcy rzekłem, że nie chcę więcej takiej rzeczy oglądać. Szkodnik nie pomyślał o wynagrodzeniu. Przed wojną dość często pożyczałem różnym studentom książki, aby ich więcej nie ujrzeć. Później nauczony smutnym doświadczeniem, pozwalałem jedynie na miejscu korzystać ze zbiorów.

Zdarzały się i zabawne sceny. Niektórym zdawało się, że man obowiązek wypożyczać do mniemanych prac naukowych rzadkie nieraz druki i rękopisy. Raz np. nieznanymi mi jegomość bez rekomendacji zjawia się u mnie, zapytuje o arcyzadki utwór antysemitki z 17 wieku, którego nie mógł znaleźć w bibliotekach i dowiedziawszy się, że go posiadam, zażądał stanowczo wypożyczenia.

Tłumaczyłem mu spokojnie, że takich rzeczy żadna biblioteka nikomu nie pożycza. Z arogancją w dalszym ciągu nalegał i czynił mi zarzuty, że utrudniam pracę naukową. Oświadczyłem mu wreszcie, że o uczoności jego nic nie słyszałem i że nadużywa prawa gościnności.

Po tej dygresji wracam do tego, że w czasie okupacji biblioteka moja była namiastką publicznej. Korzystali z niej na miejscu słuchacze tajnych kompletów uniwersyteckich, pożyczali książki znajomi i pracownicy naukowci. Ponieważ w dni powszednie od rana do zmroku w mieszkaniu naszym odbywały się tajne komplety, uczyliśmy bowiem, ja, żona, a syna komplet uniwersytecki również u nas się mieścił, ogłosiłem, że w każdą niedzielę od 11-ej do 14-ej jestem na usługi gości bibliotecznych. Tak się jakoś złożyło, że spragnieni książek, wiadomości, pogawędki znajomi moi schodzili się w coraz liczniejszym gronie w owe niedziele. Dla urozmaicenia zebrań wpadłem na pomysł urządzania małych wystaw. Pierwszą była w r. 1942 w rocznicę konstytucji 3 maja i składała się ze współczesnych druków związanych z tą uchwałą. Grono łaskawych gości niedzielnych powiększało się, zwłaszcza gdy zaprojektowaliśmy, aby ktoś z nas podjął się wygłosić krótki referat na jakiś temat jako materiał do dyskusji. Rzecz się przyjęła. Znajomi zaczęli wciągać coraz nowych gości, liczba uczestników tych zebrań dochodziła nieraz do 25. W czasach srożącego się bestialstwa hitlerowskiego były one dla mnie, a może i dla innych chwilami odprężenia i zapomnienia o smutnej rzeczywistości. Zakończyły się owe zebrania w ostatnią niedzielę przed powstaniem.

Po wybuchu powstania mieszkanie moje (ul. Noakowskiego naprzeciwko politechniki) znalazło się na linii frontu, zwłaszcza gdy nasi opuścili zabudowania politechniki, uprzednio ją podpaliwszy. Kule nieprzyjacielskie były w pokoje frontowe. Trzy z nich uszkodziły Wańkowiczowskiego Mickiewicza, na szczęście nie trafiły w oblicze poety. Wobec wzrastającego niebezpieczeństwa grono moich znajomych i życzliwych zaproponowało wyniesienie najcenniejszych rzeczy i umieszczenie ich w piwnicy przy ul. ks. Skorupki. Chętnie się na to zgodziłem i zaciągnął Juliusz Gomulicki, Antoni Krepiński, zarekrutowawszy kilku żołnierzy, na własnych barkach w workach kilkakrotnie przenosili cymelia moich zbiorów do mieszkania J. Gomulickiego. W pamięci mojej i wdzięczności utrwalił się żołnierz, kolejowiec, silny bardzo, który z wielką ener-

gią i chęcią przenosił największe ciężary, głosząc, że w ten sposób spełnia obowiązek wobec kultury polskiej.

Zjawił się też życzliwy dla mnie Ksawery Świerkowski z propozycją zniesienia biblioteki do piwnicy. Zdobył on sporo worków papierowych i starał się u władz o pomoc w ludziach. Przyszli mały oddział młodocianych harcerzy i ten w przeciągu dwóch godzin wykonywał pracę ponad swe siły. Na tym ograniczyła się pomoc i działalność komisji ratowania zabytków. K. Świerkowski na próżno starał się o przysłanie ludzi. Istotnie, zabezpieczenie mojej biblioteki przez zniesienie jej do piwnic zawdzięczam ofiarnej pracy pań z kamienicy, w której mieszkałem, i p. Jana Kucharskiego. Panie tworząc łańcuch z czwartego piętra do piwnic podawały sobie naczeka książek, a p. Kucharski układał je w piwnicach. Głęboką wdzięczność moją wyrażam na tym miejscu wszystkim tym wielce ofiarnym osobom.

Przewidywania ludzkie jakże często bywają zawodne! Część biblioteki wyniesiona na ul. Sadową została przysypana gruzami rozwalonej przez pocisk kamienicy. Po kapitulacji Warszawy, gdy można było ratować resztki mienia kulturalnego, zbiory książek z piwnic oraz sztuki ludowej z mieszkania wywiezione zostały w znacznej części z Warszawy. Wielką wdzięczność żywię i wyrażam gronu pp. docentów i asystentów z prof. Zachwatowiczem na czele, którzy wykonali ciężką pracę, wynosząc z piwnic i z czwartego piętra moje zbiory do autobusów ciężarowych. Również serdecznie dziękuję za uratowanie zbiorów sztuki ludowej panom z Muzeum Narodowego.

## ZAKOŃCZENIE

Zakończę te moje „Gadu-gadu“ sumując dorobek tych 55 lat stałej, systematycznej i wytrwałej pracy kolekcjonerskiej. Skatalogowałem wszystkie moje zbiory, ale nie sporządziłem inwentarza biblioteki. Nie mogę przeto podać dokładnej liczby dzieł i tomów. Jak w każdej bibliotece specjalnej pokaźną ilość stanowiły broszury. Sumarycznie dzieł było przeszło trzydzieści tysięcy, sądząc z kartek katalogowych.

Owoce istotnie wartościowym prac podejmowanych przeze mnie i wykonanych jest mój zbiór książek, rękopisów, rycin oraz okazów sztuki ludowej. Na pierwszy plan wysuwa się biblioteka troskliwie zebrana i dobrana. Historia literatury polskiej na tle kultury polskiej — to kręgosłup mojego zbioru książek. Składa się on z dzieł autorów polskich od najdawniejszych czasów, możliwie w pierwodrukach i wydaniach krytycznych, oraz z pokaźnego działu opracowań historycznoliterackich. Do tego zrębu doszły dobudówki i nadbudówki, wiążące się z nimi organicznie.

W dziale bibliografii — poza Estreicherem w komplecie — są bibliografie specjalne i czasopism, katalogi rękopisów, czasopisma bibliograficzne, katalogi drukowane bibliotek, dzieła o ekslibrysach, dziejach bibliotek i drukarstwa, wydania bibliofilskie, stare prace bibliograficzne (Starowolski, Lubieniecki, Węgierski, Braun, Janocki w komplecie i wiele innych), wreszcie dużo broszur z wymienionej dziedziny. Jest to jeden z zasobniejszych zbiorów wśród naszych bibliotek.

Wiek 18-ty (literatura piękna, broszury polityczne, czasopisma, ulotki) doborem i ilością przewyższa chyba nawet największe biblioteki nasze. Sądzę, że *Iudaica* i *Mickiewicziana* należą również do największych liczebnie. Na *Mickiewicziana* składają się wydania,

tłumaczenia, prace o poecie, utwory okolicznościowe, portrety jego i ludzi epoki, ilustracje do dzieł poety oraz widoki miejscowości związane z jego życiem, medale, medaliony, przedmioty pamiątkowe. W ten sam sposób, zebrane zostały *Słowaciana*, liczebnie daleko mniejsze, co się tłumaczy większą popularnością Mickiewicza. Pomijając ładny zbiór *Norwidianów* i *Wyspianscianów* (bez ikonografii) wymienię prawie komplet noworoczników, powieści sentymentalnych, duży zbiór etnografii, prac o historii szkolnictwa, o kwestii chłopskiej i kobiecej. Dodać trzeba jeszcze niezły zbiór pamiątek, dzieła z zakresu historii Polski (wydawnictw źródła), filozofii, arcydzieła literatury obcych w tłumaczeniach ze szczególnie doborowo zebranymi tłumaczeniami autorów greckich i rzymskich, *Varsoviana* i językoznawstwo polskie. Wymienię w końcu dział druków z wieku 16-go i 17-go z kilku unikatami oraz powieści ludowych. Dział rycin poza *Mickiewiczianami* i *Słowacianami* składa się z portretów wybitniejszych osób, z widoków miejscowości i *Varsovianów*.

Co się tyczy sztuki ludowej, zgromadziłem chyba największy obecnie w Polsce zbiór ceramiki, bardzo dużo wycinanek, pisanek. Pasy, welniaki, hafty poczciwi rodacy rozszabrowali.

\* \* \*

Gdy po upływie roku po wypędzeniu mnie przez hitlerowców z Warszawy wróciłem do stolicy, gdzie upłynęło prawie całe moje życie, otrzymałem pokój i pokoik na użytek z rodziną od Biblioteki Publicznej, której syn mój przekazał mieszkanie moje w lutym ubiegłego roku. Doprowadziłem do porządku szczytki zbiorów i mienia.

Dawno już chciałem przekazać moje zbiory na użytek publiczny, myśląc o utworzeniu instytutu polonistycznego, którego zrębem nie byle jakim byłaby moja biblioteka. Dobre moje chęci rozbiły się o brak miejsca i o opinię niektórych fachowych bibliotekarzy, mających do czynienia z setkami tysięcy tomów, którzy twierdzili, że otrzymają 90% dubletów. Nie chciałem ich przekonywać, że są w błędzie. Dopiero szereg wystaw opierających się w znacznej mierze na moich zbiorach (300 lat drukarstwa warszawskiego, Mickiewiczowska, Sienkiewiczowska, Słowackiego oraz bibliotekarska) unaoźnił jakość i zasób mojej biblioteki na tych odciinkach. Jedynym życzeniem moim było, aby w celach wychowaw-

czych umieszczona była tabliczka z napisem: „Rzeczy te zebrał nauczyciel ze swoich zarobków nauczycielskich“.

Skończyłem 16 lutego 1946 r.

Rok z górą upłynął od czasu ukończenia moich gawęd. Ubywają spośród przyjaciół i komilitonów w zawodach zbierackich starsi, nowych przyjaźni i miłych znajomości nie zawiera się łatwo w moim wieku. Głęboko odczułem wiadomość o śmierci Władysława Wolerta; w gronie „ludzi książki“ należał do bliskich mi osób poglądami i sympatią. Na krótko przed tragiczną, nagłą śmiercią (został przejechany w Krakowie), bawiąc w Warszawie, wstąpił do mnie. Mówił mi o konieczności powrotu do Warszawy, w której jedynie dobrze się czuje. Żartowaliśmy z tej nagminnej nostalgii nie tylko urodzonych w Warszawie lub zżytych z nią od wielu lat, ale tych, którzy po paru latach przebywania w tym mieście stają się jego wielbicielami. Wolert twierdził, że w Krakowie dręczy go bezsenność, a gdy jest w Warszawie, sypia świetnie. Z Wolertem poznaliśmy się przez żonę jego, córkę Adolfa Dygasińskiego, z którą pracowałem w Ministerstwie Oświaty. Zbliżyła nas również twórczość Dygasińskiego, którego cenilem jako pisarza. Z właściwą sobie energią i wytrwałością zbieracza zdobyłem wszystkie jego utwory z wyjątkiem *Szelaągów kieleckich*. Miałem kilka takich druków, jakich nawet Wolert nie miał w swoich zbiorach. Stosunki nasze stawały się coraz bliższe i życzliwsze. Bardzo współczułem mu z powodu tragicznej śmierci żony, która zginęła w Krakowie od bomby.

Niedawno odszedł od nas bibliofilów na zawsze inżynier Tadeusz Żerański. Wysoka jego kultura umysłowa i towarzyska jednała mu powszechny szacunek i uznanie. Żerański poza literaturą z dziedziny elektrotechniki interesował się bardzo humanistyką. Zebrał podstawowe dzieła z historii polskiej, literatury i językoznawstwa. Wielbiciel mowy ojczystej pracował nad słownictwem technicznym i wydał słownik wyrazów używanych w elektrotechnice. Zbierał materiały do antologii głosów o mowie polskiej. Stosunki z Żerańskim należą do bardzo miłych moich wspomnień.

W losach moich zbiorów wyjaśniły się niektóre sprawy.

Najrzadsze rzeczy przeniesione na ulicę Sadową uległy całkowitemu zniszczeniu, jak stwierdziły poszukiwania, podjęte po upływie dość długiego czasu. W tej stracie jedyną pociechą jest

dla mnie wiadomość, że winowajcami są Niemcy: ich bomba krusząco-zapalająca zburzyła kamienicę. Przykro byłoby stwierdzić, że te skarby zniszczyła wilgoć w ciągu dwuletniego działania. Wprawdzie natychmiast po wypędzeniu z Warszawy Niemców uczeń mój, bibliotekarz Czesław Gutry, dobrowszy grono harcerzy, powodowany obowiązkiem ratowania dobytku kulturalnego i znaną ku mnie życzliwością, robił poszukiwania na ulicy Sadowej i komunikował mi o zagładzie, lecz zdawało mi się, że szukał w miejscu niewłaściwym.

Ponieważ z piwnicy, gdzie złożone były moje rzeczy, nie zdążono wszystkiego wywieźć, skorzystali z tego szabrownicy i książki, rękopisy oraz inne rzeczy moje znalazły się w księgarniach, antykwarniach i prywatnych zbiorach. Część wyszabrowanego mienia wróciła do mnie, skoro księgarze dowiedzieli się, że stanowiła moją własność. Przy tej sposobności zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich, którzy nabyli utwory z dedykacją dla mnie, druki nieoprawne, zabezpieczone obwolutą z szarego ciemnego papieru z tytułem wypisanym moim wyraźnym, charakterystycznym pismem, druki z XVIII wieku ze zbiorów Weyssenhoffa, autografy w takich samych papierowych obwolutach, albumy z pocztówkami mickiewiczowskimi, z typami ludowymi, medaliony pisarzy polskich, a w szczególności medaliony, medale, żetony i pamiątki mickiewiczowskie, aby zwrócili powyższe rzeczy za pokryciem kosztów do biblioteki fundacji.

Trudności lokalowe popowstaniowej Warszawy uniemożliwiały przez parę lat sprowadzenie do niej moich zbiorów. Spoczywały one w Piotrkowie, w podziemiach kościoła Bernardynów, pod troskliwą i całkowicie bezinteresowną opieką pana Antoniego Badka, któremu w tym miejscu składam gorące podziękowanie. Nie chcę zbiorów parcelować i stanowczo pragnę, by nie były wchłonięte i rozproszone w zbiorze jakiej biblioteki. Od roku 1946 rozpocząłem starania o zabezpieczenie trwałej przyszłości dorobku mego życia i stworzenie warsztatu pracy dla badaczy historii literatury i kultury polskiej. Od dawna zamiarem moim było stworzenie z mych zbiorów fundacji, by nadal mogły się rozwijać i być jak najszerszej udostępniane pracownikom naukowym. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że własnymi siłami nie zdołam już powiększać i kompletować zbiorów w zakresie odpowiadającym ich dotychczasowej skali. Rozumiałem, że jedynie opieka instytucji państwowej potrafi uczynić ze zbiorów moich placówkę żywą i rozwijającą

się, dzięki czemu utrzymałyby one charakter jednej z poważniejszych bibliotek specjalnych naukowych. Uważam bowiem, że obok wielkich centralnych księgozbiorów jak Narodowa, gromadzących cały dorobek piśmiennictwa polskiego, powinny być stworzone wielkie biblioteki specjalne, które by pod kierownictwem fachowców z danej dziedziny naukowej mogły być najlepiej kompletowane. Z tą myślą zawarłem umowę z Instytutem Badań Literackich, na podstawie której powstała fundacja pod opieką tegoż Instytutu. Fundacji tej przekazałem całość moich zbiorów, składających się z biblioteki o następujących działach: dzieła autorów polskich, tłumaczenia autorów obcych, opracowania historyczno-literackie, bibliologia, bibliografia, historia Polski, dzieje szkolnictwa polskiego, pamiętniki, sztuka polska, etnografia, filozofia i nauki społeczne, Iudaica, czasopisma, kwestia chłopska, kwestia kobieca, *Mickiewicziana*, *Słowacziana*, *Krasinszcziana*, *Norwidiana* i *Wyspianszcziana*, zbiory rękopisów i autografów, ikonografii (portrety wybitnych osobistości, zwłaszcza pisarzy, ilustracje do utworów literackich, widoki miejscowości, szczególnie Warszawy, typy ludowe itp.) wreszcie kolekcja ceramiki ludowej (przeszło 1.000 szt.), wycinanek itp.

Dzięki staraniom Instytutu Badań Literackich biblioteka wróciła na swe dawne miejsce i można było przeprowadzić jej gruntowne uporządkowanie, co pozwoliło na jej udostępnienie, acz w prowizorycznych na razie ramach.

Mam nadzieję, że dorobek życia mego został zabezpieczony i że fundacja rozwijając się pomyślnie będzie mogła służyć nauce polskiej.

*Quod felix, faustum fortunatumque sit.*

Warszawa, 20 marca 1950 r.



## SPIS ILUSTRACJI

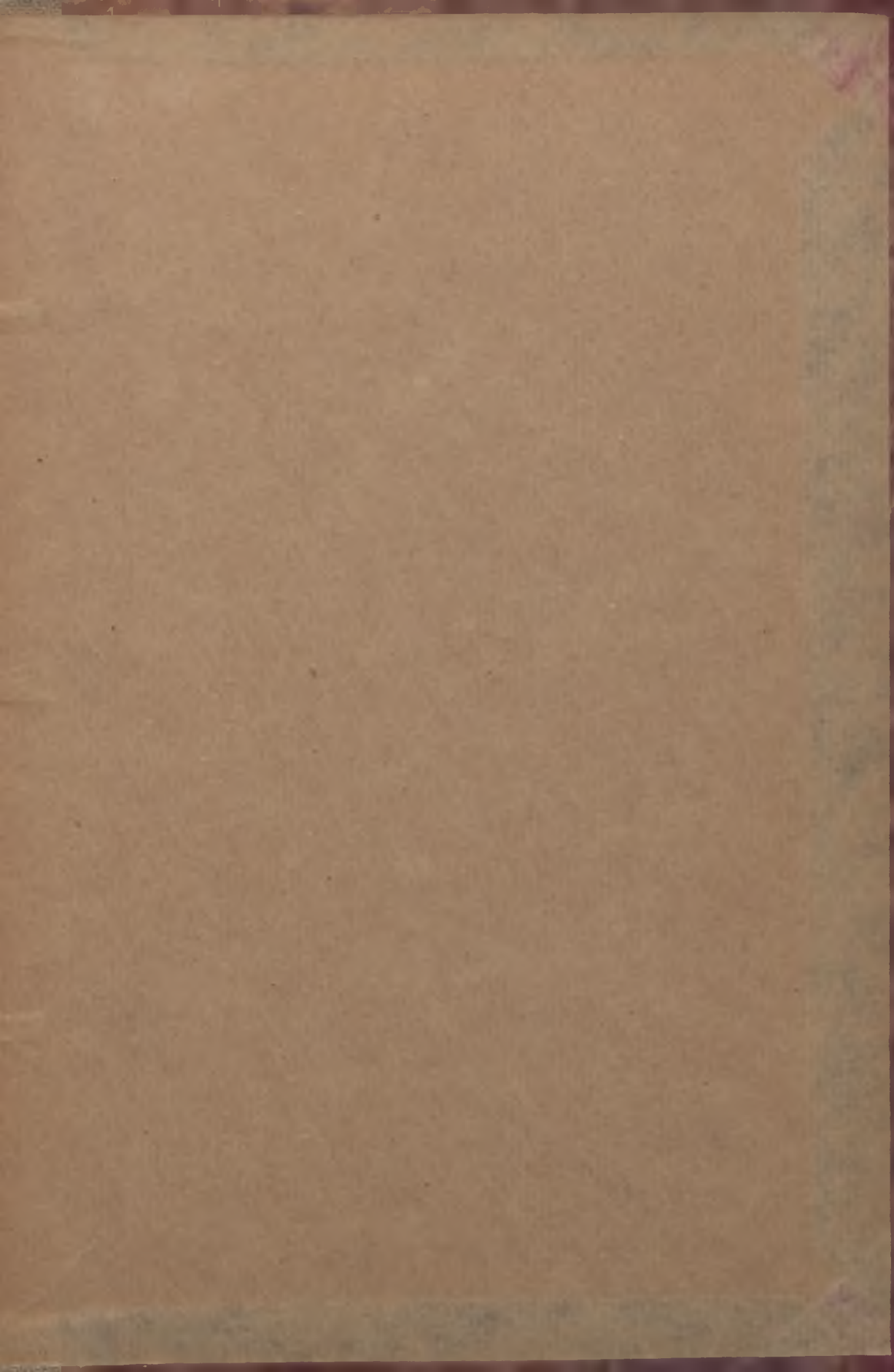
	Str.
1. Jan Michalski . . . . .	IV—V
2. Dawid Baumkoler . . . . .	24—25
3. Zygmunt Wolski (1924) . . . . .	62—63
4. Zygmunt Wolski . . . . .	68—69
5. Józef Drège . . . . .	70—71
6. Kazimierz Piekarski . . . . .	90—91

## SPIS TREŚCI

	Str.
Przedmowa . . . . .	VII
Rozdział I. Pierwsze kroki . . . . .	1
Rozdział II. W antykwarniach . . . . .	6
Rozdział III. Wśród antykwariuszy . . . . .	15
Rozdział IV. O rzadkich książkach i bibliotekach prywatnych . . . . .	43
Rozdział V. Wśród bibliofilów . . . . .	55
Zakończenie . . . . .	102







PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14



5267